

ANNE ENRIGHT

TAJEMNICA RODU HEGARTYCH

przełożyła Anna Kołyszko

Tytuł oryginału *The Gathering*

1

Chciałabym opisać coś, co zdarzyło się w domu mojej babci, kiedy miałam osiem albo dziewięć lat, chociaż nie jestem pewna, czy to się naprawdę zdarzyło. Muszę dać świadectwo niepewnej sytuacji. Czuję, jak się we mnie kotłuje – mimo że mogło nigdy do niej nie dojść. Nawet nie wiem, jak ją określić. Można by ją nazwać występkiem cielesnym, tyle że ciało dawno odpadło od kości, a jaka krzywda może w nich się czaić?

Mój brat Liam uwielbiał ptaki i podobnie jak wszyscy chłopcy uwielbiał kości martwych zwierząt. Nie mam synów, zawsze więc na widok czaszki albo szkieletu małego stworzenia przystaję i myślę o bracie, o jego podziwieniu dla ich misternej budowy. Prastare kości ramieniowe sroki przebijają przez kłęb piór; krótkie i grube, lekkie i nagie. Tak właśnie mówi się o kościach: nagie.

Zabraniam oczywiście córkom podchodzić do mysiej czaszki w lesie albo do martwej zięby rozkładającej się pod ogrodowym murem. Nawet nie wiem dlaczego. Czasem jednak znajdujemy na plaży szkielet mątwy tak czysty, że po prostu muszą go schować do kieszeni, a potem napawam się nim, wodząc palcami po tajemniczym białym łuku.

Moim zdaniem, nie wolno oczerniać zmarłych, należy ich jedynie pocieszać.

Podsuwam więc Liamowi taki obrazek: moje obie córki biegną po piaszczystym brzegu kamienistej plaży, nad nimi z wolna przetacza się burzliwe niebo, ramiona unoszą się pod płaszczykami. Wymazują tę sytuację. Zamykam oczy i toczę się wraz z głośnym szumem morza. Kiedy je znów otwieram, wołam dziewczynki do samochodu:

– Rebecca! Emily!

Mniejsza z tym. Nie znam prawdy ani nie wiem, jak ją opowiedzieć. Mam jedynie w zanadru opowieści, nocne przemyślenia, nieoczekiwane wnioski zrodzone z niepewności. Właściwie mam tylko majaki.

Kochała go!, mówię. Musiała go kochać! Czekam na sens, który świt przynosi po bezsennej nocy. Siedzę na dole, słyszę oddechy rodziny na górze i spisuję wszystko, przelewam jej historię w gładkie zdania, wszystkie te moje nagie, białe kości.

2

Czasem się zdarza, że nie pamiętam mamy. Wpatruję się w jej zdjęcie, ale mi umyka. Albo widzę ją po niedzielnym obiedzie – spędzamy razem miłe popołudnie, a po wyjściu stwierdzam, że przeciekła przeze mnie jak woda.

– Do widzenia. Do widzenia, kochana córeńko – i wystawia starą, łagodną twarz na mój pocałunek. Żegna się i rozpływa.

Nadal czuję gniew na to wspomnienie. Kiedy się od niej odwracam, znika, a kiedy patrzę, widzę jedynie zarys jej sylwetki. Mogłabym ją minąć na ulicy, jakby kupiła inny płaszcz. Gdyby moja matka popełniła przestępstwo, trudno byłoby znaleźć świadków – bo uosabia zapomnienie.

– Gdzie moja torebka? – pytała przez całe nasze dzieciństwo. Albo klucze czy okulary. – Czy ktoś widział moją torebkę? – i na tych kilka sekund znów staje mi niemal w oczach, kiedy przechodzi z holu do salonu, do kuchni i z powrotem. Nawet wtedy nie patrzyliśmy na nią, lecz umykaliśmy wzrokiem: wprowadzała zamieszanie za naszymi plecami, zbiorowe poczucie winy, kiedy sprawdzaliśmy pokój, wiedząc, że nasze spojrzenie musi w końcu paść na jej brązową, pękatą torebkę, która przecież od początku tam leżała.

I wtedy znajdowała ją Bea. Zawsze jedno dziecko nie tylko patrzy, lecz również widzi. To najspokojniejsze.

– Dziękuję, kochanie. Gwoli sprawiedliwości dodam, że mama przez tę swoją mglistość może nawet sama siebie nie widzi. Niewykluczone, że wodzi palcem po dziewczętach stojących rzędem na starej fotografii i nie potrafi odnaleźć siebie. A ze wszystkich dzieci ja jestem najbardziej podobna do jej matki, mojej babci Ady. Musi to być dla niej mylące.

– Witaj – mówi, otwierając mi drzwi w tym dniu, kiedy dowiedziałam się o Liamie. – Witaj, kochanie. – Równie dobrze mogłaby tak witać kota. – Wchodź, wchodź – stoi w progu, ale nie usuwa się, żeby mi zrobić przejście.

Oczywiście mnie poznaje, ale moje imię umknęło jej z pamięci. Strzela oczami na boki, a w duchu odhacza kolejne imiona na liście.

– Witaj, mamo. – Zwracam się tak do niej, żeby jej trochę pomóc. Mijam ją i wchodzę do holu.

Dom mnie poznaje. Zawsze jest mniejszy, niż powinien. Ściany stoją ciasniej i w bardziej skomplikowanym układzie niż w mojej pamięci. Zawsze wydaje mi się za mały.

Mama za moimi plecami otwiera drzwi do salonu.

– Napijesz się czegoś? Może herbaty?

Ale ja nie chcę wchodzić do salonu. Nie jestem gościem. To jest też mój dom. Dorastałam razem z nim, kiedy stołowy przerobiono na kuchnię, a kuchnia wchłonęła ogród z tyłu domu. To miejsce nadal pojawia się w moich snach.

Inna sprawa, że dzisiaj już bym w nim nie zamieszkała. Przypomina jedną wielką przybudówkę, a nie dom. Nawet schowek za kuchennymi drzwiami ma z tyłu drugie drzwi, trzeba się więc przedrzeć przez ubrania i odkurzacze, żeby się dostać do ubikacji na parterze. Czasem myślę, że nie dałoby się go sprzedać, co najwyżej jako parcelę. Zrównać z ziemią i rozpocząć od zera.

Kuchnia wciąż pachnie tak samo – ten mroczny, obrzydliwy zapach dobywa się spod świeżej farby, żółtej jak prymulka, i uderza mnie w podstawę czaszki. W szafkach zalega stara pościel; z bojlera unosi się woń gotowania i kurzu; krzesło, w którym siadywał mój ojciec, ma poręcze wyświecone i zimne od używania przez tyle lat. Zaczyna mnie mdlić, ale po chwili już tego zapachu nie czuję. Bo to nasz zapach, zapach nas wszystkich.

Podchodzę do blatu w głębi kuchni, biorę czajnik, ale kiedy chcę go napełnić, zahaczam rękawem o kran i nalewa mi się woda do środka. Strząsam rękę, a kiedy czajnik jest pełen, włączam go, po czym zdejmuję żakiet, wywracam mokry rękaw na drugą stronę i macham nim w powietrzu.

Mama przygląda się tej dziwnej scenie, jak gdyby coś jej przypomniiała. Po chwili rusza do stołu, na którym leżą na talerzyku jej pigułki. Kładzie je sobie jedną po drugiej z powłóczystym roztargnieniem na języku. Unosi brodę i przetyka bez popijania, ja zaś rozcieram mokrą rękę, po czym przeczesuję wilgotną dłoń włosy.

Kiedy ostatnia zielona kapsułka znika w jej ustach, mama zastyga w bezruchu, i tylko rusza się jej grdyka. Wygląda przez okno. Po chwili odwraca się do mnie i mówi od niechcenia:

– Co u ciebie, kochanie?

Najchętniej krzyknęłabym: „Mów do mnie Veronica! Przecież sama wybrałaś mi to imię!”. Gdyby mi się tylko ukazała wyraźniej. Mogłabym ją złapać i wycisnąć z niej całą prawdę, uświadomić brzemień jej postępków. Ale ona pozostaje mglista, niedosiężna, zanadto kochana.

Przyjechałam, aby jej powiedzieć, że znaleziono Liama.

– Wszystko u ciebie dobrze?

– Oj, mam.

Kiedy ostatnim razem płakałam tu, w kuchni, miałam siedemnaście lat. Byłam trochę za duża na płacz, chociaż może nie w naszej rodzinie, w której wszyscy są jednocześnie w każdym wieku. Przecieram mokrą ręką żółty sosnowy stół, błyszczący jakby był z plastiku. Odwracam się do mamy i już mam wygłosić sakramentalną formułkę (która sprawia mi również pewną radość), kiedy mama nieoczekiwanie zwraca się do mnie po imieniu: – Veronica! – po czym podchodzi, a właściwie podbiega, do czajnika. Podnosi go za bakelitową rączkę, kiedy pęcherze powietrza wzbierają na tle chromowanej powierzchni, i nie wyłączając go, leje trochę wrzątku, żeby rozgrzać imbryczek.

Liam jej nawet nie lubił.

Do dziś nad drzwiami w ścianie widnieje ślad noża, którym rzucił w mamę. Wszyscy się wtedy roześmieli i zaczęli na niego krzyżeć. Widnieje tam wśród innych anonimowych draśnięć i rys. Słynna dziura. Zrobiona przez Liama, kiedy mama się uchyliła, zanim gruchnął śmiech, a potem krzyk.

Co powinna mu wtedy powiedzieć? Na jaką prowokację mogła sobie wobec niego ta dobrodusznna kobieta pozwolić? Wówczas Ernest albo Mossie, jeden z naszych osilków, wypchnął go za drzwi kuchenne na trawę i tam go skopał. Tę scenę także skwitowaliśmy śmiechem. Śmiał się i mój, utracony teraz, brat Liam: chociaż to on rzucił nożem, chociaż to jego kopano, również się śmiał, po czym złapał starszego brata za nogę w kostce i przewrócił na trawę. Ja też – z tego, co pamiętam – się śmiałam. Mama zachichotała pod nosem na ten widok, a potem wróciła do swoich zajęć. Moja siostra Midge podniosła nóż, podeszła do okna i zaczęła nim wywijać w stronę bijących się braci, by zaraz wrzucić go do zlewu pełnego brudnych naczyń. W każdym razie mieliśmy wtedy niezły ubaw.

Mama zakrywa imbryczek i spogląda na mnie.

Nogi drżą mi niemiłosiernie. W kuchni panuje straszliwa duchota, a w brzuchu tak mi się kotłuje, że najchętniej wbiłabym sobie pięści między uda. Bardzo to dziwne uczucie – rozwolnienie i jednocześnie pożądanie – żal, który przybiera niemal genitalną postać.

Poprzednio płakałam tu chyba przez chłopaka. Przeważnie nasze łzy rodzinne przelewane w kuchni nie miały większego znaczenia, wtapiały się w ogólny harmider. Liczyło się tylko jedno – zadzwonił czy nie zadzwonił. Też mi kataklizm. Po czymś takim i po pięciu butelkach jabłecznika gotowa byłam chodzić po ścianach. Rzucił mnie. Kuliłam się wpół, chwytalam za brzuch, wyłam i szlochałam. Nawet nie wrócił po swój szalik. Chłopiec o turkusowych oczach.

Bo my, rodzina Hegartych, zapewne jesteśmy też wspaniałymi kochankami. Bez zahamowań, pieprzyliśmy się od razu – nikt z nas się nigdy nie oszczędzał. Pominawszy tych, którzy w ogóle nie byli zdolni do miłości. Czyli większość z nas.

– Przyszłam ci powiedzieć o Liamie – mówię.

– O Liamie? – pyta. – O naszym Liamie?

Mama miała dwanaścioro dzieci i – jak wyjawiała mi pewnego trudnego dla niej dnia – siedem poronień. Nie ponosi winy za swoje dziury w głowie. Pomimo to niczego jej nie wybaczyłam. Po prostu nie mogę.

Nigdy nie wybaczyłam jej za moją siostrę Margaret, na którą mówiliśmy Midge, dopóki nie umarła, w wieku czterdziestu dwóch lat, na raka trzustki. Nie wybaczam za moją piękną, dryfującą siostrę Beę. Nie wybaczam za mojego najstarszego brata Ernesta, który był księdzem w Peru, a potem został byłym księdzem w Peru. Nie wybaczam jej za mojego brata Steviego, który powiększył grono aniołków w niebie. Nie wybaczam, odmawiając całą naszą monotonną litanię: Midge, Bea, Ernest, Stevie, Ita, Mossie, Liam, Veronica, Kitty, Alice i bliźniaki – Ivor i Jem.

Jakie nam wszystkim dała wyszukane imiona – nie ma wśród nas Jimmy’ego, Joego ani Micka. Poronienia mogła oznaczać liczbowo, chociażby „1962” lub „1964”, ale może w skrytości ducha im również nadawała imiona (Serena, Aifric, Mogue). Tych zmarłych dzieci też jej nie wybaczę. Nie prowadziła notatek, nie da się więc sprawdzić, kto był na co i kiedy szczepiony Czy jestem jedyną kobietą w całej Irlandii narażoną na chorobę Heinego-Medina? Nie wiadomo. Nie zapomnę, że stale musiałam nosić ubrania po rodzeństwie, cierpiałam na brak zabawek i że zawsze dostawaliśmy w skórę od Midge, bo mama miała za miękkie serce albo była za bardzo zajęta, albo jej nie było, albo chodziła w ciąży i nie miała dla nas czasu.

Moja kochana mama. Ta moja wieczna dziewczynka.

Wszystko sprowadza się do tego, że nie mogę jej wybaczyć uprawiania seksu. Co za głupota, żeby się tyle walić. Otwierała tylko nogi, a na resztę – ślepa. Konsekwencje, mamusiu, konsekwencje.

– O Liamie – powtarzam dobitnie.

W kuchni cichnie, kiedy wypełniam swój obowiązek, czyli mówię jednemu człowiekowi o drugim, przekazuję garść starannie dobranych szczegółów jak ten ktoś dokonał żywota.

– Mamo, niestety Liam nie żyje.

– Ojej – wzdycha.

Sądziłam, że tak właśnie zareaguje. Dokładnie takiego westchnienia się po niej spodziewałam.

– Gdzie to się stało? – pyta.

– W Anglii, mamo. Tam, gdzie mieszkał. Znaleźli go w Brighton.

– Jak to? – pyta – Jak to, w Brighton?

– W Brighton, mamo – potwierdzam. – To jest miasto na południu Anglii, niedaleko Londynu.

I wtedy mama wymierza mi cios.

Chyba nigdy wcześniej mnie nie uderzyła. Później usiłuję to sobie przypomnieć, ale wydaje mi się, że bicie pozostawiała innym – oczywiście Midge, która zawsze coś wycierała i mogła pacnąć któregoś z nas w przelocie ścierką, po twarzy, po szyi, z tyłu po nogach, a ja wtedy myślałam, że gorszy jest ten smród od bólu; Mossiemu, który był szajbusem; Ernestowi, który jako chłopak rozważny zawsze bił otwartą dłońią. Im młodsze dziecko, tym bardziej się bało i biło mniej zdecydowanie, chociaż i ja przeszłam przez tę fazę, wyżywając się na Alice i bliźniakach, Ivorze i Jemie. Mama trzyma rękę na stole, a drugą wywija, usiłując palnąć mnie w głowę. Niezbyt mocno. W ogóle nie mocno. Odchyła się, chwyta blat i tak zastyga między blatem a stołem, z głową zwieszoną między rozpostartymi ramionami. Przez chwilę milczy, po czym z piersi wyrывa jej się straszliwy dźwięk. Dosyć cichy. Zupełnie jakby dobywał się z pleców. Mama podnosi głowę i zwraca się w moją stronę, żebym zobaczyła jej twarz. Ma taką minę, że już nigdy nie będzie tak samo.

Nie mów mamie. Tak brzmiała mantra naszego dzieciństwa albo jedna z mantr. Nie mów mamie. Teraz mówi to akurat Midge, ale te słowa padały również z ust starszego rodzeństwa. Kiedy coś się wylało albo stłukło, kiedy Bea nie wróciła do domu, Mossie wyniósł się na strych, Liam rozlał kwas, Alice poszła z kimś do łóżka, Kitty zakrwawiła sobie okropnie mundurek szkolny; przy niezliczonych telefonach, że któregoś z nas się spóźniło, wynikły jakieś afery, problemy z pieniędzmi na autobus lub na taksówkę, a także kiedy stała się rzecz straszna, bo Liam spędził noc w areszcie. Żadna z tych wiadomości nie została przekazana dalej: narada szeptem w holu, Nie mów mamie, bo mama – no właśnie co? Wyzionie ducha? Mama się zmartwi. A cóż w tym złego? Przecież cała nasza rodzina była jej dziełem. Wszyscy – po kolei i w bólach – z niej się zrodziliśmy. A mój ojciec, opanowany i szarmancki, powtarzał to zakłęcie częściej niż inni: „Nie musicie od razu mówić mamie”, jak gdyby od tej kobiety można było wymagać tylko i wyłącznie znoszenia rzeczywistości jego łóżka.

Kiedy mama podnosi rękę i uderza mnie po raz pierwszy w życiu – przy czym ona ma siedemdziesiąt lat, a ja trzydzieści dziewięć – poczucie niesprawiedliwości rozsadza mi głowę. Chyba zaraz umrę i niesprawiedliwość wpiszą mi jako przyczynę śmierci do aktu zgonu. Obrywam choćby za to, że spadł na mnie ten obowiązek – a wszystko przez moją sumienność. Mam samochód, zapłacony rachunek telefoniczny. Moje córki nie muszą się kłócić rano przed pójściem do szkoły o to, że jedna pożyczyła sobie majtki drugiej. Czyli to ja muszę pojechać do mamy, zadzwonić do drzwi i przybrać dogodną bojową pozycję po drugiej stronie kuchennego stołu. Nic nie trafiło mi się przypadkiem – ani mąż, ani samochód, opłacony telefon czy córki. Dlatego złoścę się na całe swoje rodzeństwo, łącznie z dawno nieżyjącym Steviem i od niedawna nieżyjącą Midge, a teraz szaleję z wściekłości na Liama za to, że umarł właśnie w tej chwili, kiedy jest mi najbardziej potrzebny. Wychodzę dosłownie z siebie. Złość pozwala mi spojrzeć na kuchnię z góry, spod sufitu: widzę siebie z podwiniętym mokrym rękawem, spod którego wystaje mi nagie przedramię leżące płasko na stole, a po jego drugiej stronie mamę, jak na krzyżu, z głową opadającą z białego trójkąta obnażonej szyi.

Tutaj znajduje się Liam. Czuję go tu, pod sufitem, jak krzyk. To właśnie widzi; moją nagą rękę, naszą mamę rozpostartą jak samolot między blatem a stołem. Jej niski lot.

– Mamo.

Z gardła nadal dobywa jej się ten dźwięk. Podnoszę rękę.

– Mamo.

Nie ma pojęcia, ile dla niej zrobiliśmy przez sześć dni od tamtego pierwszego telefonu z Anglii. Wyręczyliśmy ją we wszystkim – Kitty biegła po Londynie, a ja po Dublinie, żeby zdobyć dane stomatologiczne, podać jego wzrost, kolor włosów, tatuaż na prawym ramieniu. Nikt z nią potem nie weryfikował tych informacji, tak jak ze mną przemiła *bean garda*, która zjawiała się pod moimi drzwiami dziś rano i wyrecytowała mi je, bo to ja najbardziej kochałam Liama. Żal mi kobiet w policji – zajmują się tylko rodziną, prostytutkami i parzeniem herbaty.

Mamie z dolnej wargi kapie teraz ślina, kroplami i strużkami na przemian. Wciąż rozchyła usta. Próbuje je zamknąć, ale nie może utrzymać stulonych warg.

– Ga, ga – mamrocze.

Muszę podejść i jej dotknąć. Muszę ją wziąć za ramiona, delikatnie podnieść i zabrać stąd. Przytrzymując jej ręce po bokach, lekko pchnę i doprowadzę do fotela; posłodzę jej herbatę, chociaż ona nie słodzi. Zrobię to wszystko ze względu na rozpacz – biologiczną, bezrozumną, ponadczasową.

Tak samo opłakiwałaby Ivora, trochę mniej Mossiego, bardziej Ernesta i niepokieszona, tak jak my wszyscy, ślicznego Jema. Opłakuje Liama, nie zwracając uwagi na to, jakim był synem. Uderza mnie, że coś tu jest nie tak, bo to ja poniosłam niepowetowaną stratę. Jej zostało dużo więcej.

Między mną a Liamem było jedenaście miesięcy różnicy. Wszyscy deptaliśmy sobie po piętach; jedno dziecko wyskakiwało z niej po drugim tak szybko, jak w gwałcie zbiorowym menele biorą dziewczynę w kolejce, tak szybko jak dochodzi do zdrady. Czasem myślałam, że się tam ze sobą zderzyliśmy, tyle że on wyszedł wcześniej, żeby poczekać na mnie.

– Mamo, wszystko w porządku? Może napijesz się herbaty?

Spogląda na mnie: bardzo drobna w tym wielkim fotelu. Patrzy na mnie z rozdrażnieniem, trochę jej się trzęsie głowa. Nagle spada to na mnie jak klątwa. Kimże ja jestem, żeby dotykać matczynej miłości, zawłaszczając ją i odrzucać?

Nazywam się Veronica Hegarty. Stoję w szkolnym mundurku nad zlewem; mam piętnaście albo szesnaście lat; płaczę przez chłopaka, który mnie rzucił, a pociesza mnie kobieta, która za żadne skarby świata nie może sobie przypomnieć mojego imienia. Nazywam się Veronica Hegarty, mam trzydzieści dziewięć lat i słodzę herbatę najukochańszej kobiecie w Dublinie, która właśnie usłyszała straszną wiadomość.

– Zadzwoń do pani Cluny.

– Zadzwońisz? – pyta. – Z a d z w o n i s z ?

Przecież pani Cluny mieszka po sąsiedzku.

– Tak, zadzwonię.

I nagle mama przypomina sobie, że jej syn nie żyje. Jeszcze raz upewnia się, czy to możliwe, a ja kiwam bez przekonania głową. Nic dziwnego, że ma wątpliwości. Bo ja sama nie bardzo w to wierzę.

Ziarno śmierci mojego brata zostało zasiane przed laty. Zasiał je człowiek, który dawno nie żyje – przynajmniej tak mi się zdaje. Jeśli więc mam opowiedzieć historię Liama, muszę zacząć na długo przed jego urodzeniem. Marzę o napisaniu takiej właśnie opowieści: bo historia to takie romantyczne miejsce, pełne fiaków, uliczników i trzewików zapinanych z boku na guziczki. Gdyby tylko mogła się zatrzymać, ustatkować. Gdyby przestała mi tak wirować w głowie.

No dobrze.

Lambert Nugent po raz pierwszy ujrzał moją babcię Adę Merriman w hotelowym foyer w roku 1925. Wybieram ten właśnie moment. Była siódma wieczorem. Babcia miała dziewiętnaście lat, on dwadzieścia trzy.

Szła, nie rozglądając się na boki, po czym usiadła w fotelu z owalnym oparciem nieopodal drzwi. Lamb Nugent obserwował przez falę nadsiadających gości i zgiełk wydawanych poleceń, jak Ada Merriman zdejmuje rękawiczkę z lewej ręki, a następnie ściąga drugą z prawej. Wysunęła bransoletkę spod mankietu i, nie wypuszczając rękawiczek z rąk, złożyła je na podolku.

Była, oczywiście, piękna.

Trudno powiedzieć, jak Lamb Nugent wyglądał w wieku dwudziestu trzech lat. Od tak dawna spoczywa w ziemi, że niełatwo wyobrazić go sobie jako młodzieńca niewinnego bądź zdenerwowanego, skoro wszystko obróciło się w proch.

Co ona w nim zobaczyła?

Trzeba złożyć go z powrotem do kupy, szast-prast, mięśnie przytwierdzić znów do kości, otulić tłuszczem, całość oblec skórą i ubrać w granatowy lub brązowy garnitur – może krój wyłogów okaże się zbyt ostry, a zapach rąk nieco przyjemniejszy niż ten karbol. Już jednak wtedy zalatywał oschłym narcyzmem prostego człowieka, a wszystkie przejawy jego miłości własnej cechowała subtelność, jak również precyzja.

Lamb Nugent się nie puszył. Lamb Nugent obserwował. A może nie tyle obserwował, ile łaskawie wchłaniał – cały świat, ze wszystkimi jego niuansami, na przykład kto jest komu co winien.

Prawdopodobnie właśnie to zobaczył, kiedy moja babka weszła w drzwi i usiadła. A miał oczy dziecka. Czarne źrenice, w które podwójnym obrazem wkroczyła Ada Merriman. Była ubrana na niebiesko, a w każdym razie tak ją sobie wyobrażam. Jej błękit zajął miejsce w szarych zakamarkach jego mózgu i pozostał tam do końca życia.

Zrobiło się pięć po siódmej. W foyer toczono rozmowy o deszczu, o tym, co zrobić z fiakrem, i czy trzeba będzie podać przekąski; następnie zaciśnięty supeł wchodzących gości rozwinął się w sznur, który przeciągnął przez drzwi frontowe do holu, a dwóch służących czekało przed wejściem. Ona w eleganckim fotelu, on wsparty łokciem o wysoki kontuar recepcji, jak gdyby stał przy barze.

Tak wytrwali, każde w swojej pozie, trzy i pół godziny. Należeli do niższego stanu. Czekanie nie stanowiło dla nich problemu.

Z początku Ada udawała, że go nie dostrzega. Być może tak nakazywała grzeczność, ale też chyba on od początku zastosował taką sztuczkę, żeby się zbytnio nie narzucać. A napady szału, które zdarzały mu się później, w roku 1925 przybierały jedynie postać typowo młodzieńczych namiętności, tudzież nadziei. Jedyną przypadłością Nugenta za młodu była przywoitość. Był porządnym człowiekiem. Nie zaliczał się do bywalców hoteli. Nie miał obycia z kobietami, które z tak drżącą precyzją zdejmują rękawiczki. Jego przeszłość nie przygotowała go na Adę Merriman. Mimo to ze zdziwieniem odkrył, że i tak jest na nią gotów.

Niski portier za wysokim kontuarem odwiesił klucz na tablicę, po czym uderzył w dzwonek. Stał za biurkiem, zapisał coś, znów się oddalił. Z drzwi kuchni na zapleczu wyłoniła się pokojówka z herbatą na tacy. Weszła po schodach i skręciła w korytarz na piętrze, ale nie wróciła. Zostali sami.

Cóż za swoboda. Ponieważ w Dublinie roilo się od dumnych kobiet, jak również porządnym mężczyzn, można się było z tym obnosić albo, tak jak owa para, zachowywać spokój i milczenie. W tym skupieniu oboje zdali sobie sprawę ze swojej wzajemnej siły i zrozumieli, że żadne nie odejdzie pierwsze.

W życiu zakochujemy się w tak niewielu osobach. Chciałabym powiedzieć swoim córkom, że za każdym razem, kiedy się ktoś zakochuje, jest to bardzo ważne, nawet jeżeli ma dziewiętnaście lat. Zwłaszcza kiedy ma dziewiętnaście lat. A jeżeli w wieku dziesiętnastu lat ktoś może na palcach jednej ręki zliczyć ludzi, w których się zakochał, to w wieku czterdziestu zabraknie mu palców. W życiu zakochujemy się w tak niewielu osobach, które potem już na zawsze w nas pozostają.

Zanim więc zegar wybił kwadrans, tak właśnie Nugent przylgnął do Ady Merriman. Ona zaś tym samym przylgnęła do niego, chociaż jeszcze o tym nie wie albo nie daje tego po sobie poznać. Tymczasem zapada zmrok i nic się nie dzieje. Pokojówka, która przedtem nie zeszła na dół, teraz przemierza foyer z kolejną tacą i znów idzie po schodach, by kolejny raz zniknąć w ciemnościach korytarza na piętrze. Oboje słyszą, że w pomieszczeniu za kontuarem recepcji ktoś otwiera drzwi i pyta o pannę Hackett. Ada Merriman patrzy skromnie przed siebie, a Lamb Nugent nie wierzy ani jednemu jej słowu.

Powietrze między nimi jest zbyt kruche na miłość. W powietrzu przepęlniającym aurę miasta Dublinia mogą zawisnąć jedynie kpiny.

Skądś panią znam.

Lecz na to wszystko jest już za późno. Stało się. Stało z chwilą, gdy weszła w drzwi; kiedy się rozejrzała, ale jej spojrzenie nie padło dalej niż na fotel. Dokonało się w doskonałości, z jaką umiała być obecna, a zarazem niewidoczna. Reszta to już tylko poruszenie: po pierwsze tym, że też powinna go dostrzec (zresztą dostrzegła, dostrzegła jego opanowanie), a po wtóre, że powinna pokochać go tak samo jak on ją; nagle, bez pamięci, w sposób, który nie przystoi ich stanowi.

Ada zerka na niego, odwrócona bokiem; meszek na policzku jeży jej się pod wpływem wszystkiego, co chce wiedzieć o tym młodym człowieku stojącym w drugim końcu foyer. Ta świadomość gotowa wykwitnąć rumieńcem na twarzy, lecz Ada się nie rumieni. Patrzy na swoją bransoletkę – cienki łańcuszek z różowego złota ze sprzączką w kształcie litery T, przypominający dewizkę przy zegarku. Obraca w palcach tę dziwną ozdobę – męski bibelot na panińskim nadgarstku – i czuje na sobie ciężar niedowierzania Nugenta. Unosi nieznacznie głowę i pyta:

– A zatem?

Śmiałe posunięcie.

Nugent mógłby ją teraz znienawidzić, ale w wieku dwudziestu trzech lat jest za młody, żeby zdefiniować uczucie, które ogarnia go i znika, pozostawiając po sobie falowanie powietrza. Jakieś otwarcie. Zefir. Co to takiego?

Pożądanie.

Trzynaste po siódmej pożądanie zaigrało na młodych wargach Lamba Nugenta – psyt! Młody człowiek czuje jego straszliwą bliskość. Czuje przemożną chęć, by zrobić krok, lecz go nie robi. Nie rusza się z miejsca, tymczasem spokój Ady triumfuje. Jeżeli Lambert zachowa cierpliwość, może ona na niego spojrzeć. Jeżeli okaże pokorę, być może ona przedstawi swoje warunki.

Albo nie przedstawi. Nikt się nie ruszył. Możliwe, że to wszystko rozgrywa się w wyobraźni Nugenta... albo w mojej. Może jest żalonym młokosem, bo mnie w rękach tweedowy kaszkiet i przetyka ślinę, aż chodzi mu jabłko Adama; prawdopodobnie Ada nawet go nie dostrzega.

Tak czy inaczej, jest rok 1925. Mężczyzna. Kobieta. Ona musi wiedzieć, co ich teraz czeka. Wie, bo jest piękna. Wie, bo wnosi to ze wszystkiego, co zdarzyło jej się do tej pory. Wie, bo jest moją babcią, a kiedy kładła mi dłoń na policzku, czułam bliskość śmierci, która przynosiła mi ulgę. Nic bardziej ulotnego niż dotyk starej kobiety; nic bardziej wzruszającego ani potwornego.

Ada była fantastyczną kobietą. Nie znajduję na opisanie jej innego słowa. Trudno inaczej określić jej ramiona i to dreptanie ulicą, kiedy torba na zakupy objęła jej się o biodro. Nigdy nie widywało jej się z pustymi rękami, ale też nigdy nie było widać, co w nich niesie; zawsze miała coś do złożenia, uprania, odstawienia lub wytarcia. Nikt też nigdy nie widział jej jedzącej, bo zawsze albo słuchała, albo mówiła; a jedzenie po prostu zniknęło; jak gdyby nie trafiało do jej otworu gębowego. Innymi słowy, miała nienaganne maniery, a przy tym zaraźliwe. Już w wieku ośmiu lat wiedziałam, że babcia jest osobą czarującą.

Ale jak poznał się na niej Nugent, jeszcze zanim się do niego odezwała? Mogę tylko przypuszczać, że to nie miało znaczenia, bo jego więź przeszła różne fazy (zanim zegar wybił kwadrans po siódmej, Nugent zdążył ją znienawidzić), a każdą musiał odtworzyć w dłuższych cyklach – latach, nawet dziesięcioleciach – przejść od miłości do drwiny, dać się powalić nienawiści i porwać pożądaniu, znaleźć w sobie pokorę i ponownie zacząć od miłości. Z każdą chwilą dowiadywał się o niej czegoś więcej – może również więcej o sobie – ale nic już nie odgrywało żadnej roli. Czternaście po siódmej wrócili do punktu wyjścia.

A co z miłością?

Nugent decyduje się nieoczekiwanie na pierwszy krok. Chyli czoło, drapie się w przedziałek. Czyżby i ona się w nim zakochała? Czy mogliby wrócić do chwili, w której Ada weszła w drzwi i wznieść się ponad błahe zaprzątanie sobie głów wzajemnością i utratą?

Ależ tak, powiada smutny profil kobiety. Ada myśli przez chwilę o miłości.

Nugent czuje poruszenie u nasady penisa; przemawia przez niego przyszłość, załazek jego przyszłości. Nikt im teraz nie przeszkadza. Ktoś udusił pokojówkę w pokoju na górze; marionetkowy portier pada na fotel. Dziela ich cztery metry dywanu. Nugent myśli o swoim członku, nabrzmiałej żołądki wysuwającej się ze skórniego worka, Ada myśli o miłości, a hotelowy zegar pomyka z cichym terkotem przechodzącym w melodię odtwarzanych kwadransów.

Dii dii di dii da!

Da da di dii da!

Wezwany dzwonkiem mały portier, ocknąwszy się, drepcze przez ciemne foyer ze stołeczkiem, który stawia pod kinkietem wiszącym na ścianie. Drepcze z powrotem i wraca z łuczywem, którego płomień niknie w zapadającym wokół zmroku. Portier staje na stołku, żeby zdjąć klosz, puszcza strumień gazu, podkłada szybko łuczywo. Niebieski płomień zmienia się w żółtozieloną lunę na kominku, a światło pełga, by rozlać się na cały hol. Rozchodzi się mdląca woń gazu, zaraz potem ciepły zapach palonego papieru, którego czarne płatki wyfruwają spomiędzy trzepoczących palców. Portier wkłada klosz na miejsce, podsuwa stołek pod następną lampę i odchodzi.

Pod jego nieobecność na sali narastają pulsujące ciemności. Narastają coraz bardziej.

Człowieczek wraca. Nugent i Ada przyglądają się, jak dopełnia obrzędu zapalenia lampy; śledzą jego wejścia i wyjścia; upiorny narcyzm, z jakim przechodzi pod ścianami w stronę czwartego i ostatniego kinkietu, wiszącego nad fotelem Ady. Stawia stołek obok jej stóp, jak gdyby składał ukłon, i znów się usuwa. Po dłuższej chwili wraca z łuczywem, które mógł przecież zapalić od ognia buzującego w palenisku, ale tego nie zrobił. Widocznie nie chciał się przy nich schylać, aczkolwiek bez skrupułów prosi Adę o powstanie. Staje przed nią, podkłada łuczywo a to w jedną, a to w drugą stronę, utrzymuje ogień pełzający po zwitku papieru. Patrzy jej w oczy. I czeka.

Kiedy Ada wstaje, suknia zsuwa jej się z szelestem z kolan. Równie dobrze mogłaby w ogóle opaść na podłogę; mogłaby być zrobiona z wody, utworzyć barwną kałużę u jej stóp, tak nago teraz Ada wygląda. Nugent patrzy dość śmiało, a ona składa ręce przed sobą i wbija wzrok w podłogę. W pierwszej chwili Nugentowi robi jej się żal, ale zaraz mu to przechodzi. W końcu zmienia pozycję przy kontuarze i czerpie ulgę z zapachu, który uchodzi mu westchnieniem spod koszuli. Chwała Bogu. To nie jego wina.

Rano wybrał się do prokatedry na mszę. Wraz z innymi mężczyznami stanął do komunii. Mieli wygłodniałe miny biedaków, którzy stoją w kolejce po zupę. A kiedy wstał z kolan, poczuł się przyzwoitym człowiekiem: ruszającym się ślamazarnie, uginającym się pod brzemieniem życia, przepełnionym smutkiem z powodu ukochanych ludzi. Pełnym odwagi.

Jest Wielki Post. Nugent zrezygnował z boczku, kiełbasy i wszelkich podrobów, a także z mocnych trunków. Pracując nad duszą, oczyścił ciało – dlatego zapach unoszący mu się spod koszuli przynosi tchnienie wiosny, powiew mydła wczesnym rankiem, dyskretny odór codziennego znoju. Ma na sobie przyzwoicie znoszony garnitur, przyzwoicie czysty kołnierzyk koszuli, a przed sobą życie, które przyzwoicie przechodzi w solidny wiek średni.

Z jednym małym wyjątkiem – nie ma nic przyzwoitego w błysku jego dziecinnych oczu, kiedy spogląda na Adę Merriman w foyer hotelu Belvedere.

Ona odwzajemnia jego spojrzenie. Kiedy tak stoi – nieledwie naga – z rękami złożonymi przed sobą, podnosi twarz i patrzy mu prosto w oczy.

Wstrząs. Całą Adę Merriman przenika wstrząs. Źrenice rozszerzają jej się na jego przyjęcie; otwierają się tak nagle, że Nugent jest zadowolony, iż może się wesprzeć o kontuar.

Oboje uśmiechają się. Ada się uśmiecha, jak gdyby chciała podzielić się z nim żartem, rzuconym przez kogoś w foyer.

Nugent patrzy na nią. Zastanawia się, która z jej części ciała ją tak śmieszy. Piersi, szyja? Albo nie zdaje sobie sprawy z własnej nagości (bo jest przecież w pełni ubrana), albo się nie przejmuje. Może śmieje się z człowieczka, który zapala lampy. Albo z niego – kiedy tak stoi jak kołek z kulą w spodniach. Oczy wychodzą mu z orbit na tę niesprawiedliwość, z całą siłą odrzuconej miłości.

Tyle że – jak mógłby mu powiedzieć mały zapalacz lamp – ona jeszcze niczego mu nie odmówiła. Wcale nie odmówiła.

Lampy gazowe cicho syczą, kiedy portier podnosi stołek i wychodzi, nieznacznie odwrócony do tych kochanków w geście cynicznej uprzejmości, jak gdyby wszystko widział: kopulację (co za ohydne ciupcianie), pieniądze, kłamstwa, które już tu padły. Ach, gdyby to była piosenka, dałoby się ją zaśpiewać. Gdyby to była piosenka, dałoby się ją wystukać łyżkami. Zwłaszcza w Dublinie w roku 1925.

To wszystko oczywiście jest mój romans. Każdy miał piękną babcię – w kolorze sepii, z kwiatem pomarańczy we włosach. Ze statecznym spojrzeniem staroświeckich oczu. Dziś już nie znamy tej odwagi, którą musiała mieć w tamtych czasach panna młoda. Oto zdjęcie ślubne Ady: ma na głowie nisko upięty welon z lat dwudziestych, a jedwabna suknia ukazuje delikatną, ręczną robotę w obszyciach na dole. Była czysta i płonęła. Ada Merriman, moja skromna, żarliwa babka, w roku 1925 obiekt zainteresowania poetów.

Ma moje stopy. Albo raczej ja mam jej stopy: długie, z koślawymi paluchami. Podobnie grubokościste nogi w kostkach, długie, płaskie golenie, przez które czułam się tak niezgrabnie w szkole, dopóki nie nauczyłam się ich wykorzystywać. Dopiero w roku 1979 zrozumiałam, że mam wspaniałe ciało. Nie chodzi nawet o seks. Adwokaci pragną mieć ze mną potomstwo, architekci natomiast chcą, żebym siadywała na ich nowych fotelach Eamesa. Nic nie wystaje z przodu, sylwetka wysoka i smukła. Chyba dobrze się ubieram, chociaż za żadne skarby nie włożyłabym spódnicy do pół łydki, która uwydatniałaby moje kostki transwestyty i nieszczęsne sękaty paluchy.

Duże stopy Ady w satynowych pantoflach mają w sobie coś żalosego. Ada jest mężatką. Jest szczęśliwa. Albo tak sobie wyobrażam, kiedy odkładam jej zdjęcie do pudełka po butach, w którym spoczywa teraz cała jej historia. Zapewne z ulgą przyjmiecie wiadomość, że nie wyszła za mąż za Nugenta. Wyszła za jego przyjaciela Charliego Spillane'a. I to nie tylko dlatego, że miał samochód.

Ale Lamb Nugent nigdy jej nie opuścił. Moja babcia była największym tworem jego wyobraźni. Nawet jeżeli nigdy mu nie wybaczę, to właśnie jego postawa – której pozostał wierny – najbardziej określa dla mnie tego człowieka.

Z telefonu mamy w holu dzwonię do zakładu pogrzebowego w Brighton and Hove, gdzie podają mi numer grabarza, a ten bardzo uprzejmie zapisuje dane mojej karty kredytowej, którą mam pod ręką. Trzeba oczywiście wybrać trumnę, ale ja, nie wiadomo dlaczego, z góry wiem, że wybiorę dąb bielony – decyzja należy do mnie, bo to ja kochałam Liama najbardziej. Ile wszystko będzie kosztowało? Liczę w głowie, odkładając słuchawkę.

Bez słowa wchodzi sąsiadka mamy, pani Cluny. Mija hol, idzie do kuchni, zamyka drzwi. Po chwili dobiega zza nich bardzo cichy głos mojej mamy.

Nie mam cierpliwości do wykręcania starych tarcz, dlatego biorę do ręki komórkę i chodząc po domu, obdzwaniam wszystkich, w Clontarf i Phibsboro, w Tucson w Arizonie, żeby powiedzieć:

– Mam smutną wiadomość. Chodzi o Liama. Tak, no niestety.

A potem:

– Jestem u mamy. Tak, wstrząśnięta. Bardzo wstrząśnięta.

Wiadomość będzie omawiana na łączach zbyt cienkich i delikatnych, żeby dało się je łatwo wytropić. Jem zadzwoni do Ivora, Ivor do żony Mossiego, a Ita zawiadomi ojca Ernesta gdzieś na północ od Arequipa. Potem wszyscy będą wydzwaniali tu do mnie – albo dadzą się wyręczyć żonom – żeby poznać konkretne daty, powody, drastyczne szczegóły i numery lotów.

Przemierzam mroczne pokoje naszego dzieciństwa, ale niczego nie dotykam.

Wszystkie łóżka są zasłane, gotowe. Dziewczynki spały na górze, chłopcy na dole (sami widzicie, że mieliśmy system). Jak w mrowisku. Łóżko piętrowe bliźniaków stoi w pokoiku z lewej strony drzwi do holu – tam umarł mały Stevie. Drzwi w drugim końcu pokoiku prowadzą do przybudówki garażu, w której znajdują się trzy pojedyncze łóżka. Za nią jest korytarz prowadzący do ogrodu, w którym Ernest spał na materacu, po jego wyjściu z domu – Mossie, a na ostatku Liam.

Przejście do ogrodu ma spadzisty dach z przezroczystego falistego plastiku. Wciąż leży tam materac, podsunięty pod żółte drzwi ogrodowe ze świetlikiem z groszkowanego szkła. Zniknął plakat Liama przedstawiający Marca Bolana, ale zostały po nim brudne kawałki taśmy samoprzylepnej, zwisające ze ściany z pustaków.

Tutaj zapaliłam pierwszego w życiu papierosa.

Siadam na materacu, zakrytym szorstkim niebieskim kocem, i dzwonię do ostatniego, najmłodszego brata.

– Cześć, Jem. Nie, wszystko w porządku. Tylko jest smutna wiadomość na temat Liama.

Na co Jem, najmłodszy z nas, najprzystępniejszy i najbardziej kochany, mówi:

– Przynajmniej już ma z głowy.

Próbuję zadzwonić jeszcze raz do Kitty i słucham dzwonka telefonu w jej pustym londyńskim mieszkaniu. Kładę się, wpatruję w falisty, plastikowy dach i zastanawiam, czy można by zburzyć te wszystkie szopy i przybudówki, żeby przywrócić domowi jego pierwotny kształt. Może dałoby się pozbyć przeróbek i rozpocząć od nowa.

Kiedy przyjeżdża Bea, otwieram drzwi w holu, chwytam ją za rękę i obtańcowujemy ciemny korytarz. Idę za nią, wkraczam w żółte światło kuchni i widzę, że przez ten czas, kiedy obdzwaniałam wszystkich, mama postarzała się o pięć, może dziesięć lat.

– Dobranoc, mamo. Chcesz coś wziąć? Może wezwać lekarza, żeby dał ci coś na sen?

– Nie, nie. Dziękuję.

– Jadę tam, żeby wszystkiego dopilnować – mówię.

– Do Anglii? – pyta. – Teraz?

– Zadzwonię, dobrze?

Całuję ją w policzek. Wydaje mi się bardzo miękkiej. Patrzę na Beę, która rzuca mi mroczne spojrzenie, pełne wyrzutu.

„Nie mów mamie”.

Jakby to była moja wina.

Ojciec przesiadywał w kuchni do jedenastej wieczorem, z gazetą rozpostartą na kolanach i oglądał telewizję. Po wiadomościach składał gazetę, wstawał z fotela, gasił telewizor (niezależnie od tego, czy ktoś oglądał) i szedł do łóżka. Wcześniej płukał butelki na mleko i wystawiał na ganek. Czasem wysadzał na nocnik jednego z bliźniaków, a potem utulał do snu. Następnie szedł do pokoju, w którym spał z mamą. Mama już od wpół do dziesiątej leżała w łóżku, czytała i wzdychała. Chwilę rozmawiali półgłosem, rozlegał się brzęk kluczy i monet, kiedy je odkładał. Szczęk kłamy paska. Stukot buta spadającego na podłogę. Cisza.

Miałam w szkole koleżanki, których rodziny cieszyły się pokaźną gromadką pięciorga albo sześciorga dzieci. Inne miały sześcioro lub siedmioro rodzeństwa – co już wywoływało mniejszy entuzjazm – no i zdarzały się tak nieszczęsne jak moja, w których bezradni rodzice rozmnażali się równie łatwo, jak wypróżniali.

Po wyjeździe od mamy zamiast skręcić w lewo, skręcam w prawo, na lotnisko. Nie myślę o tym, dokąd jadę, myślę o deszczu, o prędkościomierzu, o szuraniu wycieraczki po szybie. Myślę o niczym – bo też nie ma o czym. A potem o alkoholu. Żadnych wynalazków. Marzy mi się szklaneczka ognistej whisky albo dzinu. Frunę ku niej swoim eleganckim saabem 9-3, bo już myśl o alkoholu rozkwita mi w ustach.

Po każdym wyjeździe z tego domu zawsze chce mi się pić – widocznie tak na mnie działa odczuwana tam niesprawiedliwość. Ale się nie napiję. Jeszcze nie teraz. Kitty była tak rozstrojona, kiedy do mnie zadzwoniła, że słyszałam tylko w słuchawce jej durne zawodzenie.

– Ojeeej, buuu – bełkotała. – Buuu. Jejuniu. No niee.

Z czego miałam wywnioskować, że policjantka była też u niej. Owszem, czekanie było okropne, dobrze że nie trwało zbyt długo. Sęk w tym, że chciałam jej to powiedzieć przez telefon, sęk w tym, żeby się upić dopiero po otrzymaniu wiadomości, a nie przed. To cienka granica, Kitty, ale naszym zdaniem ważna. Bo dla nas, tu, w prawdziwym świecie, jest to wielka różnica. Fakt / Wymysł. Umarły / Żywy, Pijany / Trzeźwy. W świecie wykraczającym poza świat rodziny Hegartych jedno nie równa się naszym zdaniem drugiemu.

Ale nic takiego, oczywiście, nie powiedziałam. Powiedziałam tylko:

– Ech, ech, och Boże.

– Ojej, ujuj, aj, buu – zakwiliła.

– Ach, ach, ach, och, och Boże – dorzuciłam od siebie.

Ten dialog trwał, dopóki słuchawki nie wzięł od niej mężczyzna, który zapytał miłym południowolondyńskim akcentem:

– Czy rozmawiam z siostrą Kitty?

Musiałam okazać mu uprzejmość i przeprosiłam, że nasz brat umarł, psując mu czwartkowe popołudnie.

Nagle widzę, że jadę niewłaściwą drogą do domu, no więc staję na światłach, dzwonię do męża i przepraszam, że nie wrócę na noc. Nie chcę, żeby dziewczynki mnie zobaczyły, dopóki się z tym nie uporam. Niech się o mnie nie martwią.

Tom zapewnia, że wszystko się ułoży. Wszystko się jakoś ułoży. Głos trochę mu drży, co każe mi sądzić, że jeśli nie zakończę tej rozmowy, zaraz powie, że mnie kocha, bez wątpienia zaraz to powie.

– Wszystko jest dobrze – mówię. – Pa, pa, pa.

I włączam się do ruchu, w drogę na lotnisko.

Śmierć ma w sobie coś cudownego, bo wszystko tak się zamyka; kompletnie tracą znaczenie drogi, które człowiek uważał za otwarte. Mąż może nakarmić dzieci, poradzi sobie z nową kuchenką, nawet znajdzie parówki w lodówce. Jego ważne spotkanie okazuje się całkiem nieważne. Odbierze dziewczynki ze szkoły i rano je zawiezie. Starsza córka pamięta o inhalatorze, młodsza nie zapomni, wbrew obawom, stroju gimnastycznego – większość twoich zajęć jest głupia, bez reszty głupia, bo wiecznie tylko gderasz, marudzisz i dogadujesz ludziom, którzy są nawet za leniwi na to, żeby cię kochać, a co dopiero znaleźć swoje buty pod łóżkiem; ludziom, którzy naskakują na ciebie – czasem wręcz z krzykiem – kiedy nie mogą znaleźć jednego buta.

Płacę, jadąc na lotnisko saabem 9-3, wylewam łzy, bo nawet ważne spotkanie mojego męża okazało się całkiem nieważne (jak mogłaś choć przez chwilę podejrzewać, że takie rzeczy są istotne?), a on kocha cię bez pamięci przez pół godziny lub pół tygodnia, bo właśnie umarł ci brat.

Powinam chyba zjechać na pobocze, ale nie zjeżdżam, no więc przez całą drogę ryczę za kierownicą. Na Coltons Avenue jakiś mężczyzna, który utkwiał w korku na pasie z naprzeciwwka, widzi, że szlocham w bajeranckiej furze. Znajduje się pół metra ode mnie. Dosłownie na wyciągnięcie ręki. Patrzy na mnie ze współczuciem, po czym odjeżdża. Takie sytuacje spotykają nas wszystkich.

Na autostradzie ogarnia mnie zdumienie, nie dlatego, że każdy kogoś traci, lecz dlatego, że kogoś kocha. Cóż za kolosalna strata energii – a przecież wszyscy to robimy, uwijamy się między białymi liniami, łączymy, zbliżamy, prześcigamy. Wszyscy kogoś kochamy, chociaż nam kiedyś umrze. I nie przestajemy kochać, nawet kiedy go już nie ma. Trudno mi się w tym dopatrzeć sensu i logiki.

Na lotnisku jeżdżę po parkingu, z poziomą na poziomą, aż docieram pod wieczorne niebo. Liam zawsze mnie z tego powodu wyśmiewał. Wszyscy mnie wyśmiewali. Że parkuję możliwie najbliżej samolotów, czyli na dachu, w deszczu.

Gaszę silnik i patrzę, jak krople spływają po szybie.

Kiedy ostatnim razem go tu przywiozłam, nie mogłam się doczekać, aż zniknie mi z oczu.

Poważnie. Posiedziałam chwilę, patrząc przed siebie, a na siedzeniu obok piętrzyła się imponująco jego potężna sylwetka: ciemna góra mięsa, mój brat – Chryste! – ten siwy facet w brudnej koszuli, ten stary drań. Odwróciłam się i powiedziałam:

– No to mamy jeszcze dużo czasu.

Odprowadziłam go do wyjścia i patrzyłam, jak przechodzi przez bramkę. Ciekawe, czy mógłby jeszcze stamtąd zawrócić. Pomyślałam, że chyba nie jest to niezgodne z prawem. Ze można podejść do bramki i zmienić zdanie. Można nawet zmienić zdanie w samolocie, zerwać się z fotela, i wrócić – do Irlandii, gdzie jeszcze przez jakiś czas będzie się wszystkich zadrećcać.

Na ogół bracia z czasem tracą na znaczeniu. Liam postanowił obrać inną drogę. Postanowił do końca pozostać ważny.

Słyszę tuż nad głową ryk samolotu, a kiedy znika mi z oczu, z rozdziawionymi ustami ściskam kierownicę. Trwamy tak jeszcze chwilę, ja i samochód, po czym opieram się głębiej w fotelu i otwieram drzwi.

Kiedy krzyczę bezgłośnie w swoim kabriolecie saab na lotniskowym parkingu wśród deszczu, czuję, że Liam się ze mnie śmieje. Lub raczej jego brak się ze mnie śmieje. Bo on stoi gdzieś z boku – w martwym polu – stoi cały, choć jednocześnie w ogóle go tam nie ma. Widzę, że chociaż umarł, wcale nie jest nieszczęśliwy. Nie tyle jednak wyczuwam jego n a s t r ó j , ile ciepło u dołu kręgosłupa. Czuję jego nieobecność, nieżyjącą, najgłębszą istotę, jego sedno, które całkiem znikło albo właśnie znika.

Żegnaj Vee

Żegnaj

Żegnaj

Otwieram auto i wysiadam na deszcz.

5

Oto mój dziadek, Charlie Spillane, jedzie O'Connell Street do hotelu Belvedere na spotkanie swojej przyszłej żony.

Jest wtorek, wpoł do jedenastej wieczorem. Wielki Post. Z restauracji Greshama albo Savoy Grill wysypuje się kilka bluźnierczych par, które wsiadają do tramwaju albo ruszają piechotą do domu, ale poza tym w mieście panuje spokój. Samochód Charliego jest ciemnoszary, a kiedy przemyka pod latarnią, w smudze światła miga niebieska skórzana tapicerka. Ma odsunięty dach, widać więc lśniąca mosiężne elementy i głowę Charliego. Ten samochód to istne cacko – chociaż niezupełnie do niego należy; ale jeździ nim tak długo, że można założyć, iż człowiek, który mu go zostawił, już nie wróci.

Przez całe moje dzieciństwo ten samochód zajmował garaż Ady: morris bullnose, z popękanyim starym dachem przypominającym budę ogromnego wózka dziecinnego. Niewiele z niego zostało, nie miał już nawet drzwi. W spokojne letnie popołudnia siadywałam na przednim siedzeniu i słuchałam myszy harcujących w silniku.

Albo Liam obok mnie wołał:

– Wrum, wrum! Wrum, wrum.

W roku 1925 samochód nadal jest istnym cackiem. Charlie rozgrzewa go na wysokich obrotach, ciągle zmienia biegi i pedały – zdaniem Nugenta w ogóle nie powinien nim jeździć, bo to bezustanne naciskanie i kręcenie bardzo niszczy sprzęgło i zawory. Przednie hamulce leżą rozwarte na stole, zanurzone w specjalnym płynie. Nugent też nie jest jego właścicielem, ale kocha auto. Stojąc w foyer hotelu Belvedere, nasłuchuje warkotu silnika, nie wiedząc, czego nasłuchuje. Tymczasem Charlie jeździ po Dublinie korzystając jedynie z tylnych hamulców, bo umówił się na spotkanie z pewnym człowiekiem w sprawie psa.

Charlie jest mistrzem uników. Nie lubi zakończeń. Nie lubi też zresztą początków. A zakochuje się, bo widzi, że coś mu się wymyka. Innymi słowy, łapie Adę wtedy, kiedy ta chce odejść.

Lecz Ada jeszcze nie zna Charliego. Ada Merriman stoi w foyer hotelu Belvedere i patrzy na Lamba Nugenta, podczas gdy Charlie Spillane wjeżdża w Great Denmark Street, zbliża się do żony, której jeszcze nie poznał. Już ma przystanąć pod drzwiami hotelu Belvedere, kiedy wieża kościoła Findlatera o czymś mu przypomina, odjeżdża więc z rykiem do pubu The Hut w Phibsboro na spotkanie z pewnym człowiekiem w sprawie psa.

Nugent nastawia ucha za oddalającym się silnikiem. Gdy jego odgłos milknie, na ulicy zalega cisza. Sączy się do foyer Belvedere; daleki szum ulic przechodzi z dnia w wieczór, kiedy zmrok gęstnieje i rozpoczyna się picie – gdzie indziej. Kobiety uciszają dzieci, mężczyźni zdejmują buty z cholewami, dziewczęta, które pracowały przez cały wieczór, myją się teraz w dalekich pokojach, a potem przeglądają się w odłamkach luster, zanim znów wyjdą do pracy. Ada oddycha tak płytko i spokojnie, jak gdyby była aniołem, który na chwilę zamieszkał w ciele lalki. Jej szyja to kolumna, napisałby poeta, a zamknięte usta w tym świetle wyglądają jak wyrzeźbione.

Wypalony węgielek spada na ruszt, szepcząc „psyt”.

Nadciągają umarli.

Kulą się pod ścianami i lgną do gasnącego ciepła kominka: Lizzy, siostra Nugenta; jego matka, która wcale nie lubi być umarła. Duchy Nugenta szczebiocą cicho, niespokojnie, a duchy Ady milczą.

Dlaczego?

Jasna sprawa. Bo Ada jest sierotą.

W szybie drzwi wejściowych zjawia się twarz, drzwi zostają pchnięte. Żwawa, pokurczona twarz z brodą. Rozgląda się, cofa. Umarli się rozbiegają, lecz wracają po chwili, na co Ada, jak gdyby nie mogąc tego wytrzymać, zrywa się, podchodzi do kontuaru, naciska dzwonek.

Dzyń, dzyń!

Stają obok siebie – w końcu! – Ada i Nugent, co ją wyraźnie bawi. Nugent odbiera jej swobodę i nonszalancję jako obrazę i prowokację – biedny Nugent, który dzielące ich pół metra odczuwa bardziej niż kiedykolwiek odczuwał powietrze. Który wsunąłby dowolną część siebie w jej dowolną część, żeby doznać ulgi. Który chętnie wsadziłby jej ręce w brzuch, żeby poczuć żar i oślizgłość trzewi.

Nie drwij.

Tak bardzo – chciałby jej powiedzieć. – Tak bardzo cię już Kocham.

– Halo. Jest tu kto?

Z ciemności kantorku na zapleczu wyłania się portier.

– Macie coś takiego jak gorący rum dla fiakra? Bo czeka na dworze. – Odwraca się do Nugenta i mówi: – Sama nie wiem, dlaczego się za nim wstawiam, bo zawsze kiedy jest potrzebny, to go nie ma. Chyba po to, żeby mi nie czmychnął.

Po czym wraca do swojego fotela przy drzwiach. W końcu ma tylko dziewiętnaście lat. A on ma tylko dwadzieścia trzy.

– Mój kolega ma samochód – mówi nieoczekiwanie Nugent.

– Coś podobnego!

Ada przystaje; zaintrygowana, buńczuczna.

– Powinien tu być lada chwila, powinien już tu być.

– Chętnie bym się przejechała – wyznaje Ada. – Mamy szaloną ochotę się przejechać.

I obraca się na pięcie, żeby usiąść w fotelu.

Ach, gdyby tak jakaś lina wyciągnęła go spod niej – Nugent pomknąłby przez salę, żeby ją porwać w ramiona. Mogliby się całować czarno na białym, ona odwróciłaby głowę, żeby przeczytać napis:

„Stop!!”.

Bo jest nie tylko Wielki Post, lecz również wiosna. Nic zresztą dziwnego! Ada Merriman jest piękna, a Lamb Nugent nie grzeszy powściągliwością, i nic więcej nie musimy wiedzieć – tyle tylko że kiedy ona weszła w drzwi i usiadła z tą swoją spokojną gracją w małym fotelu z owalnym oparciem, on zobaczył życie, w którym nikt nikomu nie jest nic winien. Ani odrobinę.

Pod hotel podjeżdża samochód. Nugent słyszy warkot silnika i rzuca Adzie spojrzenie – bolesne, a zarazem pożegnalne – jak gdyby znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Ale się nie znaleźli, alarm zaś, który błysnął między nimi, teraz przechodzi w inne olśnienie.

Żadne z nich już nic nie robi osobno. Już nic.

Razem się odwracają, kiedy Charlie Spillane wchodzi w drzwi, rozochocony alkoholem, pełen złamanych obietnic i niedotrzymanych terminów. Dostrzega Nugenta, który opiera się o kontuar, wodzi dokoła wzrokiem, aż widzi postać w błękitach, która siedzi pod ścianą przy drzwiach. Och.

– Moje uszanowanie – wita się, uchylając (wymagowanego) melonika. – Mam nadzieję, że ten młody człowiek należycie panią zabawił.

Ada parska śmiechem.

Tak po prostu. Jednym ruchem ręki Charlie zmienił wszystkie rachuby – swoją przyszłość i moją przeszłość.

Oto dwaj przyjaciele zostawiają Adę Merriman.

Charlie wskazuje koledze hotelowe drzwi i wychodzą. Znów wsiada do morrisa bullnose'a, rękawiczkami kierowcy wyciera sobie twarz. Wyciera, jakby długo płakał i przed chwilą przestał. Nugent siada na miejscu pasażera. Charlie dodaje gazu, z gwałtownym wyskokiem pokonuje zapomniany klin pod kołem, rusza.

W Conways jest ciemno. Objeżdżają Rotundę i zatrzymują się na Parnell Street, gdzie jacyś goście piją jeszcze po godzinach zamknięcia w drugiej sali niedostępnej dla zwykłych ludzi, zatraconego pubu Blue Lion. W powietrzu unosi się aura niedawnej zwady; ze śmietników na podwórku bije swąd spalenizny.

– Flaszkę i oranżadę – zamawia Charlie. Smakują trunek, ostrożnie przyglądają się morderczej klienteli pubu. Charlie nie jest najlepszego zdania o samochodzie, tymczasem Nugent przygląda się stojom drewna i połyskującej niskiej mosiężnej barierce.

W drodze do domu Nugent unosi się z siedzenia, nad przednią szybą wystawia twarz na powiew wieczornego powietrza. Kiedy jadą przez Błonia, patrzy na panienki, które czekają tu, nawet w Wielkim Poście, na dzianych gości wychodzących z hotelu Shelbourne: na dźwięk nadjeżdżającego samochodu odwracają białe owale twarzy.

Kiedy auto zatrzymuje się w pewnej odległości od drzwi hotelu, Nugent opada na siedzenie.

– Będziesz tak dobry i na niego spojrzysz? – prosi Charlie, mając na myśli bęben hamulcowy, który spoczywa rozłożony na stole wśród trofeów Nugenta.

– Jasne – odpowiada Nugent i od drzwi macha Charliemu na pożegnanie.

Wszedłszy do środka, rozgląda się po swoim pokoiku; wąskie łóżko, w oknie dwie firanki rozdzielone na boki, jak włosy związane z obu stron małej, prostokątnej twarzy. Patrzy na stolik – zepsute hamulce morrisa bullnose'a, piękne jak jabłka namalowane w poświacie księżycy. Po ciemku zaczyna rozpinąć koszulę, guzik po guziku. Rozchyła ją na piersi. Rozpina do dołu. Klęka. Zdejmuje koszulę, macha nią za siebie, aż guziki uderzają go w plecy, raz i drugi; dopiero wtedy rozpoczyna wieczorne pacierze.

Przychodzi do niego Lizzy.

Jego młodsza siostra. Już nie żyje. W ich wspólnym pokoju, w dzieciństwie zawsze rozbrzmiewało wilgotne rżenie z jej klatki piersiowej; raził go potworny bulgot flegmy i wstrząsająca jaskrawa krew. Nie może zapomnieć, jak co noc odmawiał tajemniczki w straszliwej, a zarazem bezpiecznej odległości od jej łóżka; jak palcami o zbieleńszych kostkach gmerała po pościeli w poszukiwaniu upuszczonego różańca ani jak oczy błyszczały jej ciemnym blaskiem, kiedy patrzyła na niego, jakby prześwietlała jego kości wzrokiem na wylot. Ominął go niemal jego własny okres dojrzewania, kiedy jej się kłuły małe piersi pod koszulą nocną. Jednocześnie zmierzała w stronę śmierci i do kobiecości, jej sutki przypominały rozlewające się sińce, piersi rosły, a zarazem stały w miejscu na płucach obrzmiałych chorobą. A potem umarła.

Czy wystarczy mu pomyśleć o niej, kiedy klęczy przed łóżkiem?

Gdy tak trzyma swój penis wieczorem, czuje pod palcami jej cienką skórę; zawsze wilgotną, choć nigdy niespoconą. W tamtych czasach ludzie łączyli się ze sobą w najobrzydliwsze sposoby...

6

Tak żyję od śmierci Liama. Nie kładę się całą noc. Piszę albo i nie. Chodzę po domu.

Nic tu nie osiada. Nawet kurz.

Kupiliśmy dom w roku 1990, osiem lat temu; nowy, wolnostojący z pięcioma sypialniami. Przypomina murowany budynek w stylu Tudorów z domieszką stylu królowej Anny, chociaż nie ma, chwała Bogu, portyku, a w środku urządziłam go w kolorach: beż, kremowy, piaskowiec i popielaty. Dom wygląda najlepiej w jasnych barwach, dlatego w nocy zostawiam zapalone światła, nastawiam ściemniacze na dużą jasność i krążę po pokojach. Zgrabnie przechodzą jeden w drugi, w amfiladzie. Jestem sama. Dziewczynki stanowią tu jedynie osad; jakiś film wystaje z gęby magnetowidu, przy telefonie leży szminka z połyskiem. Tom, mój wymagający mąż, śpi na górze, śniąc swój wymagający sen o bólączkach i wybawieniu w świecie finansów korporacyjnych, co w żaden sposób nie dotyczy mnie.

Beż, kremowy, piaskowiec, popielaty.

Wprowadziliśmy się i zaczęłam od najrozmaitszych lambrekinów, nawet festonów. W oknie wykuszowym od frontu chciałam powiesić największy kwiecisty lambrekin, jaki znajdę – wyobrażacie sobie? Kiedy go znalazłam, zdecydowałam się jednak na proste rolety rzymskie; w końcu urządziłam ogród jak się patrzy i... już nie zależy mi na niczym. Godzinami przyglądam się przedmiotom i marzę, żeby znikły, usuwam je w myślach.

Tak mi upływa życie.

Siedzę całą noc. Jeżeli Tom jest w domu, wpół do jedenastej wychyla się ze swojego małego gabinetu i prosi:

– Nie siedź całą noc!

Jak gdyby nie wiedział, że i tak nie położę się obok niego jeszcze długo, a może nigdy. Od tego wszystko się zaczęło, kiedy mniej więcej miesiąc po śmierci Liama przestałam sypiać z mężem, ale nie mogę zasnąć w żadnym innym łóżku niż to, które zajmowaliśmy razem. Bo nie chcę, żeby dziewczynki zobaczyły mnie śpiącą w gościnnym pokoju.

Co jeszcze mogę zrobić? Nie stać nas na rozwód. Zresztą nie chcę od niego odchodzić. Po prostu nie mogę z nim spać, i tyle. Czyli mój mąż czeka, aż zacznę ponownie z nim sypiać, a ja czekam na coś innego. Czekam, aż wszystko się wyjaśni.

No więc nic nie robimy. Dzielimy czas między siebie. W każdym razie ja dzielę. Wykorzystuję tę część doby, którą Tom mi zostawi – a to sporo godzin – i żyję podczas jego snu. O siódmej rano, kiedy dzwoni jego budzik, ja kładę się spać, a on odwraca do mnie i narzeka na moją zimną pupę.

– Znów siedziałaś całą noc? – pyta.

– Przepraszam.

Jak gdyby w tym tkwił problem. Jak gdybyśmy mogli się kochać, jak gdyby chodziło o chłód mojej pupy i stałą, koszmarną rozbieżność naszych harmonogramów.

Tom budzi dziewczynki i odwozi je do szkoły, dlatego mogę spać do trzeciej, kiedy to zwlekam się i jadę po nie.

Stamtąd odstawiam je na lekcje baletu, zajęcia z irlandzkiego tańca, na konie albo do domu, gdzie będą mogły pooglądać telewizję przed podwieczorkiem. Ograniczam czas spędzany przed telewizorem – twierdzę, że to dla ich dobra, ale tak naprawdę dla mojego. Lubię z nimi rozmawiać. Gdybym z nimi nie rozmawiała, chyba bym umarła – powiedzmy, że na nieistotność – po prostu bym zgasła.

Sadzam którąś córkę na kanapie i wyłudzam od niej odrobinę miłości dla siebie. Rebecca jest postrzelona, ale dobra, Emily to nasza kociczka, córeczka tatusia; trochę zdesperowana, trochę zimna, a jej błękitne oczy Hegartych zawsze chwytają mnie za serce. Tulimy się, wygłupiamy, rozmawiamy, czasem też krzyczę za nieodrobione lekcje, za niezjedzony posiłek albo gderam, że czas do łóżek, a kiedy kończą się te krzyki i czułości, bo dziewczynki już śpią, zaczynam myszkować po domu.

One wcale mnie nie potrzebują – myślę. One mnie jeszcze przez jakiś czas znoszą.

Z salonu do pokoju dziennego, do stołowego, do kuchni – jeden ciąg pomieszczeń wokół schodów; cały parter stanowi otwartą przestrzeń z jednym małym gabinetem wciśniętym za drzwiami prowadzącymi do holu. Kiedy Tom wraca do domu, tam się chowam. Niektóre noce spędzam w Internecie. Najczęściej jednak piszę w kółko o Adzie i Nugencie w hotelu Belvedere.

Wpół do dwunastej Tom wychyla głowę zza drzwi i prosi:

– Nie siedź całą noc!

A kiedy odgłos jego kroków cichnie, świat należy do mnie. I cóż to jest za szalony świat!

Zdarza się, że przez dłuższy czas nie wiem, co robię lub co zrobiłam – właściwie nic, ale czasem dobrze byłoby wiedzieć, co się za tym naprawdę kryje. Zdarza mi się wpaść w szał sprzątanania o czwartej nad ranem. Zachowuję się wtedy jak złodziej, szoruję, wstrzymując oddech, podkradam kurz ze ścian. Staram się nie pić przed wpół do szóstej wieczorem, ale gdy już piję – opróżniam butelkę wina do dna. Tylko tak potrafię zakończyć dzień.

W środku nocy dochodzą mnie strzępy i wybuchy głosów – jakby ktoś zapalał i gasił w sąsiednim pokoju radio. Niezborne, lecz dość wesołe dźwięki. Opowieści odbijają się od ścian. Do środka sączą się urywki życia. Szepty w naciskanej klamce. Ptaki na dachu. Raz na jakiś czas zapiszczy dziecięca zabawka. Kiedyś dobiegł mnie głos brata:

– Teraz. Teraz.

Natężałam słuch, ale zniknął.

Kiedy otwieram lodówkę, w głowie wszystko mi skacze i opada; stopień, który omijamy przy zasypianiu. Zwiastun. Czuję, jak przyszłość wali mi się przez sufit mojego umysłu, lecz kiedy podnoszę wzrok, nic tam nie widzę. Sznur. Coś wisi w worku, którego nie mogę dotknąć.

Między chwilą, w której napełniam winem kieliszek, a drugą, w której po niego sięgam, zdążam wylać wszystkie żale.

Czasem idę na górę, żeby popatrzeć na swoje łóżko beze mnie. Tom śpi na plecach. Nie chrapie. Czasem, kiedy mu smutno we śnie, przewraca się na bok i kładzie ręce pod brodą. Wzdryga się przez sen.

Na co dzień obraca elektronicznie pieniędzmi. Za każdym razem odrobina zostaje mu w kieszeni. Dzień w dzień. Co godzinę. Co minutę. Na dłuższą metę sporo się tego uezbiera.

Mój brat Liam spędził większość dorosłego życia jako salowy w szpitalu Royal Free Hampstead. Woził łóżka po korytarzach, ładował guzy nowotworowe do worków, nosił amputowane kończyny do spalarni, i jak twierdził, był z tej pracy zadowolony. Odpowiadało mu tam towarzystwo.

Dawniej byłem dziennikarką. Pisałam o zakupach (ktoś musi). Teraz zajmuję się dziećmi – jak to się nazywa?

Kochaliśmy się z Tomem w noc czuwania przed pogrzebem – jak gdyby śmierć Liama zmiotła wszystkie pajęczyny: awantury, dzieci, poważną pracę człowieka wiecznie zajętego, a przy tym dokładającego starań, żeby tylko nie spać z innymi kobietami. Odwoływał się do spraw podstawowych: mówił, że mnie kocha, że mój brat, pomimo śmierci, nadal żyje. Egzekwował swoje prawo. Kocham męża, ale rozłożywszy nogi pod jego roztańczonymi biodrami wiejskiego junaka, wcale nie czułam w sobie życia. Czułam się jak ćwiartowany kurczak.

7

Niech to jednak poczeka. Nieszczęsny kurczak niech jeszcze poczeka.

Jadę pociągiem do Brighton, gdzie mam odebrać ciało brata albo je zobaczyć, przywitać, pożegnać czy co tam się robi z kochanym niegdyś ciałem. Oddać cześć. Jest spokojny jesienny dzień. Wyglądam przez okno i ze zdziwieniem widzę, że wzgórze Downs nadal istnieją. Anglia zawsze wydaje mi się trochę dziecinna.

Haywards Heath

Wivelsfield

Burgess Hill

Hassocks

Co za głupie, wydumane nazwy, jakby je ktoś wymyślił. Zawsze mnie dziwią te tereny, że naprawdę są zielone i naprawdę miłe. Oraz że naprawdę tu są. Migają mi za oknem, każde pasmo z inną prędkością. W pół drogi do horyzontu suną pomału łąny wsi, a nieco dalej wąską wstęgą umykają do tyłu wzgórze. Usiłuję znaleźć granicę, za którą krajobraz uspokaja się i zmienia zdanie, a jednocześnie zaczynam dopatrywać się przewrotności w tej podróży, bo jazda w kierunku nieboszczyka nie popycha nikogo naprzód.

I wtedy dzwoni Bea, moja siostra.

– Halo?

– Jesteś na roamingu?

– Nie wiem.

– Jeżeli jesteś w Anglii, to jesteś na roamingu.

– W takim razie jestem.

– No to nie będę ci nabijała rachunku – obiecuje. I się rozkręca.

W mamie odezwał się zew tradycji, dlatego prosi, żebym przywiozła trumnę do domu przed pogrzebem, to wystawimy Liama w naszym upiornym frontowym pokoju na widok publiczny. Aczkolwiek po namyśle stwierdzam, że nie wyobrażam sobie lepszego dywanu dla nieboszczyka, co zresztą mówię Bei, z tymi podłużnymi pomarańczowo-brązowymi figurami.

– Co ma do tego dywan? – komentuje Bea.

– Daj spokój – usadam ją.

– Po prostu zrób, o co mama prosi, i tyle – ucina siostra.

– Zrób? – powtarzam, a myślę: „przecież to ja, do cholery, płacę za to”.

– Tak by sobie życzył tata – mówi Bea i myśli: „to ja jestem strażniczką naszego ogniska”, czym przyprawia mnie o taką furję, że przez chwilę nie słyszę własnych słów, jej zresztą też nie.

Tymczasem za oknem miga wieś w różnym tempie i w różnych kierunkach, a między nami trwa walka o powrót na spokojny grunt.

Ma, oczywiście, rację. Tata wychował się na zachodzie – zawsze wiedział, jak postąpić. Miał wykwintne maniere. Co według mnie sprowadzało się głównie do tego, że nigdy nikomu nic nie mówił. „Witam, jak się czujesz”, „Do widzenia, trzymaj się”, wszystkie kontakty międzyludzkie sprowadzał do takich rytuałów. „Przepraszam, że musiałeś się fatygować”, „Odłóż te pieniądze”, „Ładny kawałek szynki”, „Miło, że zechciałeś wpaść”. Całe to jego opanowanie niesłychanie mnie nudziło. Godność tego człowieka nadwerężało jedynie jego szaleńcze tempo rozmnażania się. Tata umarł w roku 1986 na zawał serca, a żalobnicy podśmiewali się w kruchcie, że doigrał się od nadmiernego bzykania.

– Byłby dumny, gdyby was tu wszystkich zobaczył – powiedział jeden z sąsiadów.

– Byłby dumny, że tak siedzicie w jednym rzędzie jak stopnie schodów.

Nie wyraziłam na głos swojego zdania, lecz wcale nie podzielałam opinii sąsiada. Nie sądzę, że tata byłby z nas dumny. **N i e s z c z e g ó l n i e .**

Mówił pięknie po irlandzku. Język stanowił dla niego romantyczny obszar, na którym nawet teraz go kocham.

Tata wcale nie był najgorszy. Wykładał w seminarium nauczycielskim, ze względu więc na długie wakacje i krótki dzień pracy zawsze go było pełno w domu; kierował, dyktował, dyrygował ruchem; zimą o świącie przynosił z targu skrzynie warzyw, jak gdyby utrzymywał kolonię, a nie rodzinę. Wszystko to musiało się kiedyś skończyć – kiedy chodziłam do szkoły średniej, notorycznie wysyłałiśmy bliźniaków do narożnego sklepiku po boczek; Ernest lub Mossie brzęczeli moniakami w kieszeni, żeby sprawdzić, czy im wystarczy na smażony posiłek. Członkowie rodziny Hegartych nigdy nie byli skąpi. Nawet ja, najbardziej powściągliwa z całej rodziny, nie jestem sknerą. To coś więcej niż sprawa towarzyska, bo prawie tabu religijne; po dziś dzień na widok skąpiradła przechodzą mnie ciarki, aż odwracam głowę. Jak więc w tej sytuacji wypadam?

„Do cholery, płacę za to”.

Zakłócam naturalny porządek.

Tymczasem pociąg sunie przez Anglię, tu-dum, a Bea siedzi na kolanie zmarłego ojca i nie przestaje gadać, z kokardą we włosach, jak grzeczna, dziewczynka, bo zawsze nią była, tymczasem ja patrzę na wzgórze, usiłuję dorosnąć, pozwolić ojcu umrzeć, pozwolić siostrze osiągnąć dojrzałość (pal diabli menopauzę). I nic z tego nie jest możliwe. Nic. Jakaś linia krajobrazu nie chce drgnąć, tylko się cofa, zawieszam na niej oko.

– Powodzenia w Brighton – życzy mi Bea, a jej głos wpycha mnie w krzaki chłoszczące okno.

– Dziękuję – mówię. – Dbaj o mamę – po czym zamykam telefon i zastanawiam się, czy wypowiedziałam na głos słowa „ciało”, „trumna” lub „nieboszczyk” w miłej angielskiej ciszy wagonu, myśląc, że już wolałabym jeść gówno niż – co? – ostrygi w bekonie, razem z sąsiadami nad ciałem mojego brata wystawionym w starym frontowym pokoju.

Cholerny dywan.

A czuwać będą nie tylko sąsiedzi, lecz również szczątki naszej drużyny Midge-Bea-Ernest-Stevie-Ita-Mossie-Liam-Veronica-Kitty-Alice-i-bliźniaki-Ivor-i-Jem. Umarli, pobożni i dyrektorzy (oraz gospodynie domowe, byłe dziennikarki, niedoszłe aktorki, anestezjologowie, projektanci zieleni, trochę TEGO i trochę TEGO). Rozejrzemy się po sobie i powiemy: jednego mniej. Jednego mniej. Dzieciarnia będzie biegała po domu, odzierając go swoim hałasem do gołego tynku; Rebecca będzie się bawiła ze swoją kuzynką Anuną, ściśle rzecz biorąc, moją cioteczną wnuczką – żebyście nie musieli pytać, jak właściwie jest ze mną spokrewniona.

Ależ on był zdesperowany – powiemy. Był straszliwym kawalarzem. Tyle że nie umiał sobie nikogo znaleźć. Miał dobre serce. I po kolei w głowie. Przyznamy, że był świetnym kompanem. Ależ miał dowcip! A jaki był wygadany! I bardzo wrażliwy. Cóż za wrażliwość! Aż chciało się o niego zatroszczyć. Nie nadawał się do tego świata. Nie bardzo się nadawał.

– Tak – potwierdzę. – Był kawalarzem.

Nie wiem, czy to najwcześniejsze, ale z pewnością najżywsze moje wspomnienie Liama, który sika przez drucianą siatkę ogrodzenia do gładkiej tafli jeziora po drugiej stronie.

– Hurra!

Mocz rozpryskiwał się o siatkę, a kiedy śmigiałam obok, przestawał. Łyżwy! Na ich wspomnienie myślę, że Ada też nas chyba rozpieszczała.

Kiedy miałam zaledwie osiem lat, a Liam prawie dziewięć, rodzice wysłali nas z młodszą siostrą Kitty do Ady w Broadstone. Babcia mieszkała zaledwie kilka kilometrów od nas – z czego zdaję sobie sprawę dopiero teraz, bo w dzieciństwie wydawało mi się to tak daleko jak Timbaktu. To był odrębny świat; mała enklawa zabytkowych domów w pobliżu centrum Dublina, wpasowanych w siebie jak klocki lego.

Rodzice zaczęli nas tam wysyłać tuż po urodzeniu Kitty. Na ten okres przypada luka w reprodukcji mojej mamy, chyba wtedy rodziły się te martwe dzieci, które najwięcej ją kosztowały zdrowia i zamieniły w osobę, jaką znałam później.

Nie wiem, jak nazywali te epizody. W owych czasach samotne kobiety przeżywały „załamania nerwowe”, ale mężatki albo miały więcej dzieci, albo nie. Mama znów się zabrała do dzieła, bo w 1967 roku urodziła Alice (co my byśmy zrobili bez Alice!), a tuż potem przyszli na świat Ivor i Jem. Podejrzewam, że niesprawiedliwość w postaci bliźniaków mogła przyprawić ją o ostatni atak „nerwicy”. Na pewno zawsze na spodeczku z lekami, obok brufenu na stawy i warfarinu na serce, trzymała środki uspokajające, bo odkąd pamiętam, wpadała w drżączki, miewała niewyjaśnione kłopoty i ataki płaczu. Czasem się zastanawiam, jaka była, zanim musieliśmy wyjechać, albo czy po każdym powrocie do domu rozumiałam, jaka strata się dokonała – skoro naszą mamę, która przedtem tańczyła ze szczotką do zamiatania lub całowała niemowlaka w brzuszek, zastąpił ten dobroduszny ludzki ochłap siedzący w pokoju.

W domu Ady zawsze panowała cisza. Trudno było zapomnieć odgłos własnego oddechu – wdychanego i wydychanego powietrza – dopóki kogoś nie przyduśiło jego własne wahanie. Cisza typowa dla domu, w którym nie ma dzieci, a pokoje są zagracone. Na kominkach i na stolikach stało mnóstwo bibelotów, których nie pozwalano dotykać. Szuflady były pełne drobiazgów nie używanych od lat lub używanych tylko raz do roku. Wszystkie ułożone osobno, z szacunkiem, którym nie obdarzano w naszym domu niczego.

Ada odznaczała się wyrazistością, której brakowało mojej mamie. Kłóciła się z Charliem bądź flirtowała z nim w kuchni. Moi rodzice nigdy nie flirtowali, nawet nie wydawali się do tego zdolni.

– Daj głośniej telewizor, żeby tata usłyszał wiadomości.

Porozumiewali się za pośrednictwem dzieci, tak jak wszystkie znane mi małżeństwa. Mimo że nie prawili sobie czułości, trzeba przyznać, że się nie kłócili – chociaż czasem do ich rozmów zakradał się chropowaty ton, który mógł świadczyć o osobistym chłodzie lub odrazie. Zresztą sama nie wiem.

Może się myłę. Może przez cały czas ze sobą rozmawiali, tyle że umykały mi jakieś intymności, których nie słyszałam ani nie zapamiętałam – tak jak trudno zapamiętać charakterystyczny śmiech ukochanej osoby.

Pamiętam jednak, że Ada flirtowała z Charliem: kręciła się między kuchenką a stołem i śpiewała, podając Charliemu obiad. Pamiętam też jej rzeczy – komodę na podeście schodów pełną skrawków i próbek materiałów; próbki krawieckie z miękkimi kartkami przypominające książki bez fabuły, bo tylko jeden deseń gonił drugi. Na kominku w pokoju Ady stał kryształowy wazon pełen piór. Pamiętam chrzęst jej słomkowych kapeluszy i woń piłśniowych, które trzymała na dnie szafy. Są to zapewne wspomnienia młodej pedantki, bo w wieku ośmiu, dziewięciu lat uwielbiałam składać, wygładzać i chować różne rzeczy. Zapach kapeluszy w środku pamiętam od trzeciego roku życia.

Rzadko przebywaliśmy w domu, biegaliśmy po ulicach albo bawiliśmy się wokół zalewu, sztucznego jeziora, z którego niegdyś czerpano wodę do produkcji irlandzkiej whisky. Co podkusiło Liama, żeby do niego nasikać? I taki jego obraz utkwił mi w głowie – mały chłopiec podrywa tyłek, żeby siknąć łukiem wysoko w powietrze, a moc najpierw rozpryskuje się o siatkę, a potem leje swobodnie przez romby ogrodzenia.

Mogliśmy również szturmować fortecę dworca autobusowego w Broadstone, którego ciemny mur wznosił się, niczym klif wycięty we wzgórzu, zwieńczonym posągami Najświętszej Marii Panny. Kręciliśmy się przy wejściu, aż pewnego dnia udało nam się wślizgnąć do zajezdni z rzędami piętrusów. Skradając się wzdłuż nich, jedno z nas – na pewno Liam, bo przecież nie ja – sięgnęło po klamkę, wmontowaną półkoliście niczym tarcza obok drzwi. Szuu.

Czułam zapach niebieskiego skaju siedzeń, zapach ludzi, którzy z nich wstali, żeby następnym mogli usiąść i znów wstać, minuta po minucie, dzień po dniu, z zakupami i codziennością. I chociaż nie cięliśmy siedzeń ani nie bazgraliśmy po sufitach, kiedy biegaliśmy po tym pustym autobusie, odstawionym na bok, wszyscy troje uzmysłowiliśmy sobie, w jak żałosnej sytuacji się znajdujemy, podrzućmy babci – nagle nic dla nas nieznaczącej – stęsknieni za rodzicami, którzy też coraz bardziej tracili na znaczeniu. Kiedy Liam otworzył z trzaskiem połówkowe drzwi kierowcy, pomyślałam raptem, że mógłby poprowadzić ten pojazd, zjechać zakosami w dół do Constitution Hill, potem w górę przez Phibsboro, do domu, w którym rozrastała się bez nas nasza prawowita rodzina, i dalej.

I wtedy nas złapano. Ponieważ byłam na górze, usłyszałam coś dopiero poniewczasie, kiedy już Liam i Kitty kłapali sandałami, uciekając. W końcu Liam odwrócił się i krzyknął do mnie. Dopiero wtedy usłyszałam, moje imię doleciało nie wiadomo daczego zza autobusu, a w środku na schodach zadudnił głos jakiegoś mężczyzny; widziałam też jego dłoń na chromowanej poręczy, na której podciągał się, wchodząc do góry, aż jego tułów wyrósł z czeluści schodów niczym rosnący balon. Kiedy znalazł się na górze, przystanął i obrzucił mnie spojrzeniem. Miał na sobie służbową czapkę z daszkiem i typową niebieską koszulę, z guzikami pękającymi mu niemal na ogromnym brzuchu, który musiał podtrzymywać paskiem, tak jak duży biust trzeba podtrzymywać stanikiem. Dotaszczył ten swój brzuch do mnie, aż się cofnęłam, potykając, następnie usiadłam obok tylnego siedzenia autobusu. Wtedy na mnie natarł – i chociaż we wspomnieniach nie wszystko musi się zgadzać co do joty, pamiętam zaskakującą jędrność i sprężystość jego brzucha, kiedy szturchał mnie w twarz białym guzikiem; w końcu się spod niego wywinęłam, smyrnęłam między jego krótkimi nogami i uciekłam od odoru gabardynowego munduru kierowcy. Po czym zbiegłam po schodach.

– Wynocha! – ryczał za mną. – Wynocha!

Kilku kierowców się obejrzało, kiedy wybiegłam przez drzwi.

Nie było innej drogi, jak tylko w dół Constitution Hill, pędziłam bez tchu, chciałam spotkać Kitty i Liama. Ale znalazłam ich dopiero pod drzwiami kościoła, Liam już wtedy wiedział, co to sanktuarium – rozumiał, że nawet kierowca autobusu w mundurze nie może tam nikogo dopaść.

Weszliśmy do środka, żeby się pomodlić – naprawdę wierzę, że zdarzyło się to tego samego dnia – uklękliśmy przed ołtarzem, czując pościg na karku, a kiedy serca przestały już nam łomotać, spojrzeliśmy po sobie i potrzebę śmiechu zastąpiło wyższe, bardziej uduchowione uczucie. Z tym poczuciem nabożnego uniesienia podziękowaliśmy za wybawienie przy ołtarzu świętego Feliksa, któremu każde z nas zapaliło świecę, a ponieważ nie znaleźliśmy otworu na monety, po wrzuceniu których zapalało się światło, postawiliśmy jeszcze kilka, aż ksiądz zaznaczył przedramię Kitty sińcami. Jednocześnie, kiedy ją bił, zrobił nam przepojony gniewem wykład na temat niegodziwości. Nie pamiętam ani jednego słowa, ani też późniejszych komentarzy Ady na temat ręki Kitty, ale pamiętam nalaną, wyrazistą twarz kłapiącego językiem księdza, która przypominała pulpę owocową. I chociaż zdrowy rozsądek podpowiada, że te dwa incydenty nie mogły się zdarzyć jednego dnia, twierdzę, że się zdarzyły. A kiedy wiele lat później jakiś mężczyzna szedł za mną uliczkami Wenecji z erekcją jak na dłoni, umknęłam do kościoła, jak gdybym prosiła się o coś gorszego – ale nie spotkało mnie nic: puste ławki, pleśń na ścianie, świstek papieru wystający spod mrocznego obrazu olejnego, z sygnaturą „di Tintoretto” sporządzoną długopisem. Znajdowałam się w ciemnej bocznej kaplicy z freskiem nieba na suficie, widocznym, jeśli ktoś wrzucił stulirową monetę, żeby zapalić światło. Poza tym otoczenie było ciche i obskurne. Nic gorszego tam na mnie nie czekało. Uklękłam tyłem do jaskrawego białego prostokąta otwartych drzwi, ale Włoch, ten z ulicy, nie wszedł za mną; z konfesjonału nie wymaszerowało dziecko ze stulonymi rękami, w których niosłoby spermę; nie drgnął żaden święty. Pochyliłam głowę i zatopiłam się w modlitwie jak kobieta na filmie z lat pięćdziesiątych, zanosilał modły, żeby to coś ode mnie odeszło, żeby opuściło mnie dławiące przecucie, iż tak właśnie umrę, z twarzą wciśniętą w brudną, granatową lub czarną gabardynę, z kutasem nieznanomego wepchniętym mi do gardła i czym, czym, czym?

Coś mi się obraca w brzuchu. Nóż. Nie nóż.

To się nie dzieje naprawdę.

Lecz oto niespodziewanie, z wielkim hałasem rozbłyły w bocznej kaplicy światła, poprzedzone powolnym mechanicznym brzękiem wsypywanych monet. Patrzyłam z klęczek na wchodzących Niemców i Anglików, którzy zgłębiali mechanizm na liry i zapalali niebo, podczas gdy za moimi plecami, w otwartych drzwiach kościoła, nadal stał Włoch z erekcją albo już nie stał. (Co on w ogóle zamierzał?) W każdym razie nie przestał progu, a kiedy skończyłam swoją rozpaczliwą, ateistyczną modlitwę i odwróciłam się, zobaczyłam, że zniknął. I bardzo dobrze. Tyle że odtąd, chodząc po mieście, widziałam go wszędzie.

Na ogół byliśmy grzeczni. Tak mi się zdaje, że podczas pobytu w Broadstone byliśmy grzeczni; może odrobinę zahukani, zaniepokojeni; Liam miał szczególną skłonność do nagłych zwrotów i zmian w zachowaniu, były one równie często śmieszne, jak okropne, a poza tym, chociaż Kitty potrafiła zaleźć za skórę, robiła to z dziecięcym wdziękiem, no i żadne z nas raczej nie miało złych zamiarów, bo niby dlaczego?

9

Mężczyzna siedzący obok mnie w pociągu do Brighton unosi nieznacznie miednicę i znów siada. Drzemie w migoczącym, zmysłowym blasku słońca, ukołysany i wstrząsany ruchem pociągu. Czuję, jak krew wzbiera mu w podbrzuszu; gruby, obły penis sunie pod nogawką spodni od garnituru.

Nadchodzi następny.

I znów nie ma się czym denerwować – młody biznesmen ze wzwodem siedzący obok w pociągu – chociaż jestem pogrążona w świeżej żałobie. Zważywszy na mój stan ducha, zdumiewa mnie hydraulika całego przedsięwzięcia. Że też takie drobiazgi mogą mieć tak wielkie konsekwencje. Przemyka mi przez głowę taka myśl, czy gdyby Liam urodził się kobietą, a nie mężczyzną, to teraz by żył.

I oto nagle Liam wyrasta zza wózka z herbatą, w chustce na głowie na wzór Dicka Emery'ego, w sportowym biustonoszu.

– Jupiiii! Ja żyję!

Ja zaś mówię:

– Nie, dziękuję – całkiem zacnej kobiecie, która proponuje:

– Może coś do picia?

A mężczyzna obok sięga po gazetę, żeby zakryć łono.

Nieszkodliwy. Nieszkodliwy. Nieszkodliwy.

Zamykam oczy.

Liam odwiedził mnie w szpitalu wieczorem, kiedy urodziłam Rebeckę. Zjawił się z bukietem różowych kwiatów z kwiaciarni na dole. Tom poszedł do domu, żeby się przespać, wszystkich już obdzwoniłam i zostawiono mnie, abym doszła do siebie, ale rozpieła mnie wprost energia, chwaliłam się dzieckiem przed pielęgniarkami i salowymi, zastanawiając się, czy to mecz piłki nożnej, czy atak terrorystyczny sprawił, że wszyscy wielbiciele tej kruszyny utknęli w korku?

I oto w drzwiach stanął Liam – nie wiedziałam nawet, że jest w domu. Siedziałam oparta o poduszki, ociekając potem, a córeczka – niedosiężnie piękna – leżała w plastikowym łóżeczku przy moim boku.

Podszedł, żeby ją obejrzeć, a biła od niego taka pewność, kiedy pochylił się nad następnym pokoleniem, sprawdzając pańskim okiem oczy, palce u rąk i nóg, drobne pory na nosku zapchane żółtą materią, na widok której od razu dostałam hysterii z powodu ewentualnych wągrów, kiedy dorośnie.

– Jak się czujesz? – bodajże zapytał.

Chyba się nie pocałowaliśmy. Hegarty'owie zaczęli się całować dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych, a i to tylko w Boże Narodzenie.

– Dobrze – chyba odpowiedziałam.

Usiadł na krześle dla gościa i zlustrował nową sytuację: matka z dzieckiem.

– Wszystko poszło dobrze? – pamiętam, że tak właśnie zapytał, i pamiętam, że odpowiedziałam:

– W każdym razie teraz jest dobrze.

Ściany na sali były żółte, a blask słońca po przyjściu dziecka na świat wydał mi się intensywniejszy i pełen ekstazy.

Pamiętam, jak dobrze wyglądał; jaki mi się wydawał przystojny, gdy kroczył ulicą wśród obcych ludzi, ten mój trochę za gruby brat. Bardzo się ucieszył na widok swojej siostrzenicy. Dopiero w jej obecności zobaczyłam w nim człowieka, o którym mogłam powiedzieć, że to moja krew.

Po porodzie wrócił mi węch, dziwnie zniekształcony w czasie ciąży, co tak mi się kazało napawać zapachem, że wsadziłam nos do kieliszka z szampanem i przez całe popołudnie nie piłam, tylko wachałam. Czułam, jak z godziny na godzinę trunki się rozkłada w zetknięciu z powietrzem. Na tym właśnie obszarze istniałam – w zapachu unoszącym się z powierzchni szampana – przy którym nawet szelest ubrań Liama wydawał się głośny.

Powiedziałam mu, że zadzwoniła do mnie mama i że się popłakała.

– Popłakała? – zapytał.

– Sądziła, że wszyscy jesteśmy bezpłodni – wyjaśniłam, chociaż wyczułam swoją nieszczerłość. Bo sprawiła mi swoim telefonem wielką radość.

Porozmawialiśmy chwilę o mamie.

Wpatrywał się w szklankę na szafce przy łóżku. Wyjaśniłam, że to tylko mała butelka z samolotu. Mimo to dopił ją przed wyjściem, ciepły, zwietrzały, okropny ostry płyn, który teraz wylewał się ze mnie porami, kiedy roztaczałam woń na pokój. Nie przeszkadzało mi to. Podziękowałam, że pozbawił mnie tego zapachu. Siedząc w pociągu do Brighton, usiłuję określić picie mojego brata w czasie. Kiedyś nie stanowiło ono jego problemu, lecz w końcu nim się stało, a wtedy wszyscy zainteresowani odetchnęli z ulgą.

– Trochę się martwię jego picciem – mówili i po pewnym czasie nikt już go nie słuchał.

I słusznie, bo to było jedno wielkie gówno. Alkohol, jak to alkohol, kompletnie go zniszczył. Ale ja próbuję ustalić czas, kiedy przestałam się martwić o niego, a zaczęłam o jego picie. Może wtedy – kiedy moja mała córeczka raz po raz otwierała oczy, jak gdyby chciała sprawdzić, czy świat nadal tam jest. Chyba w tamtej chwili. Właśnie wtedy.

Pijak nie istnieje. Cokolwiek mówi, przemawia przez niego tylko alkohol. Albo istnieje jedynie migawkowo. Siada pod żółtą ścianą, patrzy na ulubioną siostrę, która właśnie wydała z siebie dziecko. Patrzy jej w oczy jak za dawnych lat. Ale reszcie nie wolno wierzyć.

Czułam zapach utrwalacza, który gołał przed drzwiami do szpitala, zapach wina do obiadu i piwa z zeszłego wieczoru. Ale wyczuwałam też całkiem nowy metabolizm, objawiający się słodyczą w jego krwi i oddechu. W ostatnich latach niewiele jadł, bo napędzał organizm już tylko alkoholem. Zastanawiam się, czy miał cukrzycę, czy może właśnie ona zaważyła. Gdyby zrobił badania krwi, moglibyśmy jakoś wszystkiemu zaradzić, bo może to wcale nie picie jest problemem.

Wtedy dociera do mnie, że on nie żyje.

A picie było – jakże bym mogła zapomnieć – jego manifestem egzystencjalnym. I z pewnością nie miało nic wspólnego z metabolizmem. Nie było przyczyny. Czy w chwili śmierci był zalany? Niewykluczone. A teraz, co mu faluje w żyłach? Krew, woda morską, whisky. Miał obsesję na punkcie whisky. Może wyobraził sobie, że płynie do cholery Francji.

Zamykam oczy, żeby nie oślepiało mnie ciepłe słońce i zasypiam obok śpiącego nieznanego w pociągu do Brighton.

10

Oto Ada i Charlie w łóżku rok później. Charlie łśni jak foka i ma taki długi, gruby brzuch; leniwe genitalia rumienia się na tle jego tłustych białych ud. Jest sobota rano, a każdy zbłąkany wietrzyk, każda zmiana pozycji Ady pod pierzyną może poderwać go do góry, dopóki nie stanie pod odpowiednim kątem – powiedzmy pięćdziesięciu stopni – który wyda mu się wystarczająco sterowny i sprzyjający. Przez chwilę się nad tym zastanawia – czterdzieści mogłoby wypaść niezręcznie, mniejszy kąt zakrawałby na gafę i nieśmiałość – a tę kwestię musi skonsultować z partnerką. Wraca pod kołdrę do szczupłych podudzi Ady, która śmieje się i podnosi kolana. Robili to już tyle razy w ciągu ostatnich kilku godzin, że trudno odróżnić, co jest na zewnątrz, a co wewnątrz. Trudno też odróżnić pościel od powietrza w pokoju, ich ubrania i dłonie: wszystko ich pieści. Stanowią jeden wielki kłębek wystrzępionych nerwów. Wycierają jedno drugie do cna; a każde zdumione cienkością skóry partnera; jak bardzo mogą się do siebie zbliżyć, jak krew zlewa się z krwią, gdy więc potem jedno pulsuje w drugim, to może być żart, a może tętno – kiedy serce partnera bije w twoich żyłach.

Trzydziestotrzyletni Charlie oczywiście ma na tyle rozumu, żeby nie szczytować w Adzie częściej, niż musi (choć czasem po prostu nie może się oprzeć), a więc dźwiga się po raz ostatni i pada jak tonący, który rozpryskuje morską wodę na nabrzeże. Adę natomiast wszystko tam boli nie tyle od kochania się, ile od octu wkładanego do środka w specjalnym francuskim mieszku, który dostała w prezencie od bezczelnego i przebiegłego Charliego po zaręczynach. Są kochankami. Nawet już po ślubie można powiedzieć, że są kochankami. Nie wspominają o dzieciach: nie zdają się na przypadek. Zaloty miały gwałtowny przebieg; zaręczyny wydawały się jedynie pretekstem do przedłużenia miłych chwil, gdy więc zgodnie z prawem trafili do łóżka, sytuacja tak ich już udręczyła, że wyglądali nocy poślubnej jak katastrofy dopełniającej dzieła zniszczenia. Ada rozebrała się przy łóżku jak kobieta, która szykuje się do kąpieli, a Charlie w świetle lampy mrużył oczy, żeby nakręcić zegarek. A kiedy już odbyli gwałtowny, okropny stosunek – kiedy Ada szeroko otworzyła oczy – zrozumieli, że wszystkimog muszą się dopiero nauczyć.

– Nie przejmuj się. – Wydaje się, jakby Charlie nie powiedział nic innego od dnia, w którym się poznali. – Nie przejmuj się, nie spotka cię żadna krzywda.

Ada ufała mu z niejasnych nawet dla siebie samej powodów. I miała rację. Już sama ta ufność stanowiła jej triumf; chuda, rzeczowa Ada, nad wyraz czujna. Zaufała mu od pierwszej chwili i nigdy nie przestała ufać, nawet kiedy przyprowadził komorników.

Teraz zaś, tego sobotniego ranka, bierze go za rękę i kładzie ją sobie na nadużywanym łonie, żeby jej ciężar i ciepło poskładały ją znów razem. Wszędzie czuje się obolała. Jeszcze nie nabrali w tym wprawy. Czują, że czekają ich tu wspaniałości. Mahoniowe łóżko ma dwa wianuszki drobnych kwiatów, splatające się w kokardę na wezgłowie. Jest trochę za miękkie – skrzypi, uginając się pod kochankami aż do podłogi, ale leży się w nim arcywygodnie. Ada znalazła się w swoim żywiole: ma własne łóżko, własne flakoniki i eliksiry na komodzie, cały swój dobytek, książki i śniadanie, na podorędziu. Jest mężatką. Może mieszkać w tym łóżku. Może w nim jeść, czytać i regularnie się w nim zaszywać.

I tak jak łóżko stanowi jej pałac, tak Charlie jej wspaniałego grubego gościa. Jego pszeniczna czupryna aż lśni na tle różowej pierzyny. Włosy spływają w dół i kłębią się wokół zagłębień jego ciała. Urywają się na wysokości kostek nóg, po czym znów wypryskują, niczym umykający ogień, małymi kępkami przy obu paluchach. Złote kędziory pokrywają mu brzuch. Małe kłaczkę zwisają pod sutkami i wyłażą spod pach. Adzie nigdy się nie nudzą, gdy tak wartko płyną. Jak gdyby właśnie wyszedł z wanny – no i ten żart na szczycie, bo głowę ma splukaną do cna. Albowiem Charlie jest całkiem łysy.

Należy do mężczyzn, którzy wyglądają, jakby powinni nosić melonik, ale szczyci się swoją łysą pałą – kiedy byłam mała, sadzał mnie sobie na kolanie, żebym go po niej głaskała – często też chodzi z gołą głową, chcąc ją przewietrzyć. Korzysta natomiast z szalika, często poburkuje i chrząka, klepie się w pierś, poprawia szalik, a także kładzie i znów stawia poły płaszcz z wielbłądziej wełny. Rzadko wychodzi z domu bez tego okrycia. Wypełnia sobą pokój w sposób nad wyraz mylący, bo chociaż – przez tę łysinę, może też krępe uda – sprawia wrażenie człowieka drobnej postury, w rzeczywistości jest słusznych rozmiarów i może dlatego nigdy nie siada, bo ma obawy, czy się zmieści. Wszędzie bawi tylko przelotem. Nigdy nie zostaje na herbatę. Zupełnie jakby chciał tylko zostawić informację, chociaż po jego wyjściu często trudno ustalić, co to była za informacja. Ma niski, żarliwy, a przy tym bardzo sympatyczny głos. Ludzie czują przy nim ciepło i niepewność, jak gdyby nimi sterował – ale w jakim celu? Oglądają sobie ręce, ale niczego im nie zabrano. Za to go właśnie nie lubią – chociaż może niedokładnie za to. Urok Charliego jest całkowicie bezcelowy. Poza tym nikt nie zna jego pochodzenia.

Spillane to nazwisko z irlandzkiego hrabstwa Kerry, lecz akcent ma angielski, z domieszką akcentu z hrabstwa Clare, a przy tym wyraźnie zdubliniały. Po jego zmasakrowanych samogłoskach można poznać, że niewątpliwie pragnął się zasymilować – a może właśnie chciał odstawać? Ale i tak nikt nie dawał wiary ani jednemu jego słowu. Pamiętam, że sama w wieku ośmiu lat w ogóle mu nie wierzyłam.

Była jakaś historia z koniem (zawsze jest jakaś historia z koniem). Była historia lorda Leinstera, niekończące się historie z hotelu Shelbourne i historia powstania wielkanocnego z roku 1916, o którym czasem wspominał, ale nigdy właściwie nic nie opowiedział.

– O tak, panie Spillane – powiada mężczyzna w sklepie za ladą i puszcza do mnie oko. – Tak to wyglądało w dniach chwały.

Co mi Charlie kupił? Oranżadę w proszku, bo cóżby innego?

Najlepiej pamięta go moja skóra. Te ciarki rozkoszy, kiedy pochylał się nade mną i coś szeptał na ucho; zjeżone wąsy i wyświecony tweed marynarki. Czułam łaskotanie na samą myśl, że coś chowa w ręce albo w kieszeni – chociaż nigdy tam nic nie było. Grał w trzy karty – sztuka dla sztuki: po prostu uwielbiał się popisywać, a gdy już osiągnął swój cel, odchodził.

Biedny Charlie. Był pierwszym nieboszczykiem, jakiego widziałam; leżał potężny i nieruchomy pod różową pierzyną Ady. Dlatego opisywanie ich nocy poślubnej w tym samym łóżku graniczy dla mnie ze świętokradztwem – ale przecież cała moja obecność tutaj graniczy ze świętokradztwem.

Szkoda, że nie pamiętam, jak umarł – czy narobił hałasu w nocy, czy odszedł za dnia w głuchoj ciszy. Musiało się to stać podczas naszego pobytu. Może nawet dlatego wróciliśmy do domu. Ale dziecko słabo odnotowuje takie daty i szczegóły, bo wyrzuciłam je z pamięci – prawie bez reszty. Pamiętam tylko, jak później powstrzymywałam śmiech, kiedy wprowadzono mnie do pokoju.

Był chyba luty 1968. Nadal miałam osiem lat, Liam dziewięć, zabrano nas na górę, żebyśmy „pożegnali się” z Charliem. Mimo że byłam dzieckiem, chyba wiedziałam, że choćby się nie wiadomo jak żegnać, jeżeli ktoś nie żyje, to nie odpowie, dlatego Liam musiał mnie ostro powściągać, kiedy mijałam na schodach sąsiadki odmawiające różaniec. Pamiętam je, zakutane w chusty; plecy Ady idącej przed nami opancerzone w gorset z czarnej tafty. Ale to był rok 1968: powinny mieć na głowach wzorzyste chustki i płaszcze z wielkimi guzikami pachnące deszczem. Ada pewno była w granatowej sukience z grempliny na białej podszewce, którą wkładała na wszystkie okazje, a do kompletu granatowe bolerko i kapelusz przypominający pilśniowy balon, wkleśnięty z jednej strony.

Nogi klęczących sąsiadów wystawały zadziwiająco daleko: buty wisały im dosłownie w powietrzu, a golenie podtrzymujące uda tworzyły swoistą drabinę, grożącą potknięciem, tarasującą schody, po których usiłowaliśmy wejść.

Na zakręcie modliła się bardzo głośno jakaś kobieta. Kiedy zobaczyła, że chichocze z Liamem, przewróciła oczami ze smutkiem, jak gdybyśmy zrobili coś absolutnie karygodnego. Dobrze pamiętam to ogarniające mnie w zwolnionym tempie poczucie winy i całkowitą niemożność zmiany. I wtedy zrozumiałam, że za nic w świecie nie chcę wchodzić do pokoju dziadków.

Jeszcze kilkoro klęczących blokowało podest na piętrze, a za nimi, przez otwarte drzwi, zobaczyłam fragment łóżka i nieruchomą, nierówną bryłę stóp Charliego. Pamiętam jego proste nogi w otwartych na oścież drzwiach, okropne pagórki kolan, miłosierną zasłonę w postaci pierzyny okrywającej wzniesienie imponującego brzucha. Ręce miał złożone błogo na piersi, oplecione różańcem.

Różaniec krępował ciasno dłonie, jak gdyby wrzynał mu się w ciało. Na ostatku trochę srogich formalności; poniekąd zemsta za to, że umarł.

Ada obejrzała się, żeby sprawdzić, czy trzymamy się za nią, i usunęła się na bok, żebyśmy lepiej widzieli. Chociaż mnie wcale nie zależało na zobaczeniu dziadka.

Charlie uwielbiał pożegnania.

– Do widzenia! Do widzenia!

Nigdy nie wiedzieliśmy, dokąd odchodzi. Wychodził w zaduchu wyjaśnień, które niczego nie wyjaśniały. Czyli okazało się, że Ada miała rację – jej mąż był mężczyzną ze wszech miar irytującym. Można to było poznać po tym, jak podskoczyła do niego, jakby chciała mu strzepnąć łupież z poły marynarki. Bo rzeczywiście coś tam było – mucha maszerująca po szyi. Sądziłam, że wylazła spod kołnierza – i od tamtej pory naprawdę dręczy mnie myśl o robakach. W każdym razie głupi uśmiech zamarł mi na twarzy, jak gdyby Ada zamachnęła się na mnie, a nie na muchę.

Na jej oczach mucha sfrunęła z Charliego, uderzyła raz i drugi o roletę, po czym wróciła na łóżko. Stałam za Adą; czułam jej niemy, rozjątrzony gniew, kiedy zobaczyła, że mucha znów krąży, odlatuje, po czym wraca raz jeszcze, by ponownie przycupnąć na martwej szyi. Usiadła, przebiegła po skórze, nie przeszkodziły jej głębokie fałdy w jego pulchnym ciele ani nieliczne wystające włosy. Ada poruszyła się lub miała taki zamiar, na co mucha wzbiła się i powtórzyła odlot na roletę, tym razem okrążyła jej jasną krawędź, a potem uderzyła w szybę, o którą zaczęła się trzepotać z bzyczeniem. Przez chwilę wsłuchiwalismy się w ten odgłos: odgłos różańca odmawianego na schodach, a w pokoju muchy objijającej się o okno. Ada zamarła z trwogą. Patrzyła na ciało. Nie mogła się poruszyć. Wtem zdała sobie sprawę, że przecież to jest jej pokój, a w nim leży jej mąż, mniejsza o to, czy zmarły, czy nie, obeszła więc łóżko. Podeszła do okna, podniosła rękę i przycisnęła roletę do okna. Bzyczenie ustało. Ada, pani domu, miała teraz okropną plamę na rolecie. A my, dzieci, staliśmy przed tysiącem Charliego, nadzy w obliczu śmierci.

Można by sądzić, że zmarli nabierają lekkości – w porównaniu z tym, jak czasem ciąży nam życie – ale głowa Charliego wygniotła w poduszce głębokie, żywe zagłębienie.

Pamiętam, jak leżał w Phoenix Park z głową wtuloną niczym kamień w trawę. Pamiętam, jak włożyłam mu dłoń – i to całą – do ust, a on bełkotał i zaśmiewał się. Musiałam być bardzo mała, bo całą dłoń zniknęła mi w jego wielkiej buzi i czułam – jakby gdzie indziej – nadsciągający galimatias jego mokrego języka, delikatne płaszczyny i guzki trzonowców.

Z całego szkieletu czaszka znajduje się najbardziej na zewnątrz. Z czego zdałam sobie sprawę, patrząc na skórę powlekającą czaszkę Charliego; była nieukrwiona, przezroczysta, cała opalona, z lekkim połyskiem. Ada wróciła od okna, nakłaniając nas, żebyśmy patrzyli, zarejestrowali, a może nawet dotknęli świętości, czyli naszego nieżyjącego dziadka. Rzeczywiście jest w tym coś niesamowitego. W tej chwili oglądania. Kiedy człowiek odchodzi, ale jeszcze nie całkiem odszedł. Kiedy nie jesteśmy do końca pewni, co tak naprawdę widzimy.

Patrzę więc – na człowieka albo na zwłoki. Wszystko ładnie, pięknie, żadnych niespodzianek, gdyby nie wąsy. Charlie za życia miał wspaniałe białe sumiaste wąsy, pachnące cytryną, podkręcone nieco do góry. Był jedynym znanym mi mężczyzną z zabawką na twarzy. Potrafił zrobić taki trik ustami – wąsy ruszały się, rozśmieszały, zdumiewały. A teraz spoczywały w spokoju i niczego już nie mogły ukryć.

Zabrakło sztuczki.

Dlatego się rozplakałam – bo czekałam, że Charlie poruszy ustami, ale zrozumiałam, że nie poruszy. Zabrakło sztuczki. Ada szeptała obok nas:

– Teraz się pożegnajcie.

Wtedy Liam, starszy ode mnie prawie o rok, wystąpił krok naprzód i stanął, bo nie wiedział, co robić.

– Ciii – uciszyła mnie Ada. – Nie płacz.

Ciekawe, czy spuścili z niego krew? To znaczy ciekawe, czy zabalsamowano ciało przed wystawieniem, czy taki był wtedy zwyczaj? Krew, która zbierała mu się w ramionach i pośladkach, która zgodnie z prawem grawitacji spłynęła mu na tył głowy, już czekała, żeby przesiąknąć przez materac. Krew, która siniąła w nim teraz lub tężała, gdy jego twarz (sami widzicie, że to prawda) stawiała się lżejsza, a myśmy stali, pozwalając mu odejść. Ciekawe, czy ta krew, jakże ciężka, lepka i grzeszna, nadal w nim płynie – bo to ta sama krew, a przynajmniej w czwartej części, która płynie w moich żyłach. Czy gdybym teraz się skaleczyła, zobaczyłabym, jak ze mnie ciurka.

Dziwne, że nigdy nie czułam się spokrewniona z Charliem, moim dziadkiem. Był tak inny. Tańczył z Adą w kuchni. Nie miał żadnej pracy, którą dałoby się nazwać. Nigdy nie było go w domu.

Żaden z Hegartych nie odziedziczył po nim brązowych psich oczu ani pięknego, długiego nosa – chociaż wszyscy jego wnukowie z czasem wyłysieli. Liam nie mógł tego przewidzieć, kiedy stał tam i czekał, żeby zrobić, co powinien, gdy tylko dowiedział się, co. Nie przewidział, że umrze łysy jak kolano, chociaż chyba oboje wiedzieliśmy, pochylając się, żeby dotknąć ręki zmarłego, że i Liam umrze.

Bo już szykował się do drogi.

Jeżeli mnie zapytacie, jak mój brat wyglądał po śmierci, odpowiem, że jak przedstawiony w skróconej perspektywie, zmarły Chrystus Mantegny w pizamie w orientalne wzory. Może tak wyglądają wszyscy zmarli, a może nabiera się takiego wyglądu, leżąc na wysokich marach, nogami do drzwi. Dopiero wtedy przekonałam się, że Liam nie żyje, kiedy w końcu zobaczyłam go w Brighton, bo leżał tak wysoko nad ziemią, na czymś bardzo twardym i płaskim, a przecież zmarłym nigdy nie jest niewygodnie – nawet kiedy próbujemy ich tak ułożyć. Chyba nie spozrzałam na jego głowę ani nie pomyślałam o łysinie, zresztą o niczym wtedy nie myślałam. Cieszyłam się, że mam za sobą odrobinę doświadczenia – to znaczy w oglądaniu – bo chociaż kochałam Charliego, to niewymuszoną, zatroskaną miłością dziecka, które zawsze gotowe jest pokochać kogoś nowego.

Nigdy jednak nie przyglądałam się długo ciału brata, czy to żywego, czy umarłego, jego kształtom, członkom ani fakturze skóry. Dlatego nie przypominam sobie Liama ze szczegółami. Wydawał się całkiem odmieniony, Charlie natomiast wyglądał prawie tak samo jak za życia. Kiedy zastanawiałam się nad tą głupią pizamą z lumpeksu, zrozumiałam, że dlatego w ogóle zaciągnięto nas po schodach domu w Broadstone – że Ada czuła, że jego dni są policzone. Wiedziała to od dawna. I chciała nas – ośmiolatkę i chłopca, który dopiero co skończył dziewięć lat – przygotować.

A może była tak pogrążona w żałobie, że musiała w nią wciągnąć wszystkich, nawet dzieci. Może chciała, żeby cały świat zobaczył i się przeraził.

Mnie to nie przeraziło, ale poczułam osamotnienie. Nawet nie z powodu śmierci Charliego – bo dziadek wcale mnie nie obchodził, nienawidziłam go i miałam nadzieję, że tam pod ubraniem roi się od robaków. Po prostu nie chciałam być w tym pokoju, ale nikogo to nie obchodziło. Moje uczucia się nie liczyły – nie tylko w tej sytuacji, lecz przez całe życie.

Przy akompaniamencie różańca mruczanego na schodach Liam cofnął się, a ja stałam jak wryta i nie chciałam się ruszyć. Liam położył mi rękę na przedramieniu, już zsiniałą od rozkładu; za plecami Ada przynaglała szeptem, żebym się ruszyła.

Ja jednak ani drgnęłam.

Babka straciła cierpliwość. Podeszła zamiast mnie, dotknęła nieboszczyka; najpierw musnęła go w przegub, potem, niejako impulsywnie, przejechała po zuchwie. Następnie przyłożyła dłoń do jego twarzy, od ucha do brody, ujęła go za szczękę.

Dopiero po chwili zdaliśmy sobie sprawę, że się zablokowała. W końcu ktoś podszedł i oderwał jej dłoń od zimnego policzka Charliego, po czym obejrzał się na nas, jak gdyby chciał powiedzieć: „Dość tego”.

Jak gdybyśmy to my ponosili winę za owo zażenowanie ciałem nieboszczyka i miłość wciąż pulsującą w ciele Ady miłość, która nie wiedziała, gdzie się podziac.

– Już dosyć.

Pan Nugent. Któżby inny.

Wreszcie przypominam sobie Nugenta, chyba pamiętałam go od początku, był w tym pokoju, pod szafą, toteż mucha, sfrunąwszy z szyi Charliego, przeleciała obok niego, by poszybować do światła w oknie i do żaluzji. Kiedy weszliśmy, siedział z wyciągniętą szyją, łokcie trzymał oparte na kolanach, z dłoni zwiisał mu różaniec, a mahoń za jego plecami miał prawie tak ciemny kolor jak jego garnitur.

Nie ufam rozmodlonym mężczyznom. Kobiety nie mają oczywiście wyboru – ale o czym myślą mężczyźni na klęczkach? Modlitwa chyba nie leży w ich naturze: są zbyt dumni.

Tymczasem on, wzdychając, klepał zdrowaśki, kiedy wparowaliśmy do środka: ja, która powinnam panować nad sytuacją, mój brat, chudy i smutny, w szarym szkolnym swetrze, a za nami Kitty.

Teraz muszę oczywiście włączyć Kitty, moją młodszą siostrę, która wlecze się za nami po schodach, bo od początku też musiała iść. Kitty zachowała się podobnie jak przy przyjmowaniu komunii świętej – podeszła ze spuszczoną głową i pobożnie przekrzywioną twarzą. Czy położyła stokrotkę na piersi Charliego, dziecinny jaskier na poduszce? Nie. Z tego, co pamiętam, wystąpiła naprzód, powiedziała:

– Pa, pa – i odwróciła się do wyjścia.

Miała sześć lat. Uwielbiała publiczność. Powinnam się była domyślić, bo codziennie wieczorem musiałam nawijać jej włosy na papiloty, żeby loki się trzymały.

Nugent siedział tam przez cały czas: niemy świadek odwagi Liama, ujmującej pobożności Kitty, a także wielkiej bańki egoizmu, która wezbrała i pękła mi w piersi. Rozprysła się z ogromnym, żalonym, przebrzydłym hukiem, dając mi dowód, że żyję.

Wszystko pamiętam dokładnie. Papiloty Kitty, chociaż za nic w świecie nie mogę przywołać w pamięci jej sześćdziesięcioletniej twarzy. I też za nic w świecie nie mogę sobie przypomnieć twarzy Liama, chociaż nigdy nie zapomnę, jak dotknął martwej ręki Charliego – przy czym Liama była upstrzona fioletowymi sińcami, a Charliego przejrzysta, bo jego ciało wyrzuciło już z pamięci, jaki ziąb panuje w tym domu. Pozostały fotografie. W swoim prywatnym lustrze widzę strzęp uśmiechu brata, ton głosu, który czasem sama przybieram. Nie uważam, że tak naprawdę pamiętamy swoją rodzinę. Po prostu w niej żyjemy.

Pewna jestem tylko tych rzeczy, których nigdy nie widziałam – a są to moje małe bluźnierstwa – Ada i Charlie leżą w małżeńskim łóżu, jej wzgórek łonowy przypomina cherlawego kurczaka pod jego wielką dłonią lub jego sprzęt smętnie ciąży Adzie w ręce, gdy sięga pod jego brzuch, żeby przyciągnąć go do siebie. Słońce w kwiecistych zasłonach.

Szczęście.

11

W przeddzień śmierci Liama otwierałam dziewczynkom drzwi samochodu i w przelocie zobaczyłam swoje odbicie w szybie. Znikło, a kiedy moje córki wysiadły albo wróciły, żeby podnieść z podłogi jakiś kawałek różowego plastiku, zajrzałam w ciemną czeluść samochodu. Kiedy zamknęłam drzwi, moje odbicie znów gwałtownie na mnie natarło. Słońce przedzierało się przez chmury ostro kontrastujące z cudownym, intensywnie błękitnym niebem w oknie, a po mojej posępnej twarzy przemknął uśmiech. Pamiętam, że pomyślałam: „Jaka ja jestem szczęśliwa. Miło wiedzieć”.

Jestem szczęśliwa.

Rebecca ma teraz osiem lat i jest bardzo podobna do mnie. Emily ma sześć, czarne włosy i lodowato błękitne oczy, jakie się ma na wybrzeżu Atlantyku – oczy Hegartych, tyle że jeszcze bardziej wyraziste – a kiedy wyprostujemy Emily zęby, kiedy Rebecca przestanie się tak wydurniać i nauczy obnosić swój wzrost, obie mają szansę wyrosnąć na naprawdę piękne kobiety.

Moje córki nigdy same nie przeszły przez ulicę. Nigdy nie dzieliły z nikim łóżka. Należą do innej rasy. Rosną, nie przymierzając, jak rośliny, jakby składały się z gałązek oraz kwiatów, nie z ciała.

Mimo to rodzice je męczą. Kiedy ostatnio wybraliśmy się razem na wakacje, powstał spór, w którą stronę jechać, spjrzałam w lusterko i spostrzegłam, że Rebecca patrzy przed siebie. Usta zapadły jej się do środka i zobaczyłam z przerażeniem, jak jej się zmienia twarz i jak ta zmiana pozbawi ją urody jeszcze przed osiągnięciem dojrzałości. Pomyślałam, że muszę zadbać o jej szczęście. Muszę kochać jej ojca i zadbać o jej szczęście albo to samo przydarzy się jej – wyrosnie na jedną z tych osób, które na co dzień mijamy na ulicy.

– Jak poznałaś tatę? – pyta Emily, moja rywalka. – Jak go poznałaś?

– Na tańcach.

– Co wtedy miałaś na sobie? – dopytuje się jej siostra, która zawsze trzyma moją stronę.

– Miałam... – To było tak dawno temu, że nie mogę sobie przypomnieć. – Miałam niebieską sukienkę.

Chyba nie jest to prawda, ale odpowiedź je zadowala. Prawdą jest, że Tom miał na sobie naprawdę elegancki garnitur, kiedy uśmiechnęłam się do niego pewnego wieczoru na Suzey Street – i uśmiechałam się tak z zadumą, aż wreszcie przestał gadać i odwrócił się do mnie.

– Skąd wiedziałaś, że to on? – ciągnie Emily.

– Ale o co pytasz?

– No skąd wiedziałaś, że to tata?

– Po prostu wiedziałam – odpowiadam.

Bo to prawda – chociaż nie do końca zgodna z ich oczekiwaniami. Nie mogę im powiedzieć, że mieszkał wtedy z inną kobietą i kiedy zobaczyłam ich razem, zrozumiałam dwie rzeczy. Po pierwsze, że on nie należy do niej, a po wtóre, że należy do mnie.

I że mogłabym go uszczęśliwić. Po prostu. Bardzo dokładnie wiedziałam, iż mogę tego człowieka uszczęśliwić.

– Wiedziałam, że to wasz tata, bo był taki wysoki.

To im wystarczy. Musi wystarczyć. Podobał mi się również wykrój jego górnej wargi i jak rozchyłały mu się poły garnituru, kiedy zwrócił się do mnie, żeby porozmawiać, wgłębienie w jego piersi, kiedy się pochylił, mieszanka arogancji z życzliwością.

Wysocy mężczyźni są tacy niezdarci. Tors im się zapada, jak gdyby ktoś otworzył ukryty zawias.

Nie zdradza się jednak takich rzeczy córkom dziesięć lat później: że ich rodzice poszli do łóżka przypadkiem i dopiero po wielu tygodniach przed uprawianiem seksu najpierw rozebrali się do naga. Ze ich ojciec – targany poczuciem winy – naprawdę mnie przeraził i dopiero po jakimś czasie mi przeszło. Że nas poniosło. Że potem rozmawialiśmy o niej. A kiedy przestaliśmy rozmawiać o niej, kiedy po pół roku wreszcie znikła, połączył nas triumfalny, czuły seks, a potem.

A potem.

Chyba przyszedł czas, żeby kupić dom. Ale ten wczesny, rozgorączkowany okres był ważny. I ta druga kobieta też była ważna. Szczypta bezwzględności. Pakt. Przelana krew. Bo oboje wiedzieliśmy, że spotkaliśmy swoje połówki, pod względem ambicji lub zniszczenia – jak kto woli – wiedzieliśmy, że pewnego dnia nasze spotkanie dopełnią dwie piękne córki w dwóch pięknych pokojach. Z pewnością wysokie i mądre. Które pójdą do wymarzonej w sam raz dla nich prywatnej szkoły, a obie będą chciane, omówione, przemyślane i bardzo kochane.

Przynajmniej tak wyglądał nasz plan.

– I co potem?

– Potem wzięliśmy ślub.

– A potem?

– Potem wyście przyszły na świat!

– Tak!!!

Wtedy wasz tata spojrział tylko na was i wybiegł z pokoju. (Ale to nieprawda. Bo spójrzcie! Wciąż tu jest).

Toma wychowali jezuici – co jego zdaniem wszystko tłumaczy. Bardzo wnikliwie patrzy na świat, a przy tym wiecznie ma do siebie zastrzeżenia. Wiele od siebie wymaga, ale rzadko jest zadowolony. Innymi słowy, żyje bezgranicznie zapatrzony w siebie, tyle że w możliwie najbardziej wykwintry sposób. Patrzę na niego i widzę jedno wielkie, aczkolwiek seksowne, pasmo nieszczęścia, z twarzą wlepioną w szklaną mrocznej whisky, tropiącego znaki wodne porażki, która znaczy całe jego życie, dosłownie każdą jego kartę.

Nie wiem, co widzi, kiedy patrzy na swoje dzieci. Kocha je, ale mu z a w a d z a j a . I niezależnie od tego, czy mnie kocha, czy nie, ja też mu z a w a d z a m . Ale się myli. Wcale mu nie zawadzam. I nigdy nie zawadzałam.

Skoro to jest walka, proszę, oto fakty: kiedy Tom otwierał własny interes, a ja miałam małe dziecko, zostawiałam je z opiekunką i pracowałam dzień i noc, żeby spłacić raty hipoteczne. Ale kiedy znów zaczął zarabiać, okazało się, że jego pieniądze są dużo ważniejsze od tych, które ja mogłabym zarobić, a jego praca znacznie ważniejsza od mojej, dlatego nie mogę na niego liczyć w kwestii brania dziecka na ręce, przewijania, wycierania nosa i zdrzemnięcia się, bo tyle ma ważniejszych spraw na głowie. W końcu rzuciłam pracę, żebyśmy mu tak bardzo nie z a w a d z a ł y .

Chociaż tak wyglądają fakty, nie do końca zgodne są z prawdą. Na przykład, wcale nie brakuje mi pracy. W najmniejszym stopniu. Do tej pory nie mogę uwierzyć, że zmarnowałam taki kawał życia, pisząc o podgrzewanych wieszakach na ręczniki. Niekończący się potok słów.

O różnicy między tapicerką morwową a brązową. O kolorach beżu, kremowym, piaskowcu i popielatym.

Tak żyliśmy.

Wchodzę w drzwi po koszmarnej nocy w pracy i całuję męża, udreżonego swoją pracą i opieką nad dzieckiem. Biorę od niego Rebeckę; zmieniam jej pieluszkę; nacieram kremem odparzoną pupę; za chwilę robię mu awanturę o nią albo o pustą lodówkę czy niezmyte naczynia; w tym rozgardiaszu udaje mi się położyć małą spać; a kiedy pół do dziesiątej wreszcie zasypia, schodzę na dół, nalewam sobie duży kieliszek wina i złorzeczę bez umiaru na swojego szefa, po czym sprzątam, wypijam trochę za dużo i siedzę trochę za długo. Pół do dwunastej Tom zgarnia pracę z kuchennego stołu i mówi:

– Nie siedź całą noc – wieszka ścierkę na kuchennym kranie i kładzie się spać.

Wiem, jaki jest nieszczęśliwy. Z całą pewnością jest nieszczęśliwy, ale też podniecony swoją nową firmą; zresztą wie, że ten bałagan musi się kiedyś skończyć. Inni też mają dzieci. Inni ojcowie nie czują się z tego powodu tak zdruzgotani jak on – przez ten brak pieniędzy i ustawiczny rozgardiasz, a także fakt, że nie ma teraz miejsca dla jego niewątpliwego uroku.

Powinam zostawić mu dużo miejsca na ten niewątpliwą urok. Wtulam twarz w jego plecy i sięgam do przodu, żeby wziąć w garść jego miękkiego kutasa, bo trochę przesadziłam z winem, ale on chyba teraz mnie nienawidzi, bo oskarża mnie o wszystko.

Więc się odwraca albo nie.

W chwili oczekiwania myślę, że na pewno sypia z inną kobietą. Nie. W chwili oczekiwania przypominam sobie, jak bardzo chciał sypiać z kim innym, kiedy tym kimś byłam ja.

Tydzień po pogrzebie Liama patrzę na ciało mojego męża. Śpi. Żyje. Chciałabym zobaczyć go całego. Jest ciepła noc. Szybko ściągam z niego kołdrę, Tom się rusza, ale zaraz ponownie zastyga w bezruchu.

We śnie jest smutny. Ręce ma złożone pod brodą, nogi, niewiarygodnie długie i duże, wyglądają nie tyle jak podkulone, ile jak złamane w kolanach. Wgłębienie pod żebrami przechodzi w nisko zawieszony brzuszek, a poduszka moszny spoczywa w trójkątnym rozchyleniu ud. Jest bardzo blady.

Pamiętam, jak się z nim kochałam: patrząc z góry, obłoczek włosów wokół nasady penisa; patrząc z dołu, daszek pachy przypominający nawę bez kościoła. Tak było na samym początku, kiedy nie mogliśmy się sobą nasycić, a on wodził palcem wokół pieprzyków na moim ciele, przewracając mnie przy tym, aż mnie zupełnie rozsuptał i sturlał z łóżka na podłogę.

Pamiętam, jakie miał duże i proste kości obojczyka pod koszulą pewnego deszczowego wieczoru, na samym początku, kiedy nasze działania nie przypominały seksu, lecz raczej wzajemne zabijanie.

I oto leży teraz w naszym łóżku, wciąż żyje. Powietrze wchodzi w niego i z niego uchodzi. Rosną mu paznokcie u nóg. Włosy ukradkiem siwieją.

Ostatnio dotykałam go w noc czuwania po śmierci Liama. Nie wiem, co wtedy we mnie pękło, ale od tej pory przestałam wierzyć w ciało swojego męża.

Złe wieści dla Bei, mojej mamy oraz wszystkich sępów, które zamierzają się zlecieć na Griffith Way 4 na czuwanie – muszą poczekać jeszcze co najmniej dziesięć dni, zanim urządzą sobie biesiadę nad zwłokami biednego Liama, bo tyle jeszcze zostało do załatwienia.

Tę wiadomość przekazuje mi pracownik z zakładu pogrzebowego, który z wyglądu ma dziesięćnaście lat. Dotknął mojej ręki w korytarzu kostnicy Brighton and Hove, a potem mnie odwiózł, samochodem albo taksówką – nie pamiętam też, czy siedziałam z przodu, czy z tyłu. Wiem tylko, że zapamiętam pastelowe, podmiejskie wnętrza zakładu: biurko z krzesłami po obu stronach, a na sztalugach laminowany katalog trumien, przedstawiający wszystkie typy i odmiany, za wyjątkiem tekturowej dla wojującego ekologa, o którą pytam, żeby zakłócić powagę sytuacji.

– Tak się przejmował? – pyta młody grabarz w czerni.

– Nie bardzo. Może trochę.

Wiem, czego chcę, od początku wiedziałam, ale źle to wygląda, jeżeli wszystko się wie zawczasu, dlatego przewracam karty z okropnymi jedwabnymi wyściółkami, plisowaniami i gręplowaniami, jak gdyby kogoś chowano owiniętego w kurtynę z kina, przy trzasku projektora, kiedy fotooperator puszcza kreskówki *Zwariowane melodie*. Komentuję w tym duchu na głos, a mój grabarz chwilę słucha, a potem zostawia mi czas do namysłu.

Jego ciemnofioletowoczerwone wargi kontrastują z białą skórą twarzy. W uchu ma przewierconą mokrą dziurkę, w której powinien tkwić, ale nie tkwi, kolczyk. Chłopak zwraca się do rodziny w żałobie.

– Nie muszą się państwo spieszyć – mówi.

Uwielbiam go. Dostrzegam w nim cechę ludzi z młodszego ode mnie pokolenia. Nie udaje. Nie ocenia. Mówi o trumnach swobodnie, jakby chodziło o zwykłe zakupy.

– To ta – wskazuję prostą, z dębu bielonego, a w duchu rozważam, że może któraś z moich córek wyjdzie za kogoś takiego jak on, kto umie siedzieć bez skrepowania z kobietą w jednym pomieszczeniu. – Nie mogę go w niej zabrać do samolotu – mówię.

– Bo jest zbyt...

– „Pasażerowie wymagający pomocy proszeni są o przejście na początek kolejki”.

Parskam śmiechem. Ciekawe, jaką pomoc miał na myśli.

– Zobaczysz pani, dobrze dojedzie w luku bagażowym.

Wcale nie jest przystojny. Usta ma rozklapane i zbyt pełne; w ogóle cały jest za miękki i nieforemny. Ale niczego mu nie brakuje. Jego ręce z wyglądu mnie nie odpychają, a powieki, które mu drgają po zamknięciu, kiedy chce przeciwstawić wypolerowaną stal chromowanej, pokrywa deseń isticie średniowiecznych żyłek. Ubranie nie urąga jego ciału. Nawet gdyby mu je zedrzeć, pozostałby prawdziwy.

Muszę go jeszcze raz zapytać o imię. (Azrael).

Dotknął mojego ramienia, kiedy stałam obok ciała Liama, i mnie odciągnął. Zjawił się w moim życiu po tym, jak zobaczyłam najgorsze. Ucieleśnia resztę mojego życia.

Po przyjeździe na stację w Brighton trochę się przespacerowałam, sądząc, że powinnam pójść śladami Liama – rozpocząć w miejscu, w którym wszedł do morza – bo należy przestrzegać określonego porządku. W porze obiadowej idę promenadą, Liam wciąż szczątkowo żyje, a ja wyobrażam sobie to miejsce w ciemnościach, gdy czarna słona woda omywa mnie w pasie. Liam wisi w powietrzu. Mijają mnie postaci nabazgrane graffiti jego wzroku: wszystko im się wylewa albo opada. Tłuste dziecko z piersiami – chyba chłopiec. Stary mężczyzna ze strupem pod nosem. Kobieta z rozrastającym się tatuażem. Parada rozpiętych rozporków, zaplamionych spodni, ramiączek od staników wyzierających spod wąskich ramiączek bluzek. Żywi, wraz ze wszystkimi swoimi zapachami i otworami. Liam zawsze miał obsesję na punkcie ludzkich otworów, kto co komu do którego otworu wkłada.

Wrócił mi do głowy jak nasilający się zapach – robię mu tam miejsce, żeby mógł spojrzeć moimi oczyma i poczuć obrzydzenie na widok tyłka, cycka lub nawet „zimnego cyca czarownicy”, ciała, które nigdy nie osiąga właściwej temperatury ani wilgotności, bo się za bardzo poci, za bardzo obwisa lub jest za bardzo owłosione, zwłaszcza kobiet zamieszkujących tę smutną ludzką powłokę, zbyt nikczemną albo zbyt piękną (pominąwszy, rzecz jasna, otwory); a w końcu z kim śpimy, z kim się całujemy? Z ludźmi bez porów? Mówię mu to w myślach. Próbuję go przekonać, ale nie udaje mi się nim potrząsnąć, ponoszę fiasko, gdy mijam starych mężczyzn i stare kobiety z egzemowymi zmianami albo wychylam się za barierkę i wdycham morskie powietrze, żeby powstrzymać wzbierające mdłości, a jednocześnie myślę o ciele swojego brata i o tym, jak będzie wyglądało za dwa, trzy miesiące.

Patrzę za barierkę, jak gdybym sprawdzała twardość i zróżnicowanie brązowych kamieni na plaży w dole. Proszę bardzo: zamaszysty powiew, zew, zapach morza. Co za cud na końcowej stacji w Brighton, gdzie za moimi plecami piętrzy się miasto, a dalej całe brzemię Anglii, spowitej dymem i światłem, która wyhamowuje właśnie tutaj, powstrzymana rozległym zapachem morza.

Pierwszy raz przeprawiłam się z Liamem tym promem pod koniec jego drugiego, a mojego pierwszego roku na University College Dublin. Wybieraliśmy się do Londynu na wakacje do pracy. Od Holyhead do Euston siedzieliśmy między wagonami i przyglądaliśmy się, jak pewien mężczyzna – który okazał się, dziwnym zbiegiem okoliczności, naszym listonoszem – wyciska pomarańcze do butelki wolnoctwowej wódki. Częstował wódką pijaną dziewczynę, którą spotkał na promie, i wymachiwał butelką również w naszą stronę, mogliśmy więc przyjąć poczęstunek lub nie, ale podobało mi się, że puścił do nas oko, zanim odwrócił się do dziewczyny – kompletnie narąbanej – jak gdybyśmy byli w komitywie przy tym uwodzeniu, w tej sytuacji: „Jak rany! Robimy zrzutę”.

Liam nigdy nie zafundował nam ślubu.

Hegarty'owie uwielbiali śluby i kilkoro z nas je nawet wzięło, bądź to ciche, bądź huczne, czasem tylko świeckie, a pośrodku tej całej uroczystej ceremonii porządny człowiek, piękna dziewczyna, pieprzenie, możliwie jak najmiłsze, wśród toastów i brzęku kieliszków. Ale Liam nigdy się nie nauczył, jak zaczynać i kończyć sprawy łóżkowe, jak mówić o seksie, jak się nim dzielić z innymi; chociaż więc miewał dziewczyny, nigdy ich nam nie przedstawiał, nie chciał, żebyśmy my, rodzina, z nimi rozmawiali: tworzyły sznur patykowatych, omdlewających istot, które trzymały go za rękę i zerkały na nas zza jego ramienia. Liam lubił miłe kobiety. Lubiał kobiety dobre i łagodne. Lubiał przezroczyście dziewczyny. I miał rację, że nie chciał ich pokazywać nam, hienom z rodu Hegartych, bo zaraz po ich wyjściu z pokoju wyśpiewywałam razem z Kitty: „I mówią, że to szczenięca mi-ii-ii-łość”.

Pominąwszy napalonego listonosza, drugą osobliwością naszej pierwszej wspólnej podróży przez brytyjską noc – ledwo zeszedliśmy z promu i przemierzaliśmy pierwsze pięćdziesiąt kroków za granicą, wsiedliśmy na pokład żelaznego pociągu – było ustawiczne przeświadczenie, że dojeżdżamy do celu. Kiedy wyjrzelśmy przez okno i po dłuższym okresie ciemności zobaczyliśmy zalew świateł, wzięliśmy je za światła nadciągającego Londynu. Wcale jednak nie nadciągnął. Bo cała Anglia wydała się nam jednym wielkim miastem, jednym pasmem bez przystanków. A kiedy rano ostatecznie i definitywnie dotarliśmy na miejsce, staliśmy przy wyjściu ze stacji metra w Euston, sądząc, że właśnie nadjechał pociąg i uda nam się zejść na dół, kiedy tłum się przewali. Dopiero po chwili zrozumieliśmy, że ciżba ludzka nigdy się tam nie zmniejsza i nie ma jednego konkretnego pociągu. Londyn był jak bezbrzeżna lawina, która rozlewa się na wszystkie strony.

Liam nigdy nie lubił Anglików, a przynajmniej tak twierdził. Pomagał mu w tym, jak podkreślał, fakt, że Anglicy nie lubią sami siebie.

Mądrała. Ja też nie mogę się zmusić, żeby ich pokochać, to stado tratujące nadbrzeże w Brighton, zachwycające się morzem, w którym utonął Liam. Wstrzymuję się jednak od nienawiści, chociaż oni żyją, a mój brat nie. I zastanawiam się, jak udało mi się uchronić przed nienawiścią Liama wobec tego czy owego dowolnie wybranego obiektu. W jednym roku obierał za cel gejów, w następnym – Amerykanów.

Kogo powinnam nienawidzić?

Pływamy gdzieś nocą. Kiedy byliśmy mali, pływaliśmy nocą, ale nie pamiętam gdzie.

Spoglądam na szerokie, falujące morze i gdy tak stoję żywa w blasku słońca, przez chwilę wydaje mi się, że mam mniejsze życie od mojego brata, który wychodzi z ciemności; whisky i krew do słonego morza. Liam, ubzdryngolony, i tylko skóra dzieliła go od jego stęsknionej duszy. Przez chwilę wydaje mi się, że większym heroizmem jest nie istnieć.

Patrzę na swoje dłonie na poręczach, wydają mi się stare, podobnie jak moje udrećzone dziećmi ciało, z którego byłam dumna, dlatego że wyszli z niego nowi ludzie, zrodzeni na śmierć, zrodzeni na śmierć! Pragnę wykrzyknąć to mijającym mnie obcym ludziom. Pragnę ich wezwać przez megafon, przez zawieszony na brzuchu i na plecach afisze, żeby przestali się rozmnażać – chociaż na placu zabaw na plaży w Brighton wcale nie widzę zbyt wielu dzieci, w każdym razie nie w to wtorkowe popołudnie. Anglia, kraj dorosłych.

Inna sprawa, że ci ludzie w ogóle mnie nie obchodzą, a kocham grabarza. To mój kumpel od katalogu, mój Anglik. Ten jego jakże modny luz ma niemal duchowy wymiar. Ciekawe, do kogo potem wraca – do ulubionych przyjaciół czy do ulubionych rodziców – i jak się można kochać z takim facetem. Czy miewa zmienne nastroje?

Już po wszystkim, kiedy czuję jego niewinną dłoń w swojej (starej), stoję na chodniku przed zakładem pogrzebowym i otwieram komórkę, żeby zadzwonić do swojego trudnego, podstarzałego męża, chociaż najchętniej położyłabym się tam pod drzwiami zakładu tego chłopca, żeby przestąpił moje chętne ciało i mnie podniósł.

Azrael.

– Co słychać? – pytam Toma, a on odpowiada, że dziewczynki jadą po szkole do koleżanek i wszystko jest w porządku. Zastanawiam się, gdzie on teraz może być.

– Jesteś w pracy?

– Oczywiście, że tak.

– Rebecca ma dziś taniec irlandzki – mówię.

– Nie dzisiaj.

– Owszem, dzisiaj ma występ! – krzyczę na całą ulicę, nie wierząc własnym uszom.

Ponieważ Tom uważa (całkiem słusznie), że moje zmartwienia nie są ważne, bo to wydumane problemy z braku lepszych zajęć, podczas gdy on ma na głowie poważne sprawy, takie jak zarabianie pieniędzy i prawdziwe życie.

– Gdzie jesteś? – ponawiam pytanie.

– Już ci mówiłem, że w pracy.

– Ale gdzie? Gdzie w pracy?

Nie może rzucić słuchawki, bo jestem w Brighton i niedawno straciłam brata. Dłuższą chwilę milczy.

– Wracaj do domu – prosi. – Kiedy wrócisz?

– Co cię to obchodzi?

– Bardzo mnie obchodzi – odpowiada. – A jak sądzisz?

Teraz moja kolej, żeby się rozłączyć. Zamykam telefon. Mój młody grabarz stoi za mną w otwartych drzwiach i pyta:

– Może napije się pani jeszcze kawy? Może zadzwonić jeszcze do kogoś?

Znów sobie wpiął koleczyk; małą złotą wkretkę.

– Już dobrze – odpowiadam. – Tak to już jest.

Dopiero teraz zaczynam sobie uświadamiać, że zakochałam się po dwudziestce, kiedy poznałam Michaela Weissa, chłopaka z Brooklynu i kiedy poszłam z nim do łóżka. Wyjechał do Dublina na studia magisterskie z literatury irlandzkiej, celtyckiej czy jak jej tam – nie znosiliśmy tych kursów, uczelnia oferowała je, żeby skusić bogatych Amerykanów, dlatego bardzo się zdziwiłam, kiedy zakochałam się w Michaelu Weissie; moje zdziwienie spotęgował fakt, że Michael nie był wysokim, grubokościstym Amerykaninem rodem z prerii, lecz facetem przeciętnego wzrostu, który palił skręty i mówił niewyraźnie z brooklyńskim akcentem, po trosze z niechlujstwa, a po trosze kontemplacji.

Był bardzo fajny w łóżku, kiedy podpierał się, żeby na mnie patrzeć i mówić. Uwielbiał rozmawiać, kiedy mnie dotykał, uwielbiał też palić podczas niekończącej się, ospałej gry wstępnej, zupełnie mi wtedy jeszcze nieznaną. Miałam dwadzieścia lat. Nie znałam seksu bezcelowego i leniwego. Chyba nie znałam seksu na trzeźwo, a rozmowy tylko mnie peszyły: sądziłam, że mu się nie podobam. Patrzyłam, jak mu się rusza twarz i marzyłam, żeby po prostu robił swoje – zdumiewające, skoro oboje dobrowolnie do tego przystąpiliśmy.

Chyba ironiczny, ślamazarny Michael Weiss wiedział, że mnie nie utrzyma, dlatego w te senne popołudnia usiłował mnie sobie ugadać, tak jak wabi się kota, żeby zszedł z drzewa, albo jak stewardesa w samolocie nakłania nas do zejścia na ziemię.

– Widzi pani tę dźwignię po prawej? Proszę przesunąć ją w dół o czterdzieści pięć stopni.

I chociaż uprawialiśmy go nadspodziewanie dużo – seksu, ma się rozumieć – pamiętam tylko, z jaką wściekłością patrzyłam, jak za oknem dzień w podrygach i plamach przechodzi w zmierzch. Być może świadczyło to o mojej niedojrzałości, ale kiedy stałam nago na sztucznym dywanie w jego studenckim pokoju, docierało do mnie, jak dalece niewyobrażalna jest zmiana światła; kiedy dzień ustępował w podskokach ciemnościom, czułam się, jakby mnie ktoś obdzierał ze skóry.

Ojciec Michaela był artystą, matka też kimś była. To również wydawało mi się dziwne, bo większość znanych mi rodziców była wyłącznie rodzicami, a on miał na wpeł sławego ojca i matkę, która umawiała się na mieście i stroiła do wyjścia, co w jakiś sposób także go określało. Trudno mu się było zdecydować, co będzie robił, jak dorośnie, bo chyba dorósł już w wieku dziesięciu lat. Pisał wiersze, i to chyba całkiem niezłe, ale miał kłopot z dążeniem do celu. Miał poza tym pieniądze – może nie fortunę, ale zawsze – i chyba już wtedy postanowił, że będzie po prostu żył i patrzył, co mu życie przyniesie.

Teraz więc tylko żyje, podobnie jak ja, tyle że chyba w jakimś ciekawszym zakątku świata niż moje Booterstown w Dublinie 4. Mieszka na Manhattanie albo w kanionach Los Angeles i wozi syna na lekcje saksofonu albo zjawia się na występie tanecznym córki w czwartkowe popołudnie, co go jednocześnie bawi i traktuje z powagą.

Chodziłam z Michaeliem Weisssem przez dwa lata z przerwami; doprowadzała mnie do szału jego ospałość – umniejszała mnie i nadwężała moją cierpliwość, bo wrywałam się do świata, który roztaczał przed nami tyle możliwości. Nie miałam pojęcia dokładnie, co takiego, ale wiedziałam, że wszystko jest lepsze, niż takie objanie się przez pół dnia, całowanie, palenie i rozmowy – no właśnie o czym? – o tym, czy Dirk Bogarde naprawdę jest przystojny i jak być albo nie być Żydem.

Teraz oczywiście całymi dniami nie oglądałam telewizji, miałam więc niewątpliwie rację, że nie zaufałam Michaelowi Weissowi i w końcu rzuciłam go dla lepszego, szybszego życia, jakie prowadzę teraz, gotując dla mężczyzny, który nie wraca do domu przed dziewiątą, i dla dwóch córek, które niebawem w ogóle przestaną się pokazywać w domu. Od wielkiego dzwonu uprawiam zwieńczony łzami seks ze swoim podstarzałym mężem; i wtedy nie wiem, czy bardziej mam ochotę go uderzyć, czy pocałować.

Zapal światło, chciałabym poprosić. Zapal światło.

Nie tylko jednak seks albo zapamiętany seks przesądza o tym, że wydaje mi się, iż kocham Michaela Weissa z Brooklynu, o siedemnaście lat za późno. Odpowiada mi, że nie chciał mną zawładnąć, chociaż bardzo się do tego garnęłam. Nie chciał mnie sobie przywłaszczyć, a jedynie się ze mną spotykał, i to tylko w pół drogi.

Chyba teraz do tego dojrzałam. Chyba dojrzałam do takiego spotkania.

Siedzę przy stoliku w kawiarnianym ogródku, piję chyba piątą tego dnia kawę latte, mijają mnie młodzi Amerykanie, dwie dziewczyny i jeden chłopak. Jedna z nich pyta:

– Wiecie, jaki jest największy obciach? Największy obciach jest, jak ktoś ma rozprek na guziki i guzik mu się urwie.

Na to odzywa się chłopak:

– A ty jesteś dla mnie... wiesz, jak kto?

I krzyżuje w przegubach ręce na kroczu, tworząc z nich postać biczowanego Chrystusa.

Tacy właśnie byli Amerykanie na uniwersytecie w Dublinie – dosadni, głośnawi i interesujący, przynajmniej w swoim mniemaniu. Może my też tacy byliśmy, ale za naszych czasów nie nosiło się koszulek z długimi rękawami pod koszulki z krótkimi. I chyba nie funkcjonowało wtedy słowo „obciach”. Przypominam sobie gest tego chłopaka i zastanawiam się, dlaczego to słowo tak razi. Obciach to najgorsza kompromitacja. Obsuwa. Termin społeczny, określenie gwarowe, kojarzące się z bardzo intymną czynnością cielesną.

Takie myśli krążą mi po głowie, kiedy nie chcę wziąć się w garść i wrócić do pociągu na lotnisko, kiedy w mieście za moimi plecami odcadzają, przewożą i balsamują (whisky na pewno w tym pomoże) mojego brata. Chodzę po sklepach, żeby zaznać odrobiny normalności, w końcu siadam spokojnie, patrzę na przetaczający się hałaśliwie świat, biorę długą łyżeczkę do ust i ją ssę.

13

Na studiach zrozumiałam, że Ada była – ujmując rzecz dosadnie – prostytutką. Chyba zorientowałam się tuż przed jej śmiercią. Pamiętam, jak omawiałam swoją teorię z Michaelem Weissem, który skwapliwie ją podchwycił, chociaż stwierdził, że równie dobrze mogła być zakonnica, co jego zdaniem wychodziło na to samo, chyba dlatego że sam pochodzi z Brooklynu.

Może i racja.

Michael Weiss należał do ludzi, którzy jednego dnia piją herbatę z mlekiem, a drugiego je odrzucają, dlatego z czasem na pewno doprowadziłyby mnie do szału. Ale chyba podsumował trafnie Adę lub dzielący mnie od niej dystans. Bo ja też mogłam pochodzić z Brooklynu, jeżeli przyjrzeć się tajemnicy jej życia i wybrać jedną wersję zdarzeń, która tłumaczyłaby nas wszystkich.

Nie przypominam sobie, że bym dotarła na jej wyprowadzenie, kiedy umarła – bo chyba cały wieczór przesiedziałam w barze w Belfield – a kwestie, kto jest właścicielem domu i kto zgarnie pieniądze, kiedy wyniosą z niego ciało Ady, zupełnie mnie nie interesowały. Nagle jednak zainteresowało mnie, kim była sierota Ada Merriman.

Wybrałam się oczywiście na pogrzeb. W rzędzie przede mną ulokowała się burza kręconych włosów mojej matki, z jednej strony siedzi nasz ojciec, z drugiej jej siostra, nasza ciotka Rose. Ada miała też trzecie dziecko, syna zwanego Brendanem, ale on już chyba nie żył, dlatego dwie siostry stanowiły smutne resztki szczęścia Ady: Maureen, nasza nawalona matka, i Rose, nauczycielka wychowania plastycznego, które nosiły wyszukane tweedy w kolorze szmaragdowozielonym i w kobaltowym błękicie. Rodzeństwo Hegartych siedziało w rzędzie za nimi; powinowaci i małe dzieci zajęli dalsze ławki, a też niewykluczone, że nawet wtedy siedzieliśmy wedle starszeństwa; „stopnie i schody”, jak szeptano, chociaż schody były teraz rozchwierutane, pełne dziur i połamanych desek, a także dysproporcji między jednym garbatym stopniem a drugim. Już jako dorośli wszyscy wyglądaliśmy jak wariaci: z każdym coś było nie tak.

Później stałam na skraju tłumu i patrzyłam z melancholijną obojętnością Jak trumnę babki spuszczającą do dołu. W ostatnich latach starszka Ada dożywała przeznaczonego sobie wieku. Pozostała oczywiście miła – w końcu była moją babcią – ale nie była już tą samą kobietą, która niegdyś budziła mnie o czwartej rano z gotową odpowiedzią na wszystko: na zagadkę rodu Hegartych, powód, dla którego wszyscy byliśmy tacy popieprzeni, a zarazem tak bardzo zwyczajni.

Lamb Nugent patrzy na Adę Merriman po drugiej stronie dywanu hotelu Belvedere, a ona odwzajemnia jego spojrzenie, bo reszta, jak to się mówi, ginie w mrokach historii.

Pięćdziesiąt sześć lat później przy herbacie i kanapkach podbijaliśmy sobie bębenka w jej zaskakująco małym domu w Broadstone; rozrastające się drugie pokolenie, załazki trzeciego, moja matka niezbyt pewnie zasiadała na tronie w dużym pokoju, jej siostra gderała w kuchni na wszystko, co popadnie. Już wtedy ich twarze dosięgło to, co ludziom zniekształca twarze; Rose, pełna dezaprobaty, ściągnęła usta w ciup, szkliste oczy mojej matki zaszyły mgłą. Ada miała wprawdzie podejście do cudzych dzieci, ale najwyraźniej nie miała do własnych. Wszyscy jednak mówili:

– Ależ ona była piękna – sąsiedzi i garstka pozostałych przy życiu przyjaciół: dwaj mężczyźni – dzisiaj wiem, że byli gejami – którzy okazali jej serce, i córka zmarłej aktorki znanej z telewizji.

No i czy Jimmy O’Dea nie przysłał jej na urodziny kosza owoców? A Frank Duff, przywódca Legionu Maryi, co roku na Boże Narodzenie przychodził do niej w gości. Rzeczywiście przychodził: bo pamiętam – najprawdopodobniej tego roku, kiedy tam mieszkaliśmy – jak przyjechał niczym stara panna przebrana za Świętego Mikołaja z bombonierką w siatce. Wręczył ją Adzie i ścisnął jej przedramię, jakby oboje za dużo przeszli i nie mieli już nic do powiedzenia.

Tamten świąteczny poranek był pogodny i rześki jak zawsze – moja pamięć nie dopuszcza, że mogło wtedy padać. Podobnie jak nie wpuszcza nas do domu na Griffith Way, bo tamtego roku wysłano nas do Ady, mnie, Liama i Kitty, toteż nie widywaliśmy matki, nawet z okazji świąt, chociaż któregoś dnia zjawił się u nas ojciec z Beą, która miała zadowoloną z siebie minę.

– Mama jeszcze nie doszła do siebie – oznajmiła, a wyglądała jeszcze bardziej pobożnie niż zwykle, w nowej moherowej bluzce na ramiączkach w malinowo-niebieskie prążki. Wieczorem pan Nugent wpadł z pudełkiem kandyzowanych owoców lub raczej galaretek udających owoce, pomarańczowych, żółtych i zielonych półksiężyców.

Kiedy umarła Ada, wciąż byłam zbyt blisko tych spraw, żeby się nimi przejmować. Przeszłość zaczęła mnie mierzić, a śmierć Ady kompletnie nudziła, kiedy częstowaliśmy się kanapkami i cierpieliśmy z powodu zaduchu w tych ciasnych pomieszczeniach. I:

– Och, wasza babcia była bardzo miła – co jak najbardziej było prawdą. Najprawdziwszą prawdą.

Popijali słabe sherry albo dziękowali, a kiedy znikli, zostały po nich w kuchni stopy pergaminu po chlebie, a w fotelu, w dużym pokoju, moja mama i stojący za nią, lekko przygarbiony, mój ojciec, pantoflarz; na górze ciocia Rose pociągała ukradkiem w oknie łazienki ostatniego papierosa, bo nadal oficjalnie nie paliła, chociaż jej matka nie mogła się tym przejąć, bo była martwa, a poza tym i tak przez całe życie wiedziała.

Może się to komuś wydać trochę gorszące, ale właśnie wtedy wysłano nas do pokoju Ady, z zaleceniem ojca, żebyśmy „wzięły sobie, co chcemy”; Hegartówny wdały się w najcichszą awanturę, jaką kiedykolwiek odbyły, bo dławiała nas wściekłość i zionęłyśmy do siebie nienawiścią, wyrażaną szeptem. W końcu zdobyłam kilka sznurów dżetów, pęk czarnych strusich piór znad kominka Ady i porcelanową rączkę z dziurą w dłoni, w której babcia trzymała pierścionki. Kto inny oczywiście chwycił pierścionki – ja nie miałam szans. Kitty zawsze wszystkiego potrzebowała najbardziej, Bea zawsze na wszystko bardziej zasługiwała, a biedna Midge – no cóż, Midge zawsze za wszystko dziękowała, chyba że ktoś ją przekonał, aby wzięła. Wysłałam więc z domu babci, wyjąc z żalu za tym, czego mi odmówiono, chociaż na niczym mi tam tak naprawdę nie zależało. Zakosiłam próbniki i książki wzorów, które w dziennym świetle wydały mi się tak bezużyteczne, że wyrzuciłam je na ulicy do kosza na śmieci. Nie umiałam pragnąć niczego, co zostawiła. Pragnęłam tylko się stamtąd wyrwać. Pragnęłam wydostać się na szeroki świat.

Liama cała ta sytuacja ominęła, bo po wakacjach spędzonych na pracy w Londynie już nie wrócił do domu. Albo zaglądał tylko od czasu do czasu i chodził wtedy na wykłady: wpadałam na niego w restauracji albo w barze, ale zawsze zatrzymywał się poza domem, a po kilku szalonych miesiącach zniknął.

Był wtedy na ostatnim roku studiów. Wieczorami najczęściej nie zdążałam na autobus i nocowałam u Michaela Weissa na jego stacji w Donnybrook: zajmował dwa wysokie pokoje z toaletą za przepierzeniem, które nie sięgało do sufitu, i drugim, odgradzającym kuchnię. W sypialni nie było drzwi, a jedynie potężna stara szafa pod ścianą. Zasybiałam między tymi płatanami ciemności – czarną szafą a framugą bez drzwi, przez którą bujały się moje zmysły – jeszcze ciepły seks bolący między udami, i znikąd wytchnienia.

Tamtego roku wyjawiałam Michaelowi Weissowi takie rzeczy, których nie wyjawiałam nigdy nikomu. Był rok 1981. Nic się jeszcze w Irlandii nie wydarzyło – prawda jak to dziwnie brzmi? W moim życiu też jeszcze nic się nie wydarzyło poza potrzebą, żeby się z niego wyrwać. Poprosiłam Michaela Weissa, żeby się napił whisky – co za teatralny gest – tak jak kiedyś poprosiłam, żeby oprowadził mnie po pokoju, a potem przespacerował się ze mną po ulicy, żebym „wychodziła” przedawkowany – choć przyznam, że minimalnie – paracetamol. Urządziłam mu wtedy nie lada piekło, dosłownie go zgnoiłam, chociaż on tylko chciał, oparty na jednej ręce, spojrzeć mi w oczy i uspokoić mnie rozmową.

Z tamtych wieczorów został mi w pamięci obraz kobiety (czyli mnie), leżącej na łóżku, z plecami wygiętymi w kabłąk, rozchyłonymi ustami, wodzącej ręką po ścianie. Bez głosu.

14

Myślę o niej przy zmywaniu. Mam oczywiście zmywarkę, jeżeli więc muszę sobie popłakać, to nie tak dyskretnie do zlewu jak Ada. Ona zawsze wypłakiwała się do zlewu. Kiedy wyglądała przez okno, roztkliwiała ją nieskończona ilość ziemniaków do obrania albo lichota ogrodu za domem, lecz Ada, chyba podobnie jak wszystkie kobiety, musiała czasem uronić łzę, a potem już, chlip, chlip, kilka z nich kapało do wody w zlew. Podobnie też jak wszystkie kobiety musiała czasem obetrzeć nos przedramieniem, bo dłonie miała mokre. Nic w tym zaskakującego. Ale ja mam zmywarkę firmy Miele z nierdzewnej stali. Jeśli więc muszę sobie popłakać, to płaczę. Jak należy, przed telewizorem.

Teraz wiem, że babcia miała ciężkie życie. Dlatego mnie dziwi, że tak rzadko płakała, tylko zagryzała zęby i wytrzymywała.

Ada w mało co wierzyła. Wierzyła w czysty dom. Nie wierzyła jednak i nie utrzymywała przesądu, że jeśli człowiek połknie pestkę jabłka, wyrośnie mu przez pępek jabłoń. Chyba nie uwierzyłyby w mój obrazek „sieroty Ady Merriman”; chociaż w rzeczywistości to prawda, że jej rodzice umarli, kiedy była dzieckiem. Po prostu nie zajmowała się takimi sprawami. Wyobrażanie sobie różnych rzeczy lub przechowywanie ich w pamięci napawało ją niesmakiem, podobnie jak plotkowanie, tyle że bardziej. Teraz prawie tylko tym się zajmuję. I to wszystko jej wina. Bo jeżeli dzisiaj sięgam pamięcią do źródeł moich wyobrażeń, wracam myślą do zlewu Ady w Broadstone.

Leżał na nim czerwony plastikowy druciak do skrobania, gruba zielona szmatka do dokładnego mycia i gąbka do przecierania. Wisiała biała bawełniana ściereczka do ceraty, którą nie wolno było wycierać naczyń do sucha. Była też szmata do podłogi, której nigdy nie kładło się na ceracie. Musiałam to wszystko wiedzieć, bo byłam najstarszą dziewczynką w domu. Odpowiadałam za zlew i za zmywanie.

Nie miałam nic przeciwko temu. Lubiłam przebywać blisko babci.

I snułam przy tym rozmaite wyobrażenia. Kiedy stałam przy zlewie w Belfaście, z widokiem na ogród za domem i na zielone drzwi garażu w głębi, wyobrażałam sobie dziewięcio- lub dziesięcioletnią Adę z walizką, albo ile tam miała lat, kiedy umarła jej matka, a ona musiała stawić czoło wielkiemu światu. Usiłowałam wyobrazić sobie jej ojca, ale nie umiałam. Wyobrażałam sobie, że moja mama umiera w domu przy Griffith Way – można powiedzieć, że mama bez przerwy umierała – tata płakał i również umierał, a kiedy już ją pochowano, wyobrażałam sobie, jakie to wspaniałe przygody czekają nas teraz, dwie sieroty, Liama i mnie.

Przez cały ten czas Ada kazała mi płukać talerze wodą z czajnika, a Charlie za jej plecami puszczał do mnie oko.

Pewnego ranka wezwała mnie do swojego pokoju. Ubierała się do wyjścia. Pamiętam, że miała różową opaskę na palec, umocowaną gumką na nadgarstku. Niewiadomo dlaczego, wydaje mi się, że skaleczyła się przy maszynie do szycia, ale chyba nie mogła wyrządzić sobie aż takiej krzywdy. Nie przypominam sobie, żeby przekłuła sobie paznokieć ani żeby krzyknęła, lub żeby nastąpiło poruszenie w składziku. (Już sam fakt, że przywołuję ten obraz w pamięci teraz – rozpędzoną, zbłąkaną igłę, odciążenie cierpiącej kobiety od maszyny – każe mi myśleć, że Ada miała rację, iż jest coś niemoralnego w patrzeniu oczyma duszy).

W każdym razie z tą opaską na palcu wezwała mnie do toalety na poddaszu.

– Chodź no tu – zażądała, spoglądając przez ramię i zadzierając trochę spódnicę z tyłu. – Zapnij mnie.

I odwróciła się do mnie bokiem.

Miała zaskakująco chude uda. Znaczyła je atramentowa mapa popękanych żył, tworzących gniazdo nad pończochą, zwiniętą u góry w rulonik na grubej pomarańczowej gumce. Na harmonijkowych tasiemkach wisiały małe białe sprzączki, które wychodziły nie wiadomo skąd, bo nie widziałam albo nie chciałam dostrzec, i dosłownie wieki trwało, zanim domyśliłam się, o co mnie prosi. Musiałam uklęknąć przy gotyckich fiszbinach gorsetu i przypiąć do niego czekające niżej pończochy. Pamiętam cichy plask gumowych łapek zaciskających się na nylonie, który nie chciał tkwić w miejscu, chłód jej nogi i cierpki odór jej godności. Wyobraziłam sobie, że wszyscy mężczyźni, którzy pukają do jej drzwi, wiedzą o tych tajemnych przerwach między częściami jej garderoby; wiedzą o jej zadziwiającej dwunożności i ciasnej krypcie gorsetu, otwartego na powiew od dołu.

Może zresztą wiedzieli.

Kiedy więc w progu zjawił się Frank Duff, sądziłam, że i on ma na nią chrapkę.

– Ado, to tylko drobiazg. Ale nalegam. To naprawdę tylko błahostka.

Frank Duff, przywódca Legionu Maryi, stowarzyszenia religijnego zajmującego się w roku 1967 próżniactwem i parzeniem herbaty.

– Szczęść Boże. Wesołych świąt dla całej waszej gromadki.

Przejechał serdecznie ręką po moim policzku, chwycił mnie delikatnie za brodę, po czym puścił.

Później nadszedł pan Nugent z pudełkiem galaretek owocowych. Pominął Adę i zwrócił się wprost do dzieci. Było przecież Boże Narodzenie: nasze święta.

Za młodu Frank Duff ratował prostytutki na ulicach Dublina. Ten ujmujący, mądry człowiek organizował w roku 1925 misje; przekonywał dziewczęta, żeby porzuciły dom publiczny, wykupywał je od burdelmamy i zabierał w ustronne miejsce. To była pierwsza wielka akcja Legionu Maryi. W Wielkim Poście roku 1925, kiedy Ada poznała Charliego, Frank Duff nie ograniczał się już tylko do klepania pacierzy.

Odkryłam to, tropiąc go w uniwersyteckim księgozbiorniku, kiedy pisałam pracę na zaliczenie końcowe na studiach, którą zatytułowałam (chyba bez cienia ironii): „Płatny seks w Wolnym Państwie Irlandzkim”. Bo nagle rozjaśniło mi się w głowie. Zrozumiałam między innymi, że kiedy ludzie się pieprzą, to mężczyźni pieprzą kobiety – a nie odwrotnie – i że ten zaskakujący mechanizm zmieni nie tylko moją przyszłość, która kurczyła się wprost w moich oczach, lecz również szeroki, zamknięty świat mojej przeszłości. Przez chwilę więc wyobraziłam sobie, że Ada była jedną z takich zreformowanych dziwki Duffa. Nie była oczywiście rozmemłaną dziewczynką, tylko sierotą. Właściwie w ogóle nie była dziewczynką. Była biedną dziewczyną, która odwracała się do ściany, kiedy na stolik nocny spadały z brzękiem monety, a ciemna sylwetka mężczyzny znikła z pokoju.

Trzymajmy się tego. Satynowa halka obszyta lekko naderwaną koronką. Obrazek Najświętszej Marii Panny schowany w szufladzie aż do jego wyjścia. Romantyczny upadek. I dygotki w poczekalni u lekarza, przytrzymywanie wełnianego płaszcza pod szyją, bo odpadł guzik. Zakurzona mieszczańska fantazja – zwinięte pończochy, gruzlica i kucanie nad miednicą na podłodze, żeby się podmyć.

W ten wielkopostny wieczór w recepcji hotelu Belvedere znajdują się księża, burdelmama i nasz bohater, Frank Duff. Cichaczem wykupują dziewczęta od burdelmamy. Likwidują jej interes.

Na dworze Ada i Nugent najpierw słuchają, a potem zapominają słuchać cienkiego strumyczka rozmów ciurkających z recepcji. Co najmniej przez chwilę siedzą tylko naprzeciwko siebie – mężczyzna z Legionu i mała szwaczka-dziwka. Jakie mają szansę? Ona jest piękna. A on nie jest bardziej przyzwoity, niż powinien. W mieście panuje spokój, w hotelu też, nikt nie powie tu Lambowi Nugentowi, że do końca życia będzie siedział w dużym, frontowym pokoju tej kobiety i podsuwał swoją porcelanową filiżankę po zapytaniu: „Jeszcze herbaty, Lamb?”.

Nikt, dopóki do środka nie wejdzie Charlie Spillane.

– Moje uszanowanie – wita ją, uchylając wymyślnego kapelusza. – Mam nadzieję, że ten młody człowiek panią zabawi.

Jak już mówiłam, Michael Weiss bardzo to lubił – ale gdy tylko on polubił, ja zmieniłam zdanie. Kiedy z jego ust padło słowo „prostytcja”, moja opowieść, która wylażała na świat niczym ślimaczek wysuwający się ze skorupki, skuliła się. Michael nie poznał Ady. Nie miał pojęcia, o czym mówię. A mówiłam o rodzinie. Mówiłam o tym, co robiliśmy trzy razy w ciągu nocy. Mówiłam o mięsistym kwiecie mojej cipy pod jego dłonią.

Tymczasem pokazał się Liam i ponownie zniknął. Wynajmował pokój w obskurnej norze w Stoke Newington i trząsał się przed egzaminami; nasz ojciec poczerwieniał z wściekłości jak burak, kiedy wymawiał mu zmarnowany talent i wyrzucone w błoto pieniądze na czesne.

– Jak zobaczysz tego swojego brata, to powiedz mu ode mnie, że jeśli ma czelność, niech przyjdzie i spojrz mi w oczy Powiedz mu to ode mnie.

– Ale co, tato? Co mam mu powiedzieć?

– Jak to co?

– No dobrze. To ja mu powiem.

– Ale co?

– Już ja mu powiem.

– Ale komu? – wtrącała mama. – Komu powiesz? Michael Weiss swoim amerykańskim sercem uważał rodzinę Hegartych za przebój. Czasem spotykał Liama w barze w Belfield i obaj znajdowali zadziwiająco wspólny język – mężczyzna, z którym sypiasz, i twój brat patrzą na siebie, jedno skinienie i rozumieją się bez słów. Wpieniało mnie trochę, kiedy odchodzili razem na partyjkę bilardu, a ja zostawałam sama nad kuflem satzenbrau.

Zdarzały się też nam miłe wieczory we troje, kiedy podtrzymywałam z Liamem tradycję ustanowioną pierwszego lata w Londynie, mianowicie opowiadaliśmy sobie o naszej rodzinie różne historie, niby to wysane z palca. Zwijaliśmy się ze śmiechu z obrzędu wyświęcenia Ernesta, z koszmarnych żółtych podeszew jego stóp, kiedy leżał na ołtarzu, z widoku matki, kiedy już odprawiono wszystkie czary-mary, a ona podeszła, żeby oblec go w szaty, i potem na przyjęciu podobnym do wesela kroili we dwoje tort, mój brat z matką, a po wszystkim się pocałowali.

– Nie wierzę – zawołał Michael Weiss. – Z twoją matką? Nie wierzę!

I zaczął się rozwodzić nad własną bar micwą, co, rzecz jasna, puściliśmy mimo uszu.

Chociaż pewne sprawy rodzinne, które śmieszyły nas, jego w ogóle nie śmieszyły. Kiedy w wieku dwóch lat umarł starszy z moich młodszych braci, Stevie, Liam powiedział:

– To ona go zabiła. Zakryła mu twarz poduszką – i zaśmiewaliśmy się do rozpuku.

– Oj, przestań, przecież ona przez cały czas była w ciąży. W kółko chodziła w ciąży.

– A ty byś zrobiła inaczej?

Wkrótce Michael zapragnął odwiedzić nasz dom. Nie wiedziałam, jak mu wyjaśnić, że nikt się jego wizytą nie przejmie, ale jeżeli przekroczy próg, wszyscy przez rok będą się z niego śmiali. Ostatecznie zadzwonił do drzwi, z typowo amerykańskim bukietem przed balem gałganiarzy, i wparadował jak Cary Grant przez korytarz i przybudówkę do salonu, przez kolejną przybudówkę, w której mieściła się kuchnia, a mój ojciec jak nie zerwie się z fotela, żeby uściskać chłopakowi rękę.

– O, witam – przywitała go moja matka, tak samo jak przywitałaby, a może kiedyś przywita, kosmitę, który będzie rzucał blask na jej linoleum, albo ćpuna z nożem, tak samo jak na łożu śmierci przywita pielęgniarkę lub otwierający się przed nią tunel światła.

– O, witam.

– Michael Weiss, bardzo mi miło – powiedział Michael Weiss, otwarcie i po męsku wyciągając dłoń. Muszę przyznać, że ojciec powstrzymał się i nie zapytał, czy to żydowskie nazwisko, chociaż później zapytał mnie.

– Weiss, czy to nie jest żydowskie nazwisko? – a jednocześnie upierał się, że nie jest antysemitą, bo nie zna żadnych k r e t y Ń s k i c h Żydów.

– No to teraz jednego już znasz.

A wszystko to, zanim zaczęłam nie wracać do domu na noc i rozpętały się awantury. Można by się zastanawiać, skąd czerpał energię. Mój ojciec miał ognisty temperament, ale rzadko tracił opanowanie w stosunku do córek. Tracił go natomiast wobec synów, ale tylko wtedy, kiedy mu się stawiali. Oczywiście synowie stawiali mu się bez przerwy. Przymykał natomiast oczy na zbyt późne powroty córek do domu, jeżeli nie prosiły go o pieniądze na taksówkę; pozwalał na powrót podchmielonym, jeżeli minęło się go i weszło prosto po schodach; nie słyszał, że któraś wymiotuje w toalecie, byle potem po sobie posprzątała; ale kiedy poprosił o papierosa, a któraś z nas, o zgrozo, wyciągnęła paczkę prezerwatyw, to musiał wybuchnąć, i wybuchał jak gejzer Old Faithful, dopóki winowajczyni nie znalazła sobie innego lokum.

Pominąwszy wszystko inne, prezerwatywy były nielegalne. Ale wszyscyśmy je mieli. Czy były potrzebne, czy nie.

Tata nie miał oporów przed powiedzeniem czegokolwiek. Nie czuł dystansu. Zupełnie jakby mówił do siebie. Że kurwię się po całym Dublinie. Że jestem śmieciem z odzysku, że zamieniam się w kloakę – wcale nie żartuję – chociaż w gruncie rzeczy chciał chyba powiedzieć, że nie robię tego, co mi kazał.

Awantura rozegrała się kilka miesięcy przed moimi egzaminami końcowymi. I chociaż była to właściwie kupa śmiechu, wpłynęła na moje egzaminy, które traktowałam bardzo poważnie. Może dlatego czułam się taka osamotniona: siedziałam w kuchni, myślałam o Robespierre, nie mówiąc o Franku Duffie, mój ojciec pałał gniewem – bo wylazł z niego mały człowiek – ja chyba też sporo krzyczałam, a jednocześnie patrzyłam chłodno na niego, kiedy tak szalał, dopóki mu nie spurpurowiała szyja, chociaż twarz pozostała kredowobiała, lecz potem purpura wystąpiła mu wokół niebieskich oczu, aż w końcu całe jego rozjuszone oblicze oblało się purpurą. Warto również wspomnieć o jego purpurowej łysinie. Pamiętam, jak myślałam, że on sam nie wierzy we własne słowa i jego brak wiary w połączeniu z moim doprowadza go do takich skrajności.

Kiedy wróciłam do Belfield, moją koleżankę, Deirdre Moloney, matka wyrzuciła z domu właściwie bez powodu: dziewczyna była potulna jak trusia, najwyżej dwa razy uprawiała seks. W całym Dublinie wyrzucano wtedy dzieci z domów. W tamtych czasach wszyscy nasi rodzice byli wściekli. Chyba dosłownie sam zapach naszego dojrzenia doprowadzał ich do szału.

Przez kilka tygodni tata nie mógł na mnie patrzeć, co sprawiało mi ból, bo przywykłam do tego, że tatuś-kocha-swoją-córunię; przywykłam, że mogę mu ufać i go kokietować. I chociaż sprawiało ból, zrozumiałam, że mogę sięgać do bardziej zadawnionych ran – co pozwoliło mi przetrwać. To pozwala nam wszystkim przetrwać. Odwołujemy się do najdawniejszej blizny.

A teraz boli mnie śmierć taty. Umarł w roku 1986. Nigdy nie wszedł do sklepu, w którym sprzedawano kondomy przy kasie. Nigdy nie musiał zmienić zdania ani trochę. Myślę też o nim, kiedy biorę do ręki szkielet mątwy, który Rebecca znajduje na plaży, bo przypomina mi pestkę mango. Kiedy tata umarł, nikt jeszcze w Irlandii nie jadł owoców mango, chociaż już zabijano się za kiwi. Czuję, że muszę mu wynagrodzić ten brak mango. Muszę mu wynagrodzić dzielącą nas odległość, bo zdystansowaliśmy się od niego, oddalając się od miejsca, w którym on się zatrzymał.

Inna sprawa, że jego ducha guzik obchodzi, z kim sypiam. Jego duch nie miesza się do seksu. Jest ponad to. Czasem wydadę mi się, że ja też.

W każdym razie Michael przed całą tą burzą wymienił uścisk dłoni z ojcem, który wcale nie zapytał:

– Weiss? Co to w ogóle za nazwisko?

Wchodzę do kuchni w brązowej sukience Jenny Vander, w której chyba wyglądam całkiem nieźle. Kiedy opuszczamy mój rodzinny dom, Michael Weiss nie posiada się z radości.

– Nie wierzę – mówi. – Po prostu nie wierzę. Wszystko, co mi mówiłaś, zgadza się co do joty.

Na co cierpnę – podobnie zresztą jak teraz, pisząc te słowa – z przerażenia.

15

Drzwi Ady wychodziły wprost na ulicę. Nie dzielił jej od świata żaden ogród ani ścieżka, zatem przechodnie, nawet nie wchodząc do środka, mijali ją bardzo blisko. Taki układ był równie niewzruszony i równie ekscytujący jak sama Ada. Bo moim zdaniem babcia zawsze żyła wbrew światu.

Latem w drzwiach zawieszano kremową płócienną kotarę w rdzawe, na przemian szerokie i wąskie, pasy. Było w nich poziome wycięcie na skrzynkę na listy, długa szczelina na kołatkę i mały, okrągły otwór na dzwonek. Kiedy podniosło się płachtę, wyglądały drzwi w kolorze butelkowozielonym.

Dom stał w rzędzie identycznych małych domów z drzwiami przytulonymi symetrycznie parami do siebie. Spaliśmy w głębi domu. Pamiętam, że stałam w oknie sypialni na piętrze i wyglądałam na mały garaż w drugim końcu małego ogrodu Ady i na ścieżkę za nim. Na naszą trójkę mieliśmy dwa łóżka, szerokie dla dziewczynek i wąskie dla Liama. Ściany były pokryte tapetą w niebiesko-zielone kwiaty, wypukłe i nieco metaliczne; za ich sprawą w moim uważnym spojrzeniu dziecka cały pokój jak gdyby się wił.

Mam trzy lata i stoję z uchem przyciśniętym do beżowego blaszanego klifu jej pralki albo zaglądam przez krawędź, żeby popatrzeć na kotłujące się i kłębiące ubrania: Ada przeciąga pranie przez wyżymaczkę („Nie dotykaj wyżymaczki!”), wyciska z sykiem resztki mydła, a jakaś sukienka wyslizguje się z wolna, by następnie wyprysnąć spomiędzy wałków i spaść do wiadra niczym gremplinowa kupa.

A teraz jem gumowy czepek kąpielowy Ady, którego słynne żółte kwiaty wykwitły nazajutrz w mojej pieluszce. Chociaż musiała to być jednak pieluszka Kitty – bo mając trzy lata, nie mogłam już nosić pieluszki. Ada krzyczy do Charliego, a on zagląda jej przez ramię i mówi:

– Skąd się u nas wzięła taka mądra dziewczynka?

Oczywiście, że byłam zazdrosna o młodszą siostrę, ale też kochałam ją dziwną, zapamiętałą miłością. Nic dziwnego, że teraz podkradam jej wspomnienia. Chociaż dzisiaj wiem, że żaden mężczyzna za nic nie dotknie brudnej pieluchy, oczyma duszy widzę, jak Charlie wyciąga bukietik zafajdanych żółtych kwiatów.

Ale to już z całą pewnością ja naciągam sobie ten czepek kąpielowy na twarz. Zlizuję ze środka sól, dopóki nie przylgnie mi do twarzy – zapach włosów Ady w morzu. Tonę w różowym świetle, które eksploduje miękkimi kwiatami w kolorze jaskrawej czerwieni i zdumiewająco jaskrawej czerni.

Czy tak rzeczywiście było? Świat bólu, kiedy ktoś zdiera mi czepek z twarzy; Ada stoi nade mną i krzyczy. Przyciska mnie do swojego mizernego biustu, który ma smak płatków mydlanych i wełny.

Bardziej prawdopodobne, że to Liam naciągnął mi ten czepek na twarz, przez co omal mnie nie zabił. A może to myśmy poddusili Kitty. Bez przerwy bawiliśmy się w mdlenie, co plasowałyby tamto nakrycie głowy – rozkoszny, fantastyczny różowy czepek kąpielowy z miękkimi żółtymi kwiatami – w świecie ośmiolatki, a nie trzylatki.

Czasem rozglądałam się w sklepach z używaną odzieżą za takimi rzeczami, w nadziei, że gdybym mogła wziąć podobny czepek do ręki, rozciągnąć go i powąchać, to przypominałabym sobie, jak to było naprawdę i kto z nas – Kitty, Liam czy ja – to robił.

Kiedy drugi raz wysłano nas do Ady, ojciec przewiózł nas przez miasto wczesnym południem, kiedy nie było ruchu na ulicach – albo w niedzielę – z walizkami w bagażniku. Zdumiało mnie, skąd on tak dobrze zna drogę.

Wtedy zaległa cisza – kiedy stałam w pokoju w głębi, skąd wyglądałam na garaż i na ścieżkę. Cisza była przytłaczająca, jakby powietrze było z drewna, a bulwiaste kwiaty na tapecie – widziane oczyma ośmiolatki – jednocześnie wiły się i trwały w bezruchu.

Nie wiem też, dlaczego ten obraz tu się wciska, ale widzę ojca w naszej kuchni na Griffith Way, chyba sześć lat później, jak trzyma gruby drewniany stół niczym Biblię i krzyczy na Liama, dobierając starannie słowa:

– Kochałem waszą matkę, odkąd ją pierwszy raz ujrzałem! Wielbiłem ziemię, po której stąpała!

Widocznie Liam, bodajże trzynastoletni, powiedział coś obraźliwego. Ojcu aż spurpurowiały wąskie wargi, klatka piersiowa chodziła jak miechy i tylko wyciskała kolejne wydychane słowa.

– KOCHAŁEM waszą MATKĘ, ODKĄD ją pierwszy raz UJRZAŁEM. WIELBIŁEM ZIEMIĘ, po której STĄPAŁA.

Tymczasem Mossie czytał gazetę, ja odrabiałam lekcje, Midge płakała z jakiegoś całkiem innego powodu i zrobiła sobie herbatę.

Ojciec rozgniewał się nie na żarty. Cały się trzęsiał, jakby zaraz miał czymś cisnąć albo coś rozbić. Chyba wtedy Liam nazwał go pieprzonym prostakiem.

– Ale z ciebie pieprzony prostak!

I wypadł z pokoju, zanim ojciec zdążył go złapać i przetrzepać skórę.

Ojciec był niskiego wzrostu. W piersiach zawsze mu świszczało i grało. I niczego tak nie pamiętam jak tamtej ciszy, która zapadła, kiedy zamknął za sobą drzwi frontowe Ady, usiadł za kierownicą swojego auta i odjechał.

Ogródek Ady był pewnie tylko małym podwórkiem, ale dla nas stanowił miejsce niezwykle, przez rajską jabłoń i pokrzywy: drzwi do garażu czasem były otwarte, a czasem zaryglowane i niewiedza, czy pan Nugent jest w środku, wznosiła jedynie naszą ciekawość. Liam majsterkował przy warsztacie albo bawił się we wraku samochodu. Ja siadałam na pozszywanym przednim siedzeniu z niebieskiej skóry, tu i ówdzie naciągniętej, a gdzie indziej porozrywanej. Nie próbowałam prowadzić, bo deska rozdzielcza była zbyt dziwna. Ślizgałam się tylko po tapicerce albo wierciłam na ładnych rządках ściegów i przemawiałam władcym tonem do kierowcy, czy tam siedział, czy nie.

Do ścieżki w głębi ogrodu prowadziły dwuskrzydłowe drzwi, gdzie na klockach stał drugi samochód, jasnoniebieski, chromowany, z wielkimi amerykańskimi pletwami. Do dzisiaj aż mnie coś ściska za gardło, jak widzę tak zdezelowane auto. Pan Nugent wchodził i wychodził drzwiami prowadzącymi na tę ścieżkę, czasem dłubał coś przy warsztacie, a jeżeli pogoda dopisała, zaglądał pod maskę amerykańskiego krążownika. W piątki pukał do frontowych drzwi i zawsze przynosił dzieciom słodycze. Miał na głowie kapelusz, którego uchylał, kiedy otworzyła mu Ada. Dopiero po latach zrozumiałam, jaki to był oficjalny gest i w ogóle, co się działo.

Ada mówiła na niego Nolly, chociaż wszyscy wiedzieliśmy, że powinno się do niego zwracać panie Nugent, jeżeli w ogóle ktoś się do niego zwracał, bo przecież nie my. Czasem mówiła na niego Nolly May, zwłaszcza po jego wyjściu: – Och, Nolly May – i odstawiała krzesło, na którym przed chwilą siedział, z powrotem pod ścianę.

Pan Nugent tylko siedział tam, niejako znieważany przez naszą tapetę, zawsze odrobinę spocony, a przy tym dużo chrząkał, i widać było wyraźnie, jak bardzo pragnął babci.

Babcia miała wykwintne maniery. Lubiła stawiać wszystko na tacy. Miała swoje zdanie na temat cukru w kostkach i gdzie należy odkładać biszkopta między kęsami, co nas wszystkich bardzo peszyło, a zarazem pozwalało czuć jej miłość. Szyła suknie w składziku na górze, czasem też pracowała w teatrze, dlatego musiała dbać o przyzwoitość. Wszelkie niedopowiedzenia zakłócały atmosferę między nią a aktorami, którzy czasem przychodzili do przymiarki. Czasem coś od niej wyciągali, aż – mów! mów! – powietrze w pokoju gęstniało od aluzji. Zawsze jednak po wyjściu tego samego gościa odstawiała naczynia i mówiła mi, że chociaż życie na scenie jest niezwykle ciekawe, łatwo się od niego gorzknieje. Albo wygłaszała osobliwie zapadające w pamięć złote myśli, jak na przykład:

– Z seksem nigdzie nie zajedziesz. Pamiętaj, że seks zaprowadzi cię do-ni-kał.

Chociaż Charlie często wyjeżdżał, dotrzymywaliśmy Adzie towarzystwa, a czasem któraś aktorka nocowała w składziku, jeżeli dawała występy w mieście; wciśnięta między manekin krawiecki a elektryczną maszynę do szycia. Przynajmniej tak mi się zdaje, że tam nocowała. Manekin dziwnie działał mi na wyobraźnię; chociaż nie potrafię teraz nawet otworzyć tych drzwi w głowie, żeby zajrzeć do środka. Nazywała się Peggy McEvoy. I była zaręczona z kimś z telewizji.

I był też Nolly w dużym pokoju, który chrząkał i przetykał ślinę, a myśmy się zajadali przyniesionymi przez niego herbatnikami VoVo i anyżkowymi ciągutkami Blackjack. Poznawałam go po smaku słodczy, błysku okularów, obciążeniu kieszeni, a także charakterystycznej kępcie włosów wykwitających mu w uchu. Dłonie trzymał równo na kolanach i zawsze siedział wychylony naprzód, nie do końca oparty plecami o krzesło. Teraz, kiedy go widzę oczyma duszy, uważam, że siedział jak ktoś, kto cierpi na niedostatek seksu – a przy tym patrzył aż nazbyt swobodnie, co też rozumiem dopiero dzisiaj. Chociaż dorobił się, na swój ponury sposób, czworga dzieci i żony imieniem Kathleen, której nigdy nie widzieliśmy. Kiedy Ada wychodziła z pokoju, wstawał z krzesła, podchodził do telewizora i zapalał go z trzaskiem. Następnie siadał i patrzył na nas. Po chwili wyjmował coś z kieszeni.

– To nie jest zabawka.

Ale zawsze było to coś interesującego. Któregoś dnia była to biała myszka – lub raczej szczur – z czerwonymi ślepiami i różowym ogonkiem. Podniósł mi wtedy mankiet swetra, żeby wpuścić gryzonia do rękawa, przez który przebiegł na pierś – a potem do pokoju wchodziła Ada i zaczynała krzyczeć.

Podawała herbatę na małych stolikach, wsuwanych jeden w drugi, w kompletach po trzy a każdy mniejszy od poprzedniego.

– Nakryj serwetą mały stolik – prosiła mnie.

A kiedy stawiała tacę przed Nolly Mayem albo podawała mu herbatę, mówiła, że Charlie powiedział to lub tamto. Mówiła o naszym dziadku Charliem, który pod nieobecność Nugenta dopytywał się:

– O której wyszedł? Może widziałaś, że brał pieniądze z półki?

Nie sądzę, że Charlie pił (nawet wady miał staroświeckie), po prostu robił wszystko inne. Albo nic. Trudno powiedzieć, co robił, poza tym, że wiecznie go nie było. Czasem wracał w innym ubraniu.

– Och, traktował ją jak królową – mówiono przy wędlinach na stypie.

Niewątpliwie Ada z Charliem stworzyli związek, w którym oboje grali najważniejsze role, a kiedy babcia szła do niego przez pokój, widać było, że czują na sobie palec przeznaczenia, jak gdyby ich miłość niosła nie tylko radość, lecz również wielkie brzemię.

Pewnego razu, kiedy weszłam do frontowego pokoju, siedzieli po obu stronach kanapy, ona oparła stare nogi na jego kolanach, a on masował je przez przezroczyście pończochy. Nie powiem wam, czym Nugent się zajmował, chociaż coś mi się kołaczy, że był bukmacherem albo pomocnikiem bukmachera, bo czasem wkładał szare kaszmirowe palto, wsiadał do czarnego samochodu i kazał się wieźć na wyścigi. Wiem tylko, że w garażu za domem trzymał swoje stare bryki i nigdy nie wiedzieliśmy, czy jest tam, czy nie. Myślałam – jeżeli w ogóle wówczas myślałam – że Ada pozwoliła mu z niego korzystać, bo nie miała własnego samochodu, a Charlie już wtedy nie jeździł.

16

I oto wszyscy w końcu wybierają się na wyścigi. Jest wielkanocny poniedziałek i wszystkie samochody w Dublinie suną kawalkadą na tor wyścigów konnych Fairyhouse, całą O'Connell Street zajmuje sznur omnibusów, a co dwadzieścia minut odjeżdża pociąg ze stacji Broadstone.

Smutne dni Wielkiego Postu minęły, misja Legionu zakończyła się zwycięstwem, policja przeprowadziła naloty na domy publiczne, które pokropiono wodą święconą, Frank Duff je wykupił i zamknął. Urządzono wielką procesję religijną, przewodniczący Legionu osobiście wznosił krzyż na Purdon Street, po czym wszedłszy na stół kuchenny, wbił gwóźdź zdumiewająco wielkim młotem. Dwadzieścia dziewcząt odstawiono do przytułku Sancta Maria, gdzie zaaplikowano im gruntowny odwyk. Wszyscy modlili się dzień i noc, noc i dzień, do utraty sił, aż całe miasto miało już tego wszystkiego potąd, mieszkańcy przepłakali zgliszcza, ucałowali krzyż i poczuli się na wskroś, do cna duchowo oczyszczeni: wielkanocne poranki, które zawdzięczali J. , a kiedy już wszyscy się najedli, pośmiali i napatrzyli na żonkile, poszli do łóżek i kochali się (bo czterdzieści dni to długo), potem się porządnie wysypiali, a nazajutrz rano jechali na wyścigi.

Jest wielkanocny poniedziałek, bardzo wczesna godzina. W tym dniu Chrystus mówi kobiecie w ogrodzie:

– *Noli me tangere.* – Nie dotykaj mnie.

Jest za wcześnie. Jest za wcześnie, żeby go dotykać.

Och, Nolly May.

Chociaż może Ada podejmie jakąś próbę. Może na chwilę zapomni, że to Charliego będzie kochała na wieki i postara się wobec Nugenta. W końcu to on ją zaprosił; zostaje po mszy, żeby wspomnieć mu o możliwości wspólnego wyjścia. Oczywiście ona i tak się wybiera, on więc proponuje jej nie tyle schadzkę, ile podwiezienie.

– Twierdziłaś, że chętnie przejechałabyś się samochodem – mówi, wbijając wzrok w dzielącą ich ścieżkę.

Ada utkwiała oczy w to samo miejsce, podnosi brwi i pyta:

– A mogę przyprowadzić koleżankę?

Czyli Nugent jest w tym układzie kochankiem, Charlie szoferem, Ada natomiast zjawą Lilith, piękną kobietą-demonem, kobietą upadłą, smutną dziwką, biedną sierotą, pewną sprawą, jak kto woli; wraz z nią jedzie Ellen, pokojówka, a zarazem osoba towarzysząca Charliemu.

Nugent i Ada siedzą na tylnym siedzeniu morrisa. Ada wygląda nadzwyczaj korzystnie w dziennym świetle. Ma rumiane policzki, gęste włosy rozwiane na wietrze, a on czuje się przy niej dziwnie swobodnie, buzia mu się nie zamyka – bo ona go tak dobrze rozumie. Mógłby tak rozmawiać z kobietą i czuć się lepszym człowiekiem, mógłby całkiem zapomnieć swoje nocne rozważania i zmagania z własnym sumieniem, otwartą ranę duszy, która ziele mu – jak przyśniło mu się, nocą lub na jawie – w piersi.

To osobliwe poczucie mija, zmiecione szaloną jazdą kabrioletem, w kawalkadzie wszystkich samochodów w Dublinie, po zakończeniu Wielkiego Postu, na rozpoczęcie wyścigów. Nugent ma pewną rękę, a dziewczyna siedząca obok jest szczerą i poetycką jak zwierzę, dlatego jest bezpieczny. Przy Adzie jest bezpieczny.

I tak jadą Navan Road, mijają browary Guinnessa, gdzie Charlie uchyla wyimaginowanego kapelusza, żeby pokłonić się wspomniałemu piwu.

– Ho, ho – woła. – Ho, ho!

Świetnie się teraz bawią, śpiewają – ale co? – *The Harp That Once* i *Silent O Moyle* – wielkie pieśni biesiadne śpiewane na dworze. Charlie bryluje nad wszystkimi pięknym angielskim barytonem, patrzy wszędzie, byle nie na drogę, toteż Ada widzi tylko jego otłuszczone łopatki, oparte o siedzenie przed nią, koniec jego łopoczącego szala dosięga jej, a czubki wypomadowanych wąsów, co pewien czas dające znaki zza jego ramion, nasuwają wesołe myśli na temat męskości i czystości oraz, gdyby poświęcić im wystarczająco dużo czasu, przyprawiają o łaskotanie w łędźwiach.

Jesteśmy jednak pewni, że Ada tak nie myśli. Wystarczająco dużo wycierpiała od naszych insynuacji. Odwraca się do Nugenta, który rozprawia o czekających ich gonitwach i kandydatach na zwycięzców, a także o konieczności zachowania czystych rąk przez ministra finansów w tej materii, bo każdy lubi szczyptę emocji, to przyrodzone prawo Irlandczyków, podobnie jak każdego chrześcijanina.

Aż dziw słyszeć taki potok słów z jego ust. Ada odnosi wrażenie, że Nugent albo mówi wszystko naraz, albo milczy. Należy do mężczyzn, których w tamtych czasach doradzano kobietom jako dobrą partią – ciężko pracowali, a zarazem łatwo padali ich łupem.

Chyba jednak współczucie każe jej go dotknąć tam, w kabriolectic. Albo bezmyślność. Ada próbuje tylko zwrócić jego uwagę, ale na co? Lord i lady Talbot de Malahide jadą przez cały czas po niewłaściwej stronie drogi, a szofer trzyma rękę w rękawiczce na klaksonie. Albo na coś spokojniejszego – na konia ze słomy, który podpira w polu szyld z napisem: „Napitki”.

Mogła to być reakcja na jego uwagę:

– Już zrobili z kraju bezhołowie – co oczywiście odnosi się do rządu Wolnego Państwa; albo bardziej intymny komentarz na przykład: – Mnie osobiście kropla deszczu nie przeszkadza.

W każdym razie ma ochotę go dotknąć.

Jak się na to zdobędzie? Położy mu palec na rękę. Położy całą dłoń na przedramieniu. Albo później weźmie go pod pachę, i tak trzymając pod rękę, pójdzie z nim w stronę barierek. Cokolwiek zrobi, poczuje, że Nugent się odsuwa.

Oto Charlie staje przed nią, kłania się i częstuje ją cukierkami z otwartej torby.

– Wzmocnijcie mnie jabłkami – mówi, po chwili się opamiętuje i najpierw częstuje Ellen, dobroduszną pokojówkę z dwoma podbródkami.

Do wieczora Lamb Nugent pilnuje Ady, której z kącików ust aż leci ślinka do dropsów owocowych Charliego. Stawia po pensie u Myrellsona z Dame Street, który go zna i toleruje. Pride of Arras w gonitwie o trzeciej, w której Ballystockhard prze naprzód, niepomny na innych, a Ada dopytuje: – To mój koń, prawda?

Lecz Nugent wyprowadzają z błędu:

– Nie, nie twój. Przez całe popołudnie patrzy, jak szczęście przecieka mu przez palce, Street Singer, Con Amore, Daisy’s Boss – kto im wymyśla te imiona? Och, ale muszą wesprzeć Ellen’s Bean w Pucharze Fairyhouse, po prostu muszą, a kiedy koń przybiega drugi na metę, Ada ma na tyle oleju w głowie, że nie pyta:

– Co znaczy „płacą tylko single”?

Coolcannon przybiega przedostatni, grzebiąc wszelkie nadzieje, aż wreszcie szczęście dopisuje Adzie przy Knocknageneen.

Hurra!

Teraz wszyscy są już tak zmęczeni przyływem emocji i stratami we wszystkich gonitwach, a także niemiłosiernym oczekiwaniem w przerwach, że kiedy Ada podskakuje z zaciśniętymi pięściami, nic się przed nimi nie ukryje. Mogłaby tak zostać – Ada wstępująca – zastygła w zwycięstwie, od zaciśniętych pięści po czubki spiczastych butów. Kiedy schodzi znów na ziemię, wszystko się rozstrzyga: jeden z tych mężczyzn pragnie jej wygranej, drugi przegranej.

I ona dobrze o tym wie.

Koń Ady przybiegł pierwszy. Ale to tylko koń – niezupełnie jej wina. Może więc poczucie sprawiedliwości każe jej wybrać Charliego, który cieszy się wraz z nią, w odróżnieniu od Nugenta, który jej szczęście przyjmuje jak zniewagę. Z całą pewnością wtedy dokonał się wybór.

W drodze powrotnej do domu Ellen śpiewa na przednim siedzeniu; wiatr przynosi im na tył strzepy jej pięknego głosu: *When Other Lips* i *I Dreamt I Dwelt*. Wszystkie osoby jadące tym samochodem rozumieją się bez słów.

Siedzą i myślą, co to znaczy: Charlie podbił serce Ady, Nugent ją stracił. Sytuacja prowokuje ich do myślenia o innych sprawach.

Na przykład Charlie myśli o wszystkich dziewczętach, którym omal nie zniszczył życia, zanim je rzucił. Żegna się z tamtym światem, z oszałamiającym, kiczowatym, nieskończonym smutkiem jednej czy drugiej kobiety, jednej czy drugiej, dopóki nie musiał zwrócić się do swojego członka, jak do śliniącego się psa: – Dosyć, mój panie! Dosyć!

Ellen myśli, że nigdy nie wyjdzie za męża.

Nugent usiłuje pochwycić swój ostatni sen, pewien, że podpowiadał mu przegraną, zanim w ogóle stanął do walki. Był to sen o jego duszy, o dziurze ziejącej mu w piersi – bo dusza jest rodzaju żeńskiego – a teraz rozkwita w nim dziewczyna, przebija się, on zaś ma dziurę płaczącą mu nektarem tuż nad sercem, która otwiera się na jego dłoń, a tam – właśnie tam – spotykają się wszystkie dobre rzeczy, takie jak nadzieja i czułość, tam może wspaniale odpocząć, wejść albo dać w siebie wejść po wielokroć i znaleźć, tak jak on, rozkoszną ekstazę duszy, dopóki nie obudzi się strwożony własnymi błuznierczymi myślami i nie poczuje wstrząsu następczego po rozlanym właśnie nasieniu i nie odczeka w ciemnościach, aż cała ta breja wystygnie.

Nie wiem, o czym myślała Ada, wracając samochodem do domu. Przypuszczalnie robiła obrachunki, zachodząc w głowę, dlaczego musiała wybrać kawalera z dziurą w kieszeni. Mimo wszystko wyciąga rękę do Charliego i mówi:

– Dziękuję za piękną przejażdżkę.

I do Nugenta:

– Dziękuję za piękny dzień.

Patrzy Nugentowi w oczy. Wie, co on tam widzi. Ale się nie przejmuję.

Nie wiem, dlaczego Ada wyszła za Charliego, skoro to Nugent był skrojony na jej miarę. I chociaż można by powiedzieć, że nie wyszła za Nugenta, bo go nie lubiła, to nie wystarczy. Nie zawsze lubimy tych, których kochamy – nie zawsze mamy taki wybór.

Może to był jej błąd. Uważała, że może wybierać. Uważała, że może wyjść za mąż za mężczyznę, którego lubi, a potem żyć z nim szczęśliwie i urodzić szczęśliwe dzieci. Nie zdawała sobie sprawy, że każdy wybór niesie zgubę. Dla takiej kobiety jak Ada każdy wybór – z chwilą, gdy go dokona – jest błędem.

17

Pewnego dnia Ada spakowała kosz i zabrała nas pociągiem na plażę. A ściślej mówiąc, zwinęła kilka kanapek w pergamin po krojonym chlebie i włożyła do siatki – na chwilę zamieniła się w postać z telewizji, która idzie w długiej sukni połą drogą, a komary i pyłki kurzu tańczą w słońcu wokół jej głowy. A więc nie. Chociaż rzeczywiście zapamiętałam taki nastrój naszej wycieczki, Ada nie miała na sobie długiej sukni z bufiastymi rękawami, lecz sukienkę (co za wspomnienie!) w liliowe kwiatki – we wzór jak na podomce, tyle że tu na egzotycznym tle głębokiej czerni. Kołnierzyk i mankiety miała obszyte lamówką w ten sam kwiecisty wzór, z tą różnicą, że kwiaty były błękitne, przez co sukienka wyglądała bardziej dostojnie, chociaż była zwykłą sukienką w kwiatki, zebraną w pasie, z rozkloszowaną spódnicą, z lekko połyskliwej bawełny, szeleszczącą przy każdym kroku.

Siedzieliśmy obok niej w pociągu przez całą drogę do Donabate nad morzem i bawiliśmy się skórzaną rączką u góry do ściągania okna albo rozsuwaliśmy drzwi, żeby wyrzeć na korytarz, a potem znów je z trzaskiem zasunąć. Minęliśmy Hill of Howth, potem Malahide; pociąg wjechał na piaszczystą równinę North County Dublin, które wszystkim Hegartym kojarzyło się z „ogrodnictwem warzywnym”, tak jak Navan z „dywanami”, a Newbridge ze „sztuccami i sznurami”. Wyglądaliśmy przez okno i zastanawialiśmy się, czy poznalibyśmy „ogrodnictwo warzywne”, gdybyśmy je minęli; dokazywaliśmy na siedzeniach i chyba wszyscy byliśmy szczęśliwi.

Jechaliśmy do Świętej Ity, a potem nad morze. Pierwszy cel podróży brzmiał dziwnie. Mieliśmy siostrę imieniem Ita, najbardziej przez nas wtedy nielubianą, jak chyba każda dziewczyna, kiedy zaczynały jej rosnać piersi.

Święta Ita była irlandzką zakonnicą, która z miłości do Dzieciątka Jezus modliła się o dar karmiącej i... „mleko trysnęło”. Tego dnia nie zmierzaliśmy więc pociągiem do konkretnego celu, lecz do jakiejś mglistej koncepcji „karmienia”, cokolwiek znaczyło to dla mnie, kiedy miałam osiem lat: kobieta czule zatyka buzię dziecku albo pielęgniarka czeka z uśmiechem – a w białym płótnie okrywającym jej pierś i wiszącym zegarku upatrywałam czegoś dziwnego, a zarazem pięknego. Pociąg pędził, ze stukotem, ku bieli. I zapamiętałam właśnie biel, kiedy wreszcie przyjechalśmy na miejsce, spieczone białe niebo stykające się w ostatnim rozbłysku bieli z dalekim szarym morzem.

Tymczasem siedziałam w przedziale obok kwiecistej spódnicy Ady, wyciągałam sznur plastikowych koralów z zaciśniętych ust i znów wkładałam je sobie do buzi. Ta fantastyczna, bezkresna podróż pociągiem nie mogła trwać dłużej niż czterdzieści minut. Kitty i ja w sukienkach w kratkę, ona w różowej, ja w zielonej, i Liam, jak zwykle chłopcy, w szarościach i granatach. Telepaliliśmy się naprzód, podskakując z rozkoszą wszyscy razem na sprężynowych siedzeniach niczym aktorzy na scenie. Wreszcie wysypaliśmy się na stację! Syk pary, wraca Ada w bufiastych rękawach, a my wchodzimy po schodach do małej wioski i na garbaty mostek, skąd widać tory biegnące na północ do Rush i Lusk. Jest tam sklepik z lodami wodnymi na patyku i czuć zapach morza, lecz Ada nie dotarła jeszcze do celu podróży, stajemy więc na przystanku autobusowym i czekamy, aż podjedzie obcy mężczyzna samochodem w kolorze mięty, i wtedy wsiadamy wszyscy do tyłu.

– Pani jedzie do szpitala? – pyta mężczyzna za kierownicą.

– Tak, do Świętej Ity – odpowiada z westchnieniem Ada.

Obcy pozwala, żeby ciężka nazwa zawisa między nami. Mówi, że nie podjedzie pod samą bramę; ale wysadzi nas dość blisko. Widocznie często zabiera ludzi z tamtego przystanku, a po tym, jak wymawia słowo „szpital”, poznaję, że Święta Ita to wcale nie szpital. Bo gdybyśmy jechali do szpitala, Ada by nam powiedziała.

Z przodu obok kierowcy siedzi pięcioletnia dziewczynka. Ma niesamowicie okrągłe oczy, bose nogi, nie ma podkoszulka. Siedzi, wesolutka jak szczygiełek, obok ojca. Przyglądamy się sobie, kiedy samochód staje, a ona po naszym wyjściu odprowadza nas wzrokiem, jak gdyby też chciała z nami wysiąść, mimo całego swojego szczęścia. I kiedy auto odjeżdża, cząstka mnie odjeżdża razem z nią.

Inna cząstka mnie nadal kroczy, po latach, polną drogą, na której wysadził nas wtedy tamten obcy człowiek. Droga jest długa i prosta; ma jednak prawdziwe betonowe pobocze, którym maszerujemy – troje dzieci i kobieta z siatką. Wzdłuż drogi biegnie rów, a za nim faluje wielki łąn zboża. Po drugiej stronie ciągnie się rząd wspaniałych, zniszczonych drzew i bagnisty pas. Po naszej stronie w środku pola stoi domek, przystajemy, żeby sprawdzić czy prowadzi do niego droga, czy może zarosło ją całkiem zboże.

W oddali – a była to najdłuższa, najbardziej prosta droga, na jakiej wtedy, jako ośmiolatka, się znalazłam – widzę mężczyznę z dwoma kijami, który kuśtyka naprzód, zgarbiony kolebie się to w jedną, to w drugą stronę, przebiera dziwacznie nogami, ni to w rytm, ni to nie w rytm, jakby wywijał tymi kijami tylko dla fasonu. Jest niski i krępy. Wykręca sobie rękę w nadgarstku, kiedy w dół idzie przygarbione ramię, przy czym kij nieco drży, zanim mężczyzna przechyli się na drugą stronę. Przypomina to upiorny balet – garbi się, wykręca, chwieje, stawia nogę. Garbi się, wykręca, kolebie, stawia nogę. Jeżeli dobrze widzę, nie ma kalekich nóg, tyle że idzie wolno, niosą go bardzo powoli, a droga jest bardzo długa. Garbi się, wykręca, zbacza, stawia nogę. Ramię, dłoń i może, tak, noga. Powinniśmy go już mijać, ale droga jest za długa, a Adę spowalnia któreś z dzieci, aż z odległości, owładnięta podnieceniem dnia, zaczyna myśleć, że z tym mężczyzną z dwoma kijami coś jeszcze jest nie tak, coś, o czym nie dowiemy się, dopóki go nie dogonimy; na przykład ma zdeformowaną twarz albo dziwny jej wyraz, którego z tak daleka nie widać. Zbliżamy się, chociaż jeszcze go nie doganiamy, bo maszeruje żwawo naprzód, pokonuje szmat drogi w tempie jak na mężczyznę z chorymi nogami i chyba byśmy go już nawet minęli, gdyby Kitty nie skakała po drodze, poza tym Adę zatrzymuje przekładanie siatki i wyczyniane z nią akrobacji, bo niesie w niej nie tylko kanapki z jajkiem w pergaminie, lecz coś jeszcze. W siatce są małe paczuszki, za dobre na nasz piknik, staroświeckie pakunczki owinięte prezentowym papierem i oklejone taśmą, przy czym jedno wygląda mi na pudełko czekoladek miętowych After Eight, a drugie ma tak nieokreślony kształt, że może być czymkolwiek. Ada schowała je do osobnej torby plastikowej, opatrzonej nazwiskiem wypisanym długopisem, spoczywającej w siatce. Najpierw odwiedzi kogoś w szpitalu, a dopiero potem pojedziemy na plażę. Wiedziałam o tym oczywiście od początku – że wybieramy się z wizytą do wujka Brendana, ale ponieważ mam tylko osiem lat, nie rozumiem, że mój wujek musi jednocześnie być synem Ady, albo nie rozumiem, co to znaczy „syn”. Ale na pewno od początku wiedziałam, że mamy odwiedzić wujka Brendana u Świętej Ity, i to nie jest tak do końca szpital, a dopiero stamtąd pojedziemy pobrodzić w morzu.

Zwłaszcza Liam jest rozbrykany, ale trzyma się od nas z daleka, chce iść drugą stroną i spojrzeć w rów, który przechodzi w bagnisko, lecz Ada mu nie pozwala, musi się więc trzymać pobocza, bo od tego ono jest, a co by nasza mama powiedziała, gdyby Ada odstawiła go do niej potrąconego przez samochód? Na samą wzmiankę o naszej mamie sytuacja się pogarsza, bo Liam jest dla mnie tylko „bratem”, a dla mamy jest tylko jej „synem”, i kiedy znów podnoszę wzrok, widzę, że stary dwukujowiec zniknął, że minęliśmy szeroki prześwit w zbożu, jeżeli w ogóle tam był, i domek dalej żegluje pośrodku pola, tyle że za nami, zanurzony po brzegi w złocistym brzoście.

Szpitala nie pamiętam. Mglistość przypomina mi się, że Ada nie zabrała nas do środka. Na terenie znajdowało się boisko do gry w piłkę ręczną i tam nas zostawiła, no więc graliśmy między jego betonowymi ścianami. Na wzniesieniu za boiskiem stała baszta, przypominająca okrągłą irlandzką basztę z okładek naszych zeszytów a obok wznosiła się wysoka, kamienna wieżyca, licząca ponad trzydzieści metrów, wieża ciśnień; obie stały na wzgórzu jak na warcie, niczym gruba kobieta z chudym mężczyzną, i wyglądały hen daleko w morze. Ciągnęło się już u podnóża wzniesienia. Mocarne morze pod twardym białym niebem. Najchętniej zbieglibyśmy tam na dół, lecz Ada nam surowo zabroniła, dlatego pobawiliśmy się trochę na boisku, napawaliśmy się jego kształtem i samą naszą na nim obecnością; ściana w głębi i dwie spadziste boczne wyglądały, jakby ktoś obciął z tyłu pudełko po butach. Po przeciwnej stronie od baszty i wieży ciśnień wznosił się mur z czerwonej cegły. Nie patrzyliśmy na mur ani na brudne okna kwatrowe bez krat, przez które wyglądali wariaci, i nie myśleliśmy o tym, co wariaci robią na widok dzieci – uważałam, że je jedzą, przysysają im się do uszu i trzęsą – dlatego odstawialiśmy grzeczne dzieci przed obserwującymi nas świrami, a potem wróciła Ada, z siatką opróżnioną do połowy, niezmiernie zadowolona, że się tak grzecznie bawimy.

– No chodźcie – zawołała, a myśmy nie powiedzieli jej o wariacie, który nadszedł ścieżką znad morza, ślamazarny, głupi, brudny i straszny i drepcząc obok, popatrzył na nas.

Potem już chyba poszliśmy nad morze. Ada zabrała nas na czerwoną oranżadę do pubu z czarnym dachem, na którym widniał białymi ogromnymi literami jakiś napis. Chyba przy bramie szpitala wsiedliśmy do autobusu, który zawiózł nas na stację, skąd pociągiem wróciliśmy do domu.

Mniej więcej w tym czasie Liam przestraszył się w nocy i chociaż Kitty miała spać w podwójnym łóżku ze mną, przyszedł w ciemnościach i wkręcił się między nas, a potem wypchnął ją, sycząc, żeby wyniosła się do opuszczonego przez niego łóżka. Kitty wyglądała w koszuli nocnej jak wiktoriańska dziewczynka, tylko bieleły jej się pięty i łydki na podłodze, włosy spływały po obu stronach twarzy opuchniętej snem; tęskniłam niemal za nią, za kojącym spokojem jej oddechu na poduszce obok, zajętej teraz przez Liama, który mrugał wielkimi oczami i uklepywał sobie pościel. Ani przez chwilę nie leżał spokojnie. Unosił głowę z poduszki i spoglądał na mnie albo podsuwał się do wezgłowia, kręcił się i wiercił lub zastygał w zdumieniu – „bo w oknie ukazała się twarz albo wyobraź sobie, że pod Dublinem znajduje się wulkan, albo że wpadłaś do dziury w ziemi i masz teraz buzię pełną robaków”. Wszystko to mówił z wielkim przejęciem, chociaż więc opowiadał straszne rzeczy, mam wesołe wspomnienia z tych nocy przegadanych do świtu. Widocznie był wtedy ode mnie mniejszy, bo zawsze wtulał się w moje ciało na styku z materacem, musiałam się więc budzić, żeby go odepchnąć.

O czym rozmawialiśmy? Niestety, nie pamiętam. Kiedy mieliśmy naście lat, pisywaliśmy do siebie kapitalne, „prześmieszne” listy, latem, kiedy on się wybrał do Gaeltacht albo kiedy ja wyjechałam na wymianę do Francji.

„Na razie – pisał z Gweedore, kiedy miał czternaście lat – drętwieją nam tyłki od siedzenia na plaży i niepicia, bo wódka, lub raczej «bhodhca», jak ją tu nazywają, jest zabroniona. Billy’ego Tobina odesłali do domu za to, że mówił po angielsku, dlatego nauczyłem się rozmawiać z Michaeliem po angielsku, żeby brzmiało, jakbyśmy mówili po irlandzku. To wielka frajda, mało kto rozumie. Móhwie ci, sama kieuheđyż spróbujm”.

Zawsze najwięcej mówił, ale mnie to wcale nie przeszkadzało. Szkoda, że nie potrafię odtworzyć dokładnie jego słów. Nigdy nie siadaliśmy naprzeciwko siebie na krzesłach, ani w domu, ani w restauracji, ani w barze. Rozmawialiśmy jak brat z siostrą, patrząc w bok, albo siedzieliśmy obok siebie na podłodze, paliliśmy, oparci plecami o ścianę, i rozmawialiśmy od niechcienia, obserwując przechodniów, myśląc o innych sprawach. Rozmawialiśmy też dużo po ciemku, w innych pozycjach: obok siebie na podwójnym łóżku u Ady, na waleta raz czy dwa w domu albo prostopadle do siebie w obskurnej norze w Stoke Newington, gdzie w kącie stykały się dwa łóżka. Zawsze widziałam tę samą żółtą poświatę wokół jego ust, kiedy papieros skwierczał i błyszczał – a potem czerwony punkcik leciał łukiem, jakby wyrzucony. Trochę mi się robiło niedobrze, kiedy musiałam stale czatować, żeby go złapać, a jednocześnie trwać w bezruchu. Panicznie boję się ognia. Tamtego lata czasem przegadywaliśmy całe noce, do wschodu słońca – chociaż nie mam pojęcia, o czym. Wprowadziłam do naszych nocnych nasiadówek temat „Joan Armatrading”, ale chyba Nigdy o niej nie rozmawialiśmy. Najprawdopodobniej gadaliśmy o rodzinie, chociaż do tego również potrzeba odosobnienia. No to o czym – o mechanice kwantowej?

Rozmawialiśmy chyba o wszystkim i o niczym, a kiedy taszczyłam walizkę po schodach w Stoke Newington, wiedziałam, że już nigdy nie będę tak rozprawiała o wszystkim i o niczym.

To było moje drugie lato w Londynie. Liam właśnie przegapił końcowe egzaminy, a ja zarabiałam na swój ostatni rok, kokietując w pubie Elephant and Castle. On znalazł sobie lokum w trzypiętrowym domu z suteroną, który właściwie nie należał do nikogo. W salonie unosił się nieziemski fetor, mieszanina PCV, moczu i sardynek; w końcu dotarł do gniazdek, które iskrzyły i wysadzały wszystko, co się do nich włączyło. Czarne smugi dymu brudziły biały plastik, a kiedy się klękało na dywanie, żeby im się przyjrzeć i je powąchać, na kolanach zostawały mokre owalne plamy. Nie pamiętam, jakie tam były posłania, na których, we wszystkich pokojach, lokatorzy uprawiali seks nędzarzy, a potem zostawały tylko ciała porzucone w malowniczych pozach na falach i zmarszczkach przyszarzałej pościeli. Byliśmy młodzi, chyba więc byliśmy też piękni, chociaż pewna biedna dziewczyna w ażurowych rękawiczkach drażniła wszystkich, a Australijczyk albo musiał zrzucić opaleniznę, albo zamknąć się czy wynosić. Dziś pamiętam ich jako niezwykle pięknych ludzi, pamiętam, jak chodziły jej w dół i w górę twarde, drobnokościste białe ramiona, kiedy zaciągała się gitanami: jego zaś rozebranego do pasa w kuchni, z brudną biegnącą przez środek torsu, która kończyła się na pępku, zanim się ściągnął, w burzy blond włosów, wesołe, australijskie spodenki. To byli oczywiście amatorzy, turyści tacy jak ja, nie wpadali w drżączkę, nie jęczeli, nie boksowali, nie wyrzucali paczek trawy przez okno w środku nocy, bo na chwilę zapomnieli, gdzie są. W suterenie mieszkał diler, ale w domu nie było zbyt wiele towaru, a może po prostu nikt mi nie proponował – widocznie już wtedy coś w moich pszenicznych włosach i szczupłej twarzy wskazywało na to, że nie należę do ich paczki. Nikt też nie próbował mnie wyhaczać, ale któreś nocy poszłam z Australijczykiem, tylko dlatego, że nadarzyła się okazja.

Czasem wspominam tamten nasz epizod – kiedy na przykład decyduję się spróbować to z kimś zrobić – tak jak się wspomina scenę z filmu, ciała ruszające się razem w popołudniowym świetle, ręce i nogi powyginane w leniwych pozach, łuki wysuniętych języków. I chociaż z całą pewnością robiliśmy to po ciemku, po kiepskim winie przy świecach w zarośniętym ogrodzie za domem, już wtedy coś w tej całej sytuacji świadczyło o tym, że oglądaliśmy tę scenę niemal wyłącznie z zewnątrz; moje młode ciało, jego młode ciało, wszystkie ruchy i pozycje, a nad nami czyhało moje spojrzenie, może nawet jego spojrzenie lub oba splecione razem. Tworzyliśmy piękny obrazek, czysta pornografia, a przy tym nad wyraz przyjacielski, zupełnie jak gdybyśmy tańczyli, a ja nie czułam nic więcej niż tancerka, może z wyjątkiem drobnego ukłucia, kiedy przylgnęłam do Australijczyka, w przeświadczeniu, że powinniśmy zadbać, aby ta scena – ze wszystkimi jej starannymi wariacjami – jakiś czas potrwała.

Rozstaliśmy się z uśmiechem, serdecznym jak uścisk dłoni, a potem wróciłam do swojego łóżka i się położyłam. To poczucie zostało we mnie przez dzień, może dwa: wolność i chaos pieprzenia się z każdym, kto mi wpadnie w oko, klarowna sytuacja – aż nagle powaliła mnie zatykająca dech w piersiach miłość do Australijczyka, leżałam więc tylko, zasłuchana w dom, w przemierzające go kroki, głosy i szepty; próbując w ich wznoszeniu się i opadaniu wyłowić jego świergot. Zrozumiałam też, że wcale go nie kocham, ale jestem skazana dożywotnio na takie wydumane porywy, że będę musiała pokochać każdego mężczyznę, z którym pójdę do łóżka, by nie znieawidzić siebie. Plugastwo tego domu nagle stało się nie do zniesienia, wilgoć i pleśń, kłótnie o ukradzione płatki śniadaniowe, leniwy dystans między Liamem a dziewczyną w ażurowych rękawiczkach, odgłos niejasnych katuszy dochodzący z sąsiedniego pokoju i diler w suterenie, któremu dziewczyny stawiały laskę, jak w jednoosobowym burdelu, a następną dziewczyna w dygotkach zawsze stała pod drzwiami na schodach.

Mimo to leżałam w barłogu niczyjej pościeli i czekałam, aż zapuka do mnie Australijczyk albo zmieni się pogoda; czekałam, aż moje życie wrzuci wysoki bieg, żeby mogło pomknąć naprzód. Teraz wierzę, że mogłam się wtedy zagubić – co nie znaczy, że dzisiaj się tak naprawdę odnalazłam, ale uważam, że gdybym wtedy utknęła w miejscu, zgubiłabym się w jeszcze bardziej katastrofalny sposób.

Pokój oficjalnie należał do Liama, dlatego w ciągu tych kilku dni, kiedy nie jadłam i nie mogłam myśleć, a tylko chodziłam po nocy; patrzyłam na niewiele rzeczy, w tym na jego łóżko, stojące pod kątem prostym do mojego; poźółkły wełniany koc z szerokim różowym pasem. Liam zawsze dziwnym trafem przebywał gdzie indziej: mógł to być skutek naszych pobytów u Ady, że jeśli nawet tworzył dom, to zaraz z niego wyjeżdżał. Nie wiem, czemu mi to nie przeszkadzało: zazdrościłam mu oczywiście wolności, ale chyba już wtedy rozumiałam, że zawsze przenosi się do mniej interesującego lub wręcz koszmarniejszego miejsca. Albo doskwierała mu nuda, albo rozpad; już wtedy był za mało wyrazisty i zbyt nerwowy, żeby uczynić siebie przedmiotem tragedii.

Chciałabym powiedzieć, że w odwiecznej klasyfikacji grup społecznych – byłam za bardzo mieszczańska jak na Stoke Newington – ale to nie do końca prawda. Nie. Zamykałam oczy, żeby nie widzieć pokoju, miałam nadzieję, że zniknie, i tyle: kasztanowe girlandy kołyszące się na tapecie, małe turkusowe cokoły, nagi parkiet z kawałkiem szorstkiego dywanu. Chciałam, żeby pokój zniknął albo został ogołocony, żeby dom opustoszał, jego mieszkańcy umarli, a piękny, nudny Australijczyk (czyli „Greg”, bo tak miał na imię) w proch się obrócił. Chciałam, żeby Liam wstał ze sterty koców i powiedział:

– Chryste, Vee, skoczmy na kawę. Wróćmy do domu.

Chociaż wiedziałam, że Liam już nigdy nie wróci do domu ani do tego łóżka, ani do łóżka w Griffith Way, ani do żadnego innego, które sam sobie pościelił, wzburzywszy poduszki i wywinąwszy prześcieradło pod kocem.

Z ludźmi również wojował – co tutaj, w Stoke Newington, zdenerwowało mnie po raz pierwszy. Wynikł problem z czynszem – Liam twierdził, że wsunął kopertę pod drzwiami, białą, długą kopertę, z nazwiskiem faceta wypisanym czerwonym długopisem. Kiedy Liam wdawał się w szczegóły, poznawałam, że kłamie, bo próbował przy tym przekonywać siebie; dosłownie miał ten długopis w oczach, pamiętał, jak nim pisał, raz nawet przypomniał sobie, że był czerwony. Te bezcelowe spory przyniosły tylko dalsze afery i skamlenia: o czwartej nad ranem lub drugiej po południu Liam wylatywał przez te lub inne drzwi, ścigany krzykiem:

– Kurwa mać! Oszalałeś?

Ale ze mną nigdy się nie kłócił. Byłam jego siostrą. Trzymałam jego stronę.

Uważał jednak, że mój Australijczyk jest prymitywny, co zresztą sama zrozumiałam, kiedy leżałam nieruchomo w naszym wspólnym pokoju przez trzy dni, które wywietrzały mi z głowy, aż w końcu wstałam, spakowałam się i wytaszczyłam swoją walizkę po schodach.

Mówię, że przez trzy dni nie opuszczałam pokoju, ale przecież musiałam się czasem napić albo wyjść do toalety. Drzwi w tamtym domu nastęrczały pewien kłopot, bo ludzie zawsze wstawiali do nich zamki, a potem ktoś wyłamywał je z impetem, dlatego widzę teraz oczyma duszy drzwi do naszego pokoju, też trochę rozchwiane, i właśnie ta szpara budziła mój niepokój, kiedy leżałam w łóżku, bo gdy otwierałam oczy, wcale nie znikiała.

Zostawiłam Liama z tą szparą w drzwiach i z tym, co znajdowało się za nią. Nuda i groza; śmierć, ta gwałciicielka, która nadciąga, obchodzi dom i nie mówi, po kogo przysłała, dopóki go nie zabierze. Niestety, nie pamiętam, co kazało mi wstać, wrzucić moje manatki do walizki i wyjść: wydaje mi się, że daleki trel ptaka; poczucie, że ktoś wzywa mnie do domu, ale mógł wołać tylko Liam, a nie było go w zasięgu wzroku.

Była to twarda granatowa walizka, zaokrąglona na rogach. Należała do Deirdre Moloney, mojej koleżanki ze studiów, którą matka wyrzuciła z domu trzy miesiące przed egzaminami końcowymi. Miała wtedy jeszcze bardzo dziecinne podejście do życia, kiedy łatwo oddać komuś takie rzeczy jak walizka czy sportowe buty. Zniosłam więc, objając po schodach, walizkę stewardesy z taką zawartością, jakbym sama była stewardesą; pełną brudnych ubrań i na wpół wyciśniętych tubek spermobójczego żelu; a w środku tkwiła i cicho chłupotała niewielka, prawie pusta butelka dżinu.

Łup, łup, łubudu, łup.

Liam był w jakimś innym domu, podobnym do tego lub gorszym, i wcale nie uprawiał tak znów dużo seksu ani nie używał narkotyków, ani nie prowadził długich, poważnych rozmów. Po prostu był facetem, który się zalaął i nie chce się wynieść. Był facetem, na którym nie można polegać, kawalarzem.

– Mick – mówili na niego. – Oj, Mick! A rastamani wołali za nim cicho:

– Halo, Irlandczyk!

Marzyłam o prysznicu. Marzyłam o tym, żeby zostać kobietą. Marzyłam o seksie, który będzie coś znaczył. Marzyłam o piątce na dyplomie ze sztuk plastycznych. Uważałam, że istnieje droga – naprawdę uważałam, iż musi istnieć taka droga – i Liam z niej zszedł, a ja tym razem już nie zamierzam go tam gdzieś szukać.

Wtedy nie pierwszy raz zostawiłam brata i, jak się okazało, nie ostatni. W późniejszych latach, kiedy pił, zostawiałam go za każdym jego przyjazdem. Ale nawet zanim się rozpił, zdarzało mi się postawić oczy w ślup i po prostu odejść.

Liam nie miewał dużych kłopotów. Zawsze dręczyło go sto błahostek. Miał papierosy, ale nie miał zapalek. Czy może ja mam zapalki? Tak, ale zapalka się złamała, nie zapaliła, nie będzie używał tych tanich albańskich badziejnych zapalek. Szlag by trafił, wysypały mu się zapalki. Czy mam może zapalniczkę? Idzie szukać zapalniczki, przetrząsa wszystkie szuflady w kuchni. Wychodzi, zostawia drzwi kuchenne otwarte. Wraca frontowymi po dwudziestu minutach z zapalniczką znaną na ulicy – leżała dosłownie przed domem – tyle że jest mokra. Zapala kuchenkę, następnie odpala papierosa od płomienia, przy czym parzy się w rękę, trzyma ją jakiś czas pod kranem, myszkuje w szafce w poszukiwaniu folii aluminiowej i wkłada zapalniczkę – tanią plastikową jednorazówkę – do kuchenki, a kiedy uderzam w krzyk, wrzeszczy na mnie, wdajemy się w szamotaninę. Potem boczmy się na siebie przez godzinę, bo mu nie wierzę, że osuszy zapalniczkę w kuchence i nie spali przy tym całego domu. Po dąsach następuje Dyskusja.

Liam jest mądry. Nie, Liam jest martwy.

Powinłam powiedzieć, że Liam był mądry.

Mniejsza z tym. Jak na kogoś, kto na ogół idiotycznie błędził we własnym życiu, mój brat był nad wyraz bystry. A był bystry w kwestii życia innych ludzi, ich słabości i nadziei, ich małych kłamstw, kiedy wmawiają sobie, po co w ogóle mają wstawać z łóżka. Do tego właśnie miał ogromny talent – do obnażania kłamstw.

Po kielichu stawał się złośliwy, ale przysięgam, że nawet na trzeźwo potrafił zwietrzyć, co się dzieje w pokoju. Po śmierci ojca Toma wciąż tylko rozprawiał o gniciu. Widziałam, jak Tom patrzy na Liama pustym wzrokiem, który mamrotał o tym, jak długo teraz rozkładają się zwłoki, bo wszyscy są nafaszerowani konserwantami i wszelkimi E-środkami. Chyba mu nawet nie powiedziałam, że mój teść umarł, po prostu uczeplił się tego tematu. Liam potrafił wstrząsać do głębi, ale trudno powiedzieć, czym tak wszystkich irytował.

– Ale o co mu chodziło? – dopytywał Tom po jego wyjściu, udając, że nie zrozumiał ani słowa, bo Liam umiał zaleźć człowiekowi podstępnie za skórę. Nie sądzę, że mógł to kontrolować. To było jak zaraza, miał po prostu zaraźliwy umysł.

No i wystarczyło, że wypił kilka kolejek.

– Kłyciny kończyste – rzucał szyderczym tonem w czystej atmosferze naszego salonu, po czym opowiadał z wielkim rozbawieniem, jak wytropił z kolegami ich szczególny szczep, śledząc łańcuch zdrad w szpitalu Hampstead Royal Free. – Nazwaliśmy je kurzajkami – wyjaśniał, po czym sypał anegdotami na temat pokoju kwarantanny i wstrząśniętych żon konsultantów. Również opowieści o pacjentkach gwałconych w sypialni i o budzących się ze spermą we włosach, hej! Liam, jak ty wszystkich podniecasz, fajnie, że tu jesteś!

Na trzeźwo spóźniał się na autobus, przegapiał przesiadki, gubił rzeczy albo je kradł. Chociaż właściwie nie kradł – miał problem intelektualny, bo nie potrafił zrozumieć, dlaczego ktoś coś ma, a on nie, i nie widział innego rozwiązania, jak tylko to podwędzić, choćby najmniejszy drobiazg. Czasem pieniądze, zwłaszcza ode mnie, i chyba też od Kitty, chociaż nigdy o tym nie wspominałyśmy, ale też różne dziwne przedmioty. W roku 1989 zabrał mi telefon wiszący na ścianie w kuchni, chociaż – a może właśnie dlatego – mieszkalam w wynajętym mieszkaniu. Inna sprawa, że to było wyjątkowo głupie, bo irlandzkie telefony nie działały w systemie telekomunikacji brytyjskiej. Liam oczywiście „znał kogoś”, kto umiał telefon przerobić, no więc ten cholerny aparat ze sterczącymi drutami leżał Bóg wie jak długo w jego sypialni. Wiem tylko, że kiedy dzwoniłam do niego przez następne pół roku, nikt nie podnosił słuchawki, irlandzkiej, brytyjskiej czy jakiegokolwiek innej. Wiem też, że mi ją podwędził, bo czuł, że na jakiś czas zniknie, a chciał mieć wtedy przy sobie coś swojego. Nie chciał zrywać połączenia.

No więc ja zostawiłam jego, a on mnie. Co innego ma zrobić rodzeństwo? Po raz pierwszy stało się to, kiedy zaczęliśmy uczęszczać do szkoły St Dympna w Broadstone. On wchodził jednymi drzwiami, ja drugimi, i chociaż w mocy spaliśmy w jednym łóżku, za dnia on był chłopcem, a ja dziewczynką, i nikt nie mógł nas przyłapać na wspólnej rozmowie na szkolnym podwórku. Czyja to była wina? To był 1967, rok, w którym przerosłam Liama, a on już nigdy potem mnie nie dogonił. W Broadstone nic się właściwie nie wydarzyło poza wielką przygodą na dworcu autobusowym. Szlajaliśmy się po mieście; dwoje małych dzieci – jedno o kruczoczarnych włosach i lodowato błękitnych oczach oraz drugie chude z pszenicznymi włosami, czyli ja. Pamiętam, że wtedy mierzyły mnie moje włosy, przetłuszczające się strąki. Miałam też inne oznaki dojrzewania. Wetknęłam głowę do zlewu na górze, żeby się przekonać, jak by to wyglądało, gdybym targnęła się na życie, albo zeszyłam sobie opuszki palców igłą Ady, kiedy Liam bawił się jej papierosami. Chociaż wydaje mi się, że to się zdarzyło później, tej zadziwiającej wiosny, kiedy wciąż nie wracaliśmy od babci do domu.

Mieliśmy spędzić u niej tylko wakacje. Pewnego dnia cała droga była pełna dzieci, a nazajutrz wszystkie znikły i wtedy zrozumieliśmy, ja, Liam i Kitty, że szkoła rozpoczęła się bez nas. Zostawiono nas na pastwę losu. Snuliśmy się ulicami wśród spowitych ciszą domów. Mogliśmy iść, dokąd nas nogi poniosą. Woleliśmy jednak wrócić do babci i trochę u niej posiedzieć.

Czasem toczono rozmowy, co z nami począć. Ada wspomniała o nas sąsiadce na ganku:

– Masz może kogoś w St Dympna?

W końcu Kitty i ja podreptałyśmy za nią do zakonnicy, która znalazła dla nas miejsce; siostra Benedykta, krewka czarnooka kobieta, całowała nas siarczyście i przytulała nasze policzki do swojego brzucha, głaskała nas i rozmawiała z Adą, a myśmy słuchały jej buczonego głosu i niesamowitego łomotu serca.

Kiedy patrzę za siebie, widzę, że miałam obsesję na punkcie jej różańca zwisającego do podłogi i palców rozcapierzonych w mnisich sandałach pod habitem.

Odepchnęła mnie, uklękła przede mną i ujęła wielkimi dłońmi moją głowę. Zakryła mi uszy, dlatego tylko w echu jej ciała usłyszałam, że jestem śliczną dziewczynką i w szkole są bardzo, ale to bardzo radzi, że do niej trafiłam. Poinformowała mnie, że weźmie mnie do swojej klasy i że zostanę żołnierzkiem Pana Boga. Tak zapamiętałam chwile spędzone z Benedykta, jako czas marszu obok rzędu ławek: Pan Jezus tkwił w naszych sercach, Matka Boska spoglądała przez ramię, z boku zaś kroczył Anioł Stróż; Pan Bóg patrzył prosto na dół, a Duch Święty, pikując na nas, bombardował nam przedziałki we włosach, gdzie wybuchał niegroźnym płomykiem. Tylko nigdzie nie było miejsca dla diabła, mrocznego cienia za lewym ramieniem, tuż poza zasięgiem wzroku.

W Benedykcie najbardziej podobało mi się jej imię. Twierdziła, że wybrała je na cześć mnicha, którego na pustyni kruk nakarmił i ocalił od zatrucia, bo kiedy była mała, w chlebie znajdowała szarą pleśń i robaki. Szkoła nosiła imię Dympny, prastarej irlandzkiej księżniczki, która nie chciała poślubić ojca. Kiedy umarła królowa matka, ojciec Dympny szukał po całym królestwie odpowiedniej kandydatki na żonę, ale na próżno. I wtedy oczy mu rozbłyły do rodzonej córki. Dympna uciekła ze spowiednikiem ojca aż do Belgii, gdzie król ojciec ją złapał i odrąbał jej głowę. Cóż za urzekająca historia. Święta Dympna jest patronką obłąkanych, jak dowiedziałam się od siostry Benedykty, bo jej ojciec musiał być obłąkany, skoro chciał się z nią żenić. Jakżeby inaczej. Moje imię, Veronica – które zawsze uważałam za okropne, bo kojarzyło mi się z maścią albo z chorobą – należało do jej ulubionych. Święta Weronika otarła twarz Jezusowi w drodze na Kalwarię, i ta twarz odbiła się na jej chuście. A właściwie obraz jego twarzy. Tak powstała pierwsza fotografia, jak mówiła siostra Benedykta.

Bardzo polubiłam Weronikę; wystąpiła naprzód z tłumu, delikatna kobieta w błagalnej pozie. Po dziś dzień myślę o niej, kiedy w chińskiej restauracji albo w samolocie tradycyjnych linii lotniczych podają mi wilgotny ręcznik do twarzy. Zatraciliśmy sztukę publicznego okazywania czułości, owe drobne gesty wycierania i mycia; zapomnieliśmy, z jaką niechęcią ciało przyjmuje oficjalny dotyk. Wiedziałam, że mój los musi jakoś wiązać się z losem Weroniki. Może zostanę fotografką. A może nadejdzie chwila, kiedy ja też wyjdę z tłumu, a potem do niego wrócę – i nic więcej. Myślałam, że gdy dorosnę, mogłabym zajmować się wycieraniem różnych rzeczy: krwi, łez i tym podobnych.

Weronika myliła mi się z cierpiącą na upływ krwi kobietą z Ewangelii, o którą Jezus spytał: – Kto mnie dotknął – a ta znów z kobietą, której powiedział zaraz po zmartwychwstaniu: *Noli me tangere*. – Nie dotykaj mnie.

Dlaczego?

Dlaczego miałyby Go nie dotykać? Tomasz Go dotykał, Tomasz poprosił, żeby włożył ręce w Jego rany. Kiedy miałam osiem lat, te sprawy bardzo mnie zajmowały.

Przez jakiś czas rozdrapywałam własne rany i strupy i za każdym razem zdumiewała mnie jaskrawa czerwień na białym papierze toaletowym, którego używałam zamiast serwetek Ady. Dzieci nie rozumieją bólu; eksperymentują z nim, ale można śmiało powiedzieć, że go nie czują albo nie wiedzą, jak go odczuwać, dopóki nie dorosną. A nawet wtedy zawsze chyba uważamy ból za coś złego. W każdym razie ja tak uważałam.

Nie jestem Weroniką. Chociaż w swoim czasie też się nawycierałam i chociaż bliscy mi są ludzie cierpiący, a ściślej cierpiący mężczyźni, mój cierpiący mąż, cierpiący brat, cierpiący pan Nugent. Niestety to prawda, że szczęśliwi mężczyźni mnie nie pociągają.

Pamiętam pewien senny dzień spędzony przy koszyku z przyborami do szycia, kiedy próbowałam akupunktury na udzie, sprawdzałam, jak głęboko wejdzie igła, i przebiłam się przez warstwę tłuszczu i mięśni do chrząstki albo do kości – może do ścięgna – nie muszę wiedzieć, co gdzie wchodzi. Nie interesują mnie lekarze ani odłamki, ani chrząstki – proszę, ja chcę dostać narkozę, zanim coś się stanie; pamiętam też noc z Michaeliem Weissem, który haratał mi wewnątrz ud, i to długopisem, a następnie przejechał po tych nieszkodliwych niebieskich kreskach nożem kuchennym. Pamiętam, jaki poczułam wówczas chłód.

A po chwili.

Po chwili znów wsączył się we mnie daleki świat, który zebrał się na brzegach w gęstych, czerwonych kropkach; wezbrał i wypełnił powstałą szczelinę, po czym przelał się powoli przez krawędź ciała jedną nabrzmiałą, rozkoszną kroplą. Spłynął we mnie krwią cały świat, który najpierw składał się z Michaela Weissa, a w każdym razie z jego głosu mówiącego: „Może być, może być tak, może być, do cholery, przestała?”. Co za ohyda. Skrajna, niewysłowiona ohyda. „Teraz jesteś z siebie zadowolona?” Dobry, uprzejmy, ludzki Michael Weiss.

Beż, kremowy, piaskowiec, popielaty.

Tu nie ma krwi. W tym domu nie ma krwi. Można by rzec, że jestem marginalnie zainteresowana. Jestem marginalnie zainteresowana zakrwawioną twarzą Jezusa i kobietą, która być może istniała, ale z pewnością nie miała na imię Weronika, a kiedy wytarła mu krew, wraz z nią ujęła mu trochę bólu.

Nie chodzę teraz do kościoła i nie przekazałam właściwie wiary swoim dzieciom, chociaż Rebecca przechodzi właśnie fazę pobożności, chyba mnie na złość. Obie córki są zaskakująco wysokie jak na swój wiek. I zaskakująco prawdziwe. To jasne, że rodzone dzieci zawsze są dla nas prawdziwe, bo przebywają z nami od początku, ale nawet obce dzieci w wieku ośmiu lat wyglądają na skończonych ludzi, a moja ośmiolatka, jak gdyby zdawała sobie z tego sprawę, zwraca swoją nową, w pełni uczłowieczoną twarz do Boga.

Liam lubił świętą Katarzynę ze Sieny, goicielkę ran. Lubiał również troje świętych o dziwnych imionach, których powieszono do góry nogami i wlewano im do nosów mleko z musztardą, co ich najwyraźniej zabiło. Jeśli pamiętam, Kitty wcale to nie przeszkadzało.

20

Pisząc te słowa, wyglądam przez okno i widzę trupa, który siedzi w saabie przed bramą. Zawsze tam tkwi (i zawsze to mężczyzna) skulona postać na przednim siedzeniu, która po bliższych oględzinach okazuje się oparciem z regulowanym zagłówkiem. Mimo że to wiem, coś mnie ciągnie do tej nalanej twarzy bez wyrazu, zastanawiam się, skąd ma tyle cierpliwości. Wlepia wzrok w deskę rozdzielczą, jakby słuchał radia, i nie chce wejść do domu. Oznaka samotności u mężczyzn i ich uporu. Ten mój samochodowy trup, fantom wypadkowy z siedzenia kierowcy nie wejdzie do domu. Musi do końca wysłuchać wyników meczy futbolowych.

Właściwie nie zależy mi, żeby wszedł i nie cieszy mnie widok tego człowieka, który zawsze siedzi w moim samochodzie, dając jawny dowód cierpliwości i wytrzymałości. A także przypomnienia, że ludzie nie przejmują się sobą – lub może nie do końca się przejmują – i w życiu najbardziej liczy się sport.

Mogę zostać tu z nim albo pójść na górę i położyć się spać obok męża.

Cała noc to mnóstwo czasu.

Jestem w skrajnej depresji. Wpadłam w nią niedługo, chyba tydzień, po pogrzebie, kiedy Tom próbował mnie przywrócić do życia, kładąc się obok, całując mnie i głaszcząc. Ale już mi przeszło – zapomniałam. Wróciłam do codzienności: wożę dzieci do szkoły, odkurzam, wydzwaniam do innych matek w różnych matczynych sprawach, takich jak umawianie dzieci na zabawę i dowiadywanie się, gdzie kupić buty do tańca irlandzkiego dla Rebecki. Wszystko było smutne, lecz piękne – dobre jedzenie, świeże powietrze, kilka kieliszków wina za dużo i do łóżka. No i wtedy zaczyna się – pobudka o czwartej nad ranem. Podkrada się do mnie. Budzę się z wolna, ogarniają mnie ciarki, chce mi się wyć. Dlaczego? Tom sypia z kimś i n n y m. Nie, to nie jest pobudka o czwartej. Pobudka o czwartej jest czymś znacznie starszym i straszliwszym.

Nie czuję ciężaru ciała na łóżku. Nie czuję zarysu własnej skóry na prześcieradle. Zsuwam się kilka centymetrów z materaca; nie wierzę w siebie – w to, jak oddycham albo jak się przekręcam – nie wierzę też w Toma, który leży obok: nie wierzę, że żyje (czasem po przebudzeniu znajduję go martwego, ale zaraz budzę się jeszcze raz). Nie wierzę też w jego miłość do mnie. Ani we wzajemność naszych wspomnień. Czyli on leży obok, osobno, a ja tracę wiarę. Śpi na plecach. A pewnego ranka – tak – o czwartej nad ranem po przebudzeniu widzę sine obrzmienie na jego wyciągniętym ciele; fioletowy członek na granicy rozkładu. Tom leży rozwalony na plecach, śpi jak umarły święty lub jak dziecko. W każdym razie śpi pięknie, z dłońmi zwróconymi ku niebu, leżącymi swobodnie po bokach i z wysiłonym uśmiechem w kącikach oczu, jak gdyby to, co widzi środkiem ślepego czoła, przedstawiało tak przekonujący, a zarazem piękny i ulotny widok. Przyglądam mu się przez chwilę – cóż to za idiotyczna, doprawdy idiotyczna myśl po przebudzeniu – ale nie mogę sprawdzić, czy prawdą jest to, co wyśniłam o ciele śpiącego męża; kutas tak fioletowy i zwarty, że aż mu cięży. Tom leży, wciśnięty w materac, jak gdyby podtrzymywał ten swój nieznośny dodatek, przyczepiony do niego, a jednocześnie odsuwający się we śnie pod jego ciężarem. Śpi bezradny, a przy tym pełen przyjemnych myśli.

Znów się odwracam, ściągam na siebie koc, tymczasem to coś, co pieprzy przez sen mój mąż, z wolna się rozmywa. Tym czymś mogę być ja.

A może nie ja. Może to być Marilyn Monroe – żywa lub martwa. Może to być gładka, plastikowa lala lub koleżanka z pracy, a może dziecko – nawet jego rodzona córka, bo czemu nie? Są faceci zdolni zrobić wszystko przez sen, a ja nie mam pojęcia, co powstrzymuje ich na jawie. Nie wiem, gdzie wytyczają granicę.

Oto kolejna scena. Rozgrywa się dużo później w domu Ady w Broadstone. Minęło wiele lat. Jest to scena, w której Ada chce pocieszyć Nugenta, bo nie układa mu się w życiu najlepiej. Układa mu się wręcz bardzo źle i chociaż nie pada na ten temat ani jedno słowo, Ada poznaje to po zapachu, jaki od niego bije, i po napiętych ramionach mimo sflaczałej sylwetki; wie, że starość ze wszystkimi jej rozczarowaniami nie odpowiada Nugentowi.

Nie jest zresztą pewna, czy jej też odpowiada.

Kiedy podaje mu herbatę, filiżanka nieoczekiwanie chybcze się na spodku. Nugent odbierają z rąk Ady i odstawia. Ciasteczka są, zważywszy na okoliczności, nieco zbyt ostentacyjne. Posypane po różowej piance białymi puszystymi wiórkami kokosowymi są trochę nietrafione. Ada wie, że Nugent jest smutny, ale może się zdobyć na współczucie. Lamb Nugent ma żonę Kathleen i czworo zdrowych dzieci. Nie powinien narzekać. Domaga się czegoś, czego Ada właśnie odmawia, mianowicie żeby uwierzyła w jego smutek, zwyczajny smutek człowieka żonatego z kobietą, którą nie bardzo kocha, i obarczonego czwórką dzieci, których nie rozumie. Typowy smutek mężczyzn, kiedy odkrywają, że niczego nie dokonali i niczego już nie dokonają. Chce, żeby okazała mu litość, bo ma całkiem przyjemne życie, które do niego nie należy. A on jest duchem we własnym domu, patrzącym na żonę, która go irytuje i czworo dzieci, które wyciskają z niego ostatnie soki. Siedzi tam z kobietą za starą na łóżko, strażniczką jego skarbów, która go nie pokocha, chociaż wie, że powinna.

A co w tym czasie porabia Charlie? Wychodzi, żeby spotkać się z kimś w sprawie psa.

Ada je więc ciastka sama, jedno po drugim, strzela oczami po pokoju, sprawdzając, czy wszystko leży na swoim miejscu, czy pogoda się poprawia, czy gazeta nadal leży złożona na poręczu fotela i czeka, aż ktoś zasiądzie do lektury. Ada ma czterdzieści siedem lat, Nugent pięćdziesiąt jeden. Jak na owe czasy oboje są już bardzo starzy.

Nugent siedzi w jej frontowym pokoju i krwawi. Nic dziwnego: Ada kruszy ciastko na talerzyk, wodzi po okruchach wilgotnym palcem i wkłada je do ust. Dlaczego uważa, że los pokarał go bardziej niż innych mężczyzn? On jednak twierdzi, że bardziej. Już ma dosyć Ady.

Ona mówi coś, czego on nie słyszy albo po prostu woli nie odpowiadać. W każdym razie następuje przerwa, jakby coś między nimi pękło, a Ada jako pani domu podnosi się, nie zastanawiając się, co jej wypada. Wstaje i zajmuje się tacą, po czym odwraca się do niego po odpowiedź na zadane pytanie: czy to o pokaz wiosenny, czy o plażę w Port Salon, a kiedy Nugent bezskutecznie próbuje mówić, Ada kładzie mu rękę na ramieniu.

To wszystko.

Kładzie mu dłoń na ramieniu, a on w pozie człowieka znającego ją dobrze od lat patrzy na nią i sięga ręką do jej biodra. Zastygają tak, po chwili Ada schyla się po tacę i wychodzi z pokoju.

Albo taca upada, a bluzka Ady rozchyła się pod palcami Nugenta i oboje na wpół pozostają na krześle, na wpół osuwają się na podłogę. Co on może czuć, widząc po tyłu latych jej ciało? Nie przywykli do nagości; nie mają w głowach całego wachlarza ludzkich ciał, jakie dzisiaj widuje się latem na plaży. Dlatego pierś, ku której sięgają usta pięćdziesięcioletnia, może być piękna albo nie, żadne z nich tego nie może wiedzieć. Niewielka sakiewka piersi Ady z twardym, sterczącym sutkiem – żadne z nich nie osądza jej pod kątem wieku ani estetyki, ani czegokolwiek, oboje wstrząśnięci, że sterowana ludzką ręką, trafiła pod światło. Taki wstrząs moglibyśmy przeżyć w wypadku samochodowym.

Późniejsze wydarzenia następują w wolnym tempie, bezwzględnie, nie po kolei, on opiera swą nagą intymność o jej nagą intymność, penis ociera się o jej – ale co? Nóg, krocze, brzuch? Czy ma na tyle sprytu, żeby doprowadzić ją do pozycji leżącej? Czy następuje chwila, jak: to w owych czasach bywało, decyzji albo prośby – bo tego wymagały technikalnia – czy też wszystko się po prostu zdarza? Ona już tylko leży, chociaż ani jej nie popychał, ani nie kładł, ani nie prosił, i już jest po wszystkim – Lamb Nugent gdzieś wyciekł, na zewnątrz albo do środka Ady Merriman. Doprowadzają do ładu ubrania, nie pada ani jedno słowo – czy to możliwe? – dlatego trudno im zapamiętać, co się właśnie między nimi wydarzyło, zawsze będzie im trudno powiedzieć, kto czego chciał albo kiedy się poruszył, pominawszy te krótkie migawki, kiedy rozglądają się na obie strony, zanim przejdą przez ulicę, albo zastygają, wkładając klucz do zamka; dalekie drżenia ręki i piersi, co czują, gdy usta lgną do ust i oczy, które się nie otwierają, kiedy dzienne światło gromkim krzykiem wstrzyma powtarzającą się sytuację, gdy oni przestępują próg albo schodzą z krawężnika.

Nugent musiał czuć rozkosz, że może tak myszkować; podciągnął jej pas do pończoch, zanim doszedł w jedwabistym wgłębieniu u szczytu nóg, wedle ówczesnych norm, naprawdę bardzo starych. Chciałabym jednak pozwolić im na więcej. Ada ma troje dzieci, Nugent czworo i chociaż oboje mogli znosić te cielesne przygody, jak gdyby przytrafiały się komuś innemu (jak zapewne niegdyś moja mama), chyba taka niewinność nie była ani w charakterze Ady, ani jego.

A zatem. Następuje zwrot w rozmowie. Nugent gra na zwłokę. Ada wstaje, żeby zakrzętnąć się przy tacy. Wyciąga rękę, żeby go pocieszyć, on kładzie swoją na jej biodrze i ich życie staje na rozstajach. Mogą pozostawić ręce dotykające siebie nawzajem lub je opuścić. Znów są młodzi; wracają do tej chwili w życiu, kiedy ciało drugiej osoby jest drogą, którą można wybrać, bez odwrotu.

Wiedzą również, że ta chwila dawno minęła – nie są już młodzi, jeśli więc zbliżenie przyjdzie tak późno, wcale nie niesie w sobie nieuchronności. Przed nimi nie tyle rozstaje dróg, ile mała odnoga. Mogą się zbliżyć i nic się nie stanie. Niczego to nie zmienia; ani przyszłości, ani przeszłości. Nugent nadal będzie kochał Adę lub jej pożądał, Ada zaś nadal będzie pożądała Charliego, czy go kocha, czy nie. Mając czterdzieści siedem lat musi odpowiedzieć sobie na trudne pytanie zadane, kiedy Nugent dotknął jej biodra: czy kiedykolwiek kochała kogokolwiek, swojego męża wagabundę, dzieci, siebie albo rodziców, których nigdy nie miała.

I co z tego wynika? Ada nie tyle kocha ludzi, ile karmi ich i dba o ich czystość, a to też jest forma miłości, ale on ją tego pozbawił. Ten mężczyzna z czworgiem zdrowych dzieci i bardzo miłą żoną zabrał jej domową miłość i uznał za ułomną, Ada zaś w pierwszej chwili nie widzi kłamstwa w tym, że wszystkie kobiety są bez serca, bo wszystkie są pożądane. W pierwszej chwili stoi tam i myśli, że to prawda (bo może i prawda), że nigdy nikogo nie kochała. Jest sama. Nie zostało jej nic do roboty.

Kiedy się ruszają, jest już po wszystkim. Miłość Ady została poddana osądowi i uznana za niepełną, podobnie jak miłość Nugenta, a także w ogóle miłość – oboje są co do tego zgodni. Nie ma więc ani krztyny pocieszenia w geście, kiedy ona zsuwa dłoń na kark zadumanego Nugenta ani gdy on pociąga ją na klęczki, a sam zsuwa się z niskiego fotela, żeby znaleźć się obok niej na podłodze, jest natomiast odrobina męczeństwa w tym, jak Ada odsuwa brodę, robiąc Nugentowi miejsce, żeby złożył głowę na jej ramieniu i wtulił twarz w jej szyję. Tak się ruszają, drżącymi przystankami i świadomymi posunięciami, po tej cielesnej szachownicy, aż ona jest całkiem gotowa, na podłodze własnego salonu, i czeka.

Chciałabym myśleć, że kiedy on w nią wszedł, wydarzyło się coś innego. Ale nie wiem co. Nagle poczuli do siebie miłość. Albo ból. Albo...

Miło spędzili czas.

Rozwłóczyli cały dom w tym swoim akcie: Pan Bóg rozbity na ruszcie, historia w strzępach, rozwieszona girlandami tak jak rajstopy Ady na pogrzebaczach.

Bukmacher pieprzy dziwkę (zapomniałam, że była dziwką), już więc zbliżamy się do prawdy, dochodzimy do prawdy – że mężczyzna jest ze swej istoty bukmacherem, a kobieta dziwką – napieramy celem poznania prawdy, tak jak Nugent napiera na Adę, jakże niegodziwą, jakże pożądaną tego co on. Ale czy to wystarczy? Czy aby dowieść swego, nie będzie musiał zdobyć się na coś więcej?

Mogę ich tu, na tej stronie, obracać do woli; mogę kazać im znosić wszelkie przedłużanie, rozkosz, beztroskę, upodlenie, oswobodzenie. Mogę ich wyginać i kazać im przybierać najbardziej gorszące pozycje, ale nie mam serca, bo jest coś banalnego w sytuacjach rozgrywających się za zamkniętymi drzwiami, w tych straszliwych transgresjach, które w końcu składają się tylko na seks.

Tylko seks.

Chętnie opuściłabym własne ciało. Może właśnie do tego sprowadzają się pytania o to, do której albo czyjej dziury, właściwe płyny na niewłaściwym miejscu, infantylny pomyłki i małe sadyzmy: pomagają nam się wyrwać z tego całego mięsa (wiecie, że chciałabym po prostu wypłynąć? – wystrzelić jak słowo z moich ust, machnąć ogonem i zniknąć), bo są granice, co i czym można pieprzyć; Nugent otwiera łono Ady niecnymi, kanciastymi palcami i szpera w jej zakamarkach, wiedziony ostrożnym pożądaniem, ujmuje piękne płatki jej cycków i pieści (– Och – wzdycha Ada, gdy uchodzi z niej powietrze), a potem mocno ścisną jej różowe cycki.

– Och.

Docieram do końca tego, co mogli robić, co mogli byli zrobić, i wszystko sprowadza się do jednego:

Ada sięga do ramienia Nugenta, a on, jak człowiek, który zna ją od lat, spogląda na nią i kładzie jej rękę na biodrze. Zastygają tak, a po chwili Ada schyla się po tacę, odwraca i wychodzi z pokoju.

Pewnych okoliczności śmierci Liama wołałabym nie znać. Przez całe życie zapominałam tyle rzeczy, a tych kilku drobnych szczegółów nie potrafię zapomnieć. Zapominałam o swoich dwudziestych pierwszych urodzinach, o osiemnastych zresztą też; co roku – z dwoma wyjątkami dwóch lat – zapominam o sylwestrze; zapominałam, jak mój nieżyjący brat wyglądał w wieku dziewięciu, dziesięciu lub dwunastu lat, ale nigdy nie zapomnę trzech błahych faktów przekazanych mi przez dobrych ludzi z Brighton, którzy wyciągnęli jego ciało z morza.

Po pierwsze, że w chwili śmierci Liam miał na sobie odblaskową, żółtą kamizelkę, jakie noszą robotnicy kolejowi lub rowerzyści.

Po wtóre, że miał kamienie w kieszeniach.

Po trzecie, że nie miał pod dżinsami majtek ani skarpetek, i tylko skórzane buty na bosych nogach.

Przybrzeżne fale w Brighton płyną szybko i sięgają daleko. Włożył kamizelkę, żeby było widać, jak pójdzie pod wodę, i żeby potem łatwo odnaleziono jego ciało. Liam, który nie potrafił zatroszczyć się o pudełko zapalek, w tej sytuacji zadbał o wszystko.

Kamienie tłumaczą się same przez się.

Brak majtek natomiast doprowadza mnie do łez. Liam nigdy nie był pozbierany, ale dbał o czystość, chociaż mieszkał w różnych norach, to zawsze z bieżącą wodą i zawsze wiedział, gdzie jest najbliższa pralnia. Używał staroświeckiego różowego mydła o pospolitym zapachu – nie mam pojęcia, jak się nazywa. Pamiętam, że stałam w supermarkecie i wahałam wszystkie mydła przez opakowanie, aż w końcu kupiłam mu jakieś bezwonne, którego nie chciał tknąć. Używał szamponu dziegciowego do włosów i płynu Listerine do płukania ust. Wszystko spryskiwał proszkiem antygrzybicznym i zawsze domagał się wilgotnych ściereczek przy sedesie. Czyścił sobie zęby nitką dentystyczną. Od jego antyperspirantu mogłaby się złuszczyć farba.

Najwidoczniej zdjął majtki, bo nie były czyste. Skarpetki też zdjął, dlatego że nie były czyste. Kiedy zimna woda zalała mu buty, zapewne naszły go oczyszczające myśli.

Pisząc o tych trzech rzeczach – kamizelce, kamieniach i nagości brata pod ubraniem, wiem, że powinnam ograniczyć się do faktów. Czas położyć kres niepewnym wersjom i snom na jawie. Czas uciąć wszelkie bajki i powiedzieć dobitnie, co się zdarzyło w domu Ady, kiedy ja miałam osiem lat, a Liam właśnie skończył dziewięć.

Ada zatem siedzi w dużym frontowym pokoju w Broadstone. Drzwi są pomalowane na biało błyszczącym, z lekka żółknącym lakierem. Wnętrze jest wytapetowane matowym różem. Stoi tam zdezelowana kanapa i dwa rozłożyste fotele, lecz Ada ułożyła fantazyjnie poduchy na ciemnych pokrowcach, a zamiast obrazów na ścianach powiesiła opatrzone autografami fotosy teatralne w ramkach. Okna wychodzą na ulicę, dlatego są w nich beżowe rolety i koronkowe firanki, a od sufitu po podłogę – teatralne czerwone kotary. Okno jest pierwszą rzeczą, jaką widzi się po wejściu, przyćmiewa wszystko inne, z wyjątkiem lustra nad kominkiem, w którym odbija się jasny kawałek pokoju. Drzwi otwierają się do wewnątrz, a znajdują się tuż obok drzwi na korytarz, trzeba więc wejść do środka, żeby zobaczyć, kto tam jest: Charlie śpiący na kanapie – czasem w piżamie – lub Ada czytająca w fotelu pod oknem, żeby mieć dobre światło, lub pan Nugent siedzący w piątce w drugim fotelu, lecz wtedy Ada ucieka przed nim do kuchni, gdzie wykłada ciasteczka na talerz.

Kilka tygodni wcześniej w ogóle do niego nie wyszła. Nigdy nie było wiadomo, gdzie ona się podziewa. Myśmy się nie trzymali babci, gdyż była ostra jak brzytwa i zawsze miała coś do roboty. Lubiała herbatę, a kiedy ją piła, można było gadać do niej jak do obrazu. Przez resztę dnia zawsze „jej zawadzaliśmy”, tak samo jak większość dzieci w owych czasach.

Dlatego dużo snułam się po pokojach, szukając czegoś lub czegoś unikając, trudno powiedzieć czego.

– Co ty tam robisz? – pytała Ada. – Co ty t a m robisz?

W domu wiało straszliwą nudą, z której nigdy nie potrafiłam się otrząsnąć. Czała się po kątach, na ścieżce do garażu, a także w ogródku za domem. Tego dnia doświadczyłam różnych jej odcieni na schodach, przy obiedzie, w holu, zanim, znudzona ponownie, postanowiłam zajrzeć do dużego pokoju.

Kiedy otworzyłam drzwi, zdumiał mnie osobliwy widok. Zupełnie jakby penis pana Nugenta, wystający mu z rozporka, zagadkowo się rozrósł i rozkwitł na czubku dużą, niezdarną sylwetką chłopca, a był nim mój brat Liam, który – jak wreszcie zobaczyłam dokładnie – nie był przedłużeniem członka tego człowieka klęczącym dziwnym zrządzeniem przed nim na ziemi, lecz wstrząśniętym (nic dziwnego, skoro otworzyłam drzwi) dziewięciolatkiem, członek natomiast okazał się nawet nie członkiem, lecz obnażonym przedramieniem chłopca, tworzącym cielesny pomost między nim a panem Nugentem. Rękę Liam trzymał zanurzoną w ubraniu, a pięść zaciśniętą na czymś, co się tam kryło. Nie byli jednym ciałem, połączonym od pachwin do ramienia, lecz dwoma znanymi mi osobami, panem Nugentem i Liamem.

Próbuję sobie przypomnieć, jaką miał wtedy minę, ale trudno sobie przypomnieć twarz własnego brata w dzieciństwie. I chociaż wiem, że to zdarzyło się naprawdę, nie wiem, czy widzę oczyma duszy właściwy obraz – dziwaczny wykwit na czubku penisa pana Nugenta, cielesny pomost łączący mężczyznę z chłopcem. Przeszkadza mi nadmiar żółtego światła, za dużo długich cieni. Pan Nugent odchyła się trochę do tyłu, ręce trzyma równo na kolanach. Być może pamięć mnie zawodzi, bo muszę się przebić przez straszliwe kłębowisko wspomnień. Poza tym obraz jest nie do wytrzymania. Pan Nugent siedzi rozparty w fotelu, z brodą wtuloną w szyję, na odchylonej głowie maluje się satysfakcja lub cierpienie. Wygląda jak stary farmer, któremu ktoś masuje stopy.

Nie wiem, dlaczego jego przyjemność miałaby być najstraszliwszą rzeczą dla mnie w tamtym pomieszczeniu. Z jej nastawieniem na siebie. Wywołuje grymas na twarzy jak u człowieka, któremu okropne pierdnięcie maszeruje przez trzewia, lub człowieka, który słyszy straszną, a mimo to śmieszoną wiadomość. Nie do wytrzymania jest ta walka malująca się na twarzy Lamba Nugenta, między brakiem aprobaty dla tej przyjemności a jej uleganiem.

Później zdarzało mi się sypiać z takimi mężczyznami – aż do ostatniej chwili nie zdradzają się z niczym, a potem skomlą, jak gdyby stało się coś strasznego. Ogarniająca ich przyjemność niemal przypomina zasadzkę. I oczywiście wywołują w nas wyrzuty sumienia. Jakby to wszystko była nasza wina.

Mówię, że sypiałam z „mężczyznami”, ale jest w tym odrobina przesady, bo chcę przez to powiedzieć, że kiedy śpię z Tomem, czasem tak się właśnie zachowuje, żąda na hamulcu, a nienawiść w natarciu, gdy pyta: „Co się tak przyglądasz?”. Albo gdy z dziwnym sarkazmem komentuje wobec kolegów przy obiedzie swój orgazm lub mój brak orgazmu, chociaż go mam – a przynajmniej tak mi się zdaje. I wtedy pojmuję, czego on chce, czego zawsze chciał, lecz czego nigdy mu nie dam, czyli mojego unicestwienia. Tak wygląda jego pożądanie. Graniczy niemal z nienawiścią. Czasem się w nią przeistacza.

– Co ci zrobiłam?! – wołam. – Tylko cię kocham. Co ja ci zrobiłam?

Ale on uważa to moje pytanie za zbyt głupie, żeby na nie odpowiadać.

Wiem, że nie wszyscy mężczyźni są tacy. Gdzieś w świecie sto tysięcy Michaelów Weissów odprowadza synów i córki na lekcje saksofonu lub fortepianu, żyje w aksamitnym amerykańskim filmie, w którym mężczyźni są mężczyznami i mają nieskomplikowane serca. Wiem, że tacy mężczyźni istnieją, nawet spotkałam ich na swojej drodze, tylko że nigdy bym się w takim nie zakochała.

Uwielbiam cierpiętników, a oni mnie. Uwielbiają widzieć mnie siedzącą na ich pięknych włoskich meblach i uwielbiają mnie widzieć we łzach.

Wiem, jakie to głupie. Uprawianie seksu nikogo nie zabija. Do zabijania potrzebny jest nóż, sznur, młotek, pistolet. Można kogoś udusić udami. Ale nie zabija się penisem. Już zrozumiałam, że cała ta sekwencja – nienawidzę cię, kocham, nienawidzę – to sen o zabijaniu i umieraniu; że kiedy odsuwacie się od siebie, żeby zasnąć, sen się kończy, by wrócić nazajutrz.

Należy również uwzględnić przyjemność chłopca. Wziąć pod uwagę, kogo nienawidził, kogo kochał. Aczkolwiek Liam w tym wspomnieniu lub obrazie miał typową dla siebie otwartą, bladą twarz, podkreślone czarne rzęsy nad tak rozszerzonymi oczami, że wyglądały, jakby były granatowe.

Był przerażony.

Zanim zrozumiałam tę scenę, pamiętam, co sobie pomyślałam: „Ach, czyli w tym cały sekret”. Tkwi w spodniach mężczyzny – tak się zachowuje, kiedy wpadnie w gniew; przybiera postać nieszczęśliwego dziecka.

Pamiętam, że było bardzo zimno. Nie zapomina się chłodu na wymagowanej skórze, która nie do końca współgra z naszą. Do dziś drzę na wspomnienie wilgotności w powietrzu owego dnia we frontowym pokoju Ady.

Unosi się też zapach maści antybakteryjnej germolene, który na zawsze pozostanie dla mnie zapachem zła.

Często przypominam sobie tamto spojrzenie Nugenta, kiedy zobaczył mnie w drzwiach. Ręka chłopca (bo na pewno się ruszała) zastyga, a Nugent odchyła się w tej trudnej przyjemności, chwilę zabiera mu zorientowanie się w sytuacji. W pierwszym momencie nakazuje ręce chłopca nie przerywać, wyobraża sobie, że rusza się raz i drugi, dopóki jego myśli nie potkną się o uporczywy zastój, a wówczas otwiera oczy i widzi, że tam stoję.

– Wynoś mi się stąd – mówi, a kiedy Liam wyjmuje nieszczęsną rękę z jego rozporoka, czuję, że zepsułam wszystkim zainteresowanym zabawę.

Pisząc te słowa, przerywam, zakrywam twarz i jak dziewczynka liżę sobie grubą skórę dłoni. Wdycham jej zapach. Dziwna ulga ciała. Z bycia sobą.

Widziałam wielki smutek w oczach Liama i wtedy, i dużo później – ale kiedy Nugent zobaczył mnie, dziewczynkę w szkolnym mundurku, z ręką na gałce drzwi, mój brat w oczach miał tylko zwykłe rozdrażnienie.

– Wynoś mi się stąd.

Usłuchałam. Zamknęłam drzwi, pobiegłam do ubikacji na górze, bo zachciało mi się siusiu i zapagnęłam popatrzeć, jak siusiam; chciałam się tam dotknąć, podrapać albo potrzeć, kiedy skończę, i powąchać sobie potem palce. W każdym razie chyba tak zrobiłam albo przynajmniej odkręciłam krany i patrzyłam, jak leci woda, albo przejechałam palcami po bąblach w łazienkowym szkle, albo pospacerowałam z roztargnieniem po łazience, trzymając się z daleka od wirów w muszli klozetowej i od białej wanny dziwnie pełnej powietrza.

Patrzę na swoje dzieci i myślę, że w wieku ośmiu lat wie się już wszystko. Może się jednak mylę. Wie się wtedy wszystko, ale to wszystko jest przed nami schowane, zapieczętowane, trzeba się więc rozciąć, żeby poznać prawdę.

Nabrałam zwyczaju jeżdżenia w nocy samochodem. Najpierw to mój zagłówkowy duch wyciągnął mnie z domu – dostrzegłam go kątem oka i przez chwilę pomyślałam, że zniknął. Zaraz jednak zobaczyłam, że osunął się na deskę rozdzielczą, cierpliwym jak sparaliżowany emeryt, który powstrzymuje się od sikania. Złożyłam siedzenie, żeby załadować z tyłu rower Emily, a potem go nie podniosłam. Siedzenie zatem przeżyło mały lecz straszny wypadek na szosie. Sprawdzam godzinę: jest wpół do czwartej nad ranem. O 3. 45 siedzenie nadal tkwi bez ruchu. O czwartej już nawet przestaje udawać wszelki opór, tylko pada bezradnie na nos. Dobrze pół godziny przed świtem wyciągam z lodówki butelkę białego wina i pod wpływem impulsu biorę kluczyki do samochodu. Z kieliszkiem, butelką i korkociągiem wychodzę na deszcz do swojego zagłówkowego ducha.

Kiedy otwieram drzwi pasażera i ciągnę dźwignię, siedzenie odskakuje, wstrząśnięte i oswobodzone. Gapi się chwilę przed siebie. To nadal gra, ten mój zagłówkowy duch, przypominający tysiąc mechanicznych przyjaciół z tysiąca komiksów. Wsiadam. Tapicerka jest zimna. Wyciągam korek, nalewam sobie kieliszek wina, po czym odstawiam butelkę na jezdnię i zamykam drzwi. Rozsiadam się wygodnie, całkiem szczęśliwa, piję w chłodnych objęciach siedzenia; deszcz zapewnia temu spotkaniu prywatność.

W następnym tygodniu powtarzam to kilka razy. Piję w samochodzie. Czasem nie pada, a wtedy z zapartym tchem wychodzę sama w tę ciemność, bo nasze małe osiedle nocą się obnaża; sąsiedzi śpią rzędem, każdy obłąkany na swój sposób. Nic się nie liczy. Dziecko na wózku inwalidzkim pod siódmką i „Nie-możesz-tutaj-parkować” pod dziesiątką, a mój trudny w pożyciu małżonek pod czwórką, każdy śni swój zwyczajny sen.

Wkładam kluczyk do stacyjki, żeby zaskarbić sobie towarzystwo klimatyzacji i włączam cicho radio. Czuję usilne pragnienie, żeby się przejechać, ale kieliszek wina za nic nie chce ustać w podstawce na kubek. Mimo to – bo oficjalnie jestem teraz szalona, jestem szaloną gospodynią domową – nie przestając popijać, objeżdżam na pierwszym biegu nasze osiedle. Chętnie wyrzuciłabym pusty kieliszek do czyjegoś ogródka, ale oczywiście tego nie robię. Zatrzymuję się i odstawiam go na ulicy, naprzeciwko butelki i przejeżdżam przez tę szklaną bramkę – mijam rzeźbiony granitowy głaz przy wjeździe do naszej enklawy i ruszam na miasto.

W drodze do centrum ogarnia mnie przemożny strach; oglądam się, żeby sprawdzić pustkę za plecami, i zapuszczam się w nieznane ulice, w które nigdy przedtem się nie zapuszczałam, a które zawsze prowadzą do morza. Trzymam mocno kierownicę, na światłach hamuję zbyt ostro. Ścinam krawężnik wysepki, a kiedy wstrząs rozjaśnia mi w głowie, spostrzegam, że już oboje, ja i samochód, zmierzamy na północ, wzdłuż zakola Zatoki Dublińskiej. Napawam się widokiem z Hill of Howth, ale, jadąc płaską drogą w kierunku tego wzgórza, czuję, że choć już sunę po piachu, to i tak fala chce zagarnąć mi ziemię spod kół.

Na parkingu na szczycie wzgórza zatrzymuję się, siadam i czekam na śmierć.

Zaczynam działać nieprzewidywalnie. Nie pozwalam sobie wychodzić z domu przez wiele nocy pod rząd albo łapię swoje rzeczy, gdy tylko wszystko ucichnie, i ruszam. Powtarzam to kilka razy i budzę się raptem na drodze za Sugarloaf lub gdy śmigam obok stadniny w Kildare. Prowadzenie samochodu nie jest niezgodne z prawem, a mnie się jednak wydaje niedozwolone, bo jako matka jadę saabem, porzuciwszy śpiące dzieci na pastwę ich snów.

Pewnego wieczoru pojmuję, którego miejsca unikam, po czym zamaszystymi, świadomymi ruchami kierownicy przewyciężam naturalny opór samochodu i prowadzę go aż do Broadstone.

Uliczki są wąskie. Stoją przy nich małe domki, prawie jak domki dla lalek. Niemożliwe, że tu mieszkaliśmy. Jak myśmy się w nich mieścili? W okamgnieniu dojeżdżam do Constitution Hill naprzeciwko niskiego muru, gdzie szara Najświętsza Maria Panna stoi na szarej rotundzie, ale najlepiej pamiętam nie tę fortecę z rzędami autobusów na szczycie. Dworzec autobusowy znajduje się niżej na zboczu, aczkolwiek dość wysoko, a kiedy zjeżdżam w stronę rzeki, po lewej widzę kościół, w którym przyłapano nas na kradzieży świec. To klasztor oo. Kapucynów, jak głosi tablica na zewnątrz, i czuję, że ten straszny ksiądz nie mógł być stąd, bo to są zakonnicy, cudowni ludzie chodzący w sandałach na bosych nogach w środku zimy. Ale niby czemu nie? A jednak mogło się to zdarzyć w klasztorze.

Wracam do Broadstone i trochę zbyt szybko trafiam pod niewielką bramę w ogrodzeniu zalewu, gdzie parkuję i wysiadam. I oto proszę! Tu właśnie Liam się wysikał – jak teraz widzę – nie przez drucianą siatkę, ale przez staroświeckie sztachety, chociaż wszystko inne pozostało takie samo. Woda jest taka sama. I ścieżka. Tu się to odbyło.

Wracam do samochodu i jadę bez świateł wprost do domu Ady. Parkuję na pierwszym wolnym miejscu i tkwię tam przez piętnaście, dwadzieścia minut; napływa mnóstwo natrętnych, okropnych wspomnień, gdy wtem spostrzegam, że jestem na niewłaściwej ulicy, chociaż numer domu się zgadza.

Tom otwiera mi drzwi. Wciąga nosem świeże powietrze na moim płaszczu i odwraca się.

– Gdzie dziewczynki? – pytam.

– Gdzie byłeś? – odpowiada pytaniem. Zaczynam się śmiać.

Chichocząc, odstawiam torebkę na blat, zdejmuję płaszcz, wiem go pod schodami. Zawiózł dziewczynki do szkoły i wrócił, żeby się ze mną spotkać. Tak się kuli, jakby miał zaraz wziąć zamach, żeby mnie uderzyć.

– I dlatego nie poszedłeś do pracy? – pytam.

– Gdzie byłeś? – ponawia pytanie, a ja najchętniej odpowiedziałabym, że „wyskoczyłam sobie”, jak to on wiecznie mówi. Żeby coś zrobić, żeby sobie pożyć lub nawet się pobzykać. Najchętniej powiedziałabym uprzejmym tonem, że wyskoczyłam, żeby się pobzykać, ale nie chcę nawet myśleć, jak zmizerniałam, odkąd polubiłam ciemności. Kładę mu delikatnie dłoń na gorsie koszuli gestem tak pełnym gracji, że ręka sama zsuwa się niepostrzeżenie do kłamy paska, który pociągam drugą, i tak oto, łagodnie odpychając Toma od siebie, jednocześnie go przyciągam, bo postanawiam zrobić loda mężowi w naszej kuchni. W dzień powszedni.

To się dzieje naprawdę – myślę. – To się dzieje naprawdę.

Chociaż nie jestem pewna. Już po wszystkim Tom składa na moim czole suchy pocałunek pełen troski. Nie może twierdzić, że go spławiłam – zwłaszcza że dostał swój zdecydowanie ulubiony numer z całego naszego repertuaru – ale i tak wie, że go spławiłam. Co doprowadza go do szału.

– Po prostu nie wiem, skąd wracasz – mówi. Korporacyjne określenie z ust mojego korporacyjnego faceta.

Po jego wyjściu idę na górę, kładę się na łóżku Emily. Potem wstaję, ściagam kołdrę i znów się kładę. Nie wiem, jak moja córka pachnie – zupełnie jak perfumy, których używało się zbyt długo – bo wciąż jest za blisko mojego wnętrza. Dlatego nie w pełni ją czuję, ale wiem, że jej zapach tam jest, kiedy kładę się z myślą, że leży obok. Chcę pogłaskać ją po ślicznych plecach, kształtnej pupie. Chcę sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu, zwarte i szczęśliwe, czy mięśnie mojej córki współgrają z kośćmi. Chcę odnaleźć osobę, którą stworzyłam z siebie, wykarmiłam dziesięcioma tysiącami porcji ekologicznych parówek i fasolki bez cukru, chcę pougniatać wszystkie części jej ciała tak, żeby w pełni ją uklepać i ukształtować. Chcę dokończyć dzieło tworzenia jej, bo kiedy dokończę, będzie silna.

24

Wracam pociągiem z Brighton, spotykam się z Kitty w pubie w południowym terminalu lotniska Gatwick, bo mamy razem lecieć do domu. Bar jest przygnębiający, typowy chlew pełen kufla i popielniczek, tyle że na małych stolikach, żeby zostało miejsce na wózki bagażowe, plecaki i walizki. Nieogoleni, smutni mężczyźni przysypiają nad piwem. Pub tylko udaje pub, bo to pomalowany kąt w hali głównej, z podłogą w innym kolorze. Nie ma drzwi. Przedzieram się przez brudne bagaże i opóźnione życia, żeby odnaleźć Kitty – kobietę dziwnie przypominającą moją młodszą siostrzyczkę, tyle że dużo starszą.

Kiedy dochodzę do stolika, spoglądam na stojące przed nią puste szklanki i pytam:

- Wszystkie twoje?
- Niech cię szlag – klnie.
- Tylko pytam.
- Dwie są moje, reszta nie. Już dobrze?
- Zamówić ci jeszcze?
- Tak, chętnie się napiję.

Odwracam się, żeby dotrzeć do baru, i słyszę, jak mówi:

- Króliczku – tak jak nazywała mnie w dzieciństwie.

Odwracam się, żeby ją uścisnąć, wyginam plecy, odchylam tors, a ona unosi się, żeby też mnie objąć, ale uda więzną jej pod drewnianym stolikiem. Jej włosy wydają mi się sztuczne jak peruka, ale chyba po prostu wysuszyły się od farby i lakieru do włosów Frizz-Ease. Z daleka wydawały mi się piękne, jak zawsze czarne i kręcone, ale z bliska widzę, jak bardzo twarz jej się zapadła, a roztargnienie w niebieskich oczach, łobuzerskie policzki i czarujący uśmiech – celtyckiej wiewiórki ziemnej – zmiękły jak wosk, pozostawiając jedynie obwisłe ciało, oblepiające kości, kości i jeszcze raz kości.

– Co słyhać? – pytam.

– Co u m n i e słyhać?

– Tak. Co u ciebie?

– Dobrze, wszystko dobrze.

– A co pijesz? – pytam.

– Dżin z tonikiem.

– Tak myślałam.

– No widzisz.

Od lat nie zamawiałam alkoholu w barze. Barman nie zwraca na mnie uwagi. Mam ochotę wykrzyczeć mu, że jestem dostatecznie dorosła i że chcę mu dać zarobić. Najchętniej zawołałabym: „Mój brat nie żyje! Proszę mnie natychmiast obsłużyć!”, ale co z tego? Niektórzy ludzie nie widują się z braćmi po dwadzieścia lat.

Zamawiam dżin dla Kitty i dla siebie.

– Ech, te angielskie miary – komentuje moja siostra, unosząc szklankę i wywijając mi nią przed nosem, jakbym nie wiedziała.

Kitty zawsze powiada, że w dzieciństwie ją bito, chociaż była rozpuszczona jak dziadowski bicz: dosłownie prosiła się o lanie i często obrywała; nie tylko ode mnie i od Liama, który ją nawet lubił, lecz również od wariata Mossiego, który drwił z niej i ją wkurzał, aż wybuchała jak Shirley Tempie. Było coś transcendentalnego w jej gniewie, kiedy miała sześć czy siedem lat. Sztywniała wtedy, a temperament tylko śmigał po pokoju, aż go jakoś łapała i wpychała z powrotem do środka. Po czym ta moja komiksowa siostra wybuchała, przeistaczając się w zięjącego ogniem kocura; okładała pięściami Mossiego. No i zawsze napytała sobie biedy, bo Mossie nie dał sobie w kaszę dmuchać. W odróżnieniu ode mnie i Liama, bo myśmy się z nią tylko droczyli.

Teraz oczywiście dręczy mnie poczucie winy na to wspomnienie, bo nie wierzę w bicie, kogokolwiek, jakkolwiek, kiedykolwiek, ale wciąż przyjmuję z nie lada rozbawieniem, kiedy zachowuje się jak przemądrzała gówniara. Gdy tak odrzuca głowę w geście wyższości, chcę, żeby znów miała sześć lat.

Unoszę lekko szklankę i mówię:

– Zdrowie.

Ledwo wsiadamy do samolotu, zaczyna płakać i płacze tak całą drogę do domu. Wylewa wiadra łez. Przechodzi od cichego chlipania do jęków, łkań i szlochów, po czym w kółko od początku. Zupełnie jakby trenowała płacz. Wyglądam przez okno, kiedy stewardesa uprzejmie proponuje brandy do kawy, a potem kasuje za nie pięć funtów sterlingów.

– Nic ci nie jest? Na pewno?

Mężczyzna siedzący z drugiej strony mojej siostry wie, że ktoś umarł. Zastanawia się, czy jestem pracowniczką socjalną czy może nawet kuratorką więzienną i dlatego nie trzymam jej za rękę. Sama się zastanawiam, dlaczego nie trzymam jej za rękę, kiedy spoglądam w dół na widniejącą w oddali powłokę irlandzkiego morza. „Spałyśmy w jednym pokoju dwadzieścia lat – chciałam mu powiedzieć. – To mało? Nie uważa pan, że aż nadto?”

Liam siedzi w rzędzie przed nami po drugiej stronie. Jego duch ma w sobie coś groźnego, jak ze snu, co uzmysławia mi jego obojętność, kiedy zdecydował się porzucić nas i wejść do morza. Czuję jego wzrok na policzku, kiedy odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, straszny i martwy. Wiem, co ten wzrok mówi.

Prawdę. Umarli niczego więcej nie pragną. Żądają tylko prawdy.

Za szybko podnoszę wzrok. I Liam znika.

Na Lambay Island stoi duży biały dom – bodajże w georgiańskim stylu, wart fortunę. Po raz pierwszy zobaczyłam go chyba z plaży, kiedy pojechaliśmy z Adą odwiedzić naszego obłąkanego wuja Brendana. I nagle dociera do mnie, że syn Ady przegrał życie z lergactilem i plugastwem. Ile lat to trwało? Pewnie w chwili śmierci nadal się zastanawiał, kim naprawdę jest.

Przeczesał wrokiem brzeg w poszukiwaniu plaży, mostu, ujścia rzeki, znów patrzył na łód – i oto widzę: wieżycy okrągła jak ołówek, przysadzista wieża wodna, a obok grupa budynków wśród drzew. Mignęły mi i ponownie znikły, kiedy samolot przechylił się i ukazało mi się niebo.

– Co się stało z wujem Brendanem? – wołałam do Kitty, przekrzykując huk.

– Co się stało z wujem Brendanem?

– Tak, z wujem Brendanem.

– A dlaczego pytasz?

Wysuwa się podwozie, czekamy, aż się zablokują koła. Samolot prostuje swoje krótkie nóżki, ryje piętami w ziemi.

– Umarł – mówi Kitty pojednawczym tonem.

– Naprawdę?

– Dostyc go lubiłam.

– Naprawdę?

Byłam pewna, że nigdy wcześniej go nie poznałam, ale właśnie go widzę siedzącego przy stole w Boże Narodzenie na Griffith Way, z dziwaczną twarzą z powodu obwisłego podgardla, zaczerwienionych dziurek w nosie i oczu. Dzisiaj pamiętam, że były zmęczone i przykre, jak gdyby od obłędu wiało nudą; prawie taką samą jak od Bożego Narodzenia. Moja pamięć nasadza mu na głowę pomarańczowy kapelusik z tektury, wkłada kieliszek brandy w roztrzęsioną dłoń, chociaż w naszym domu nie istniał alkohol, dopóki Liam nie zaczął go przemycać, i nie było też żadnych kapelusików z tektury.

Właśnie po Brendanie wszyscy odziedziczyliśmy oczy: oczy Spillanelów, które w połączeniu z atlantyckim błękitem oczu mojego ojca dawały nam wszystkim przenikliwe oczy alkoholików w nierozcieńczonym kolorze niebieskim; piękne, patologiczne, jakby nieobecne lub roztargnione, dopóki ich nie „włączymy”, czyli zauważywszy kogoś, postanowimy obdarzyć go pełnym blaskiem błękitu. (Sama mam oczy po Adzie, nijako szare, po irlandzku *liath*, jak określa się kamienne mury lub morze. Alice też miała takie deszczowe oczy, podobnie jak Ivor i Midge. Nie byliśmy prawdziwymi, elektrycznymi członkami rodu Hegartych, a stanowiliśmy jego podgatunek; byliśmy Firbolgami z Griffith Way).

Po wuju Brendanie odziedziczyliśmy również smykałkę do matematyki – a w istocie dość prozaiczną umiejętność zapamiętywania numerów telefonów i strofowania pańnek w kasach supermarketów za to, że policzyły nam za dużo za sałatę. Nikt z nas jednak – jak nam powtarzano – nie odziedziczył po wuju talentu matematycznego. Zawsze dawano nam do zrozumienia, że brat naszej mamy był za dobry na ten świat.

I chociaż Ernest czyta w górach Peru przy świecach o teorii strun, większość mądrych Hegartych jest z definicji mądrych, czyli przeklętych; zarabiają więcej lub mniej od swoich bliźnich i są skłonni wygłaszać bystre uwagi. Podczas lądowania uprzytamniam sobie, że pobyt w Świętej Icie nie miał w sobie krztyny romantyzmu, lecz raczej sprowadzał się do ustawicznego, plugawego obserwowania, jak siki ciekną komuś po nogach, a tylko od czasu do czasu sięgania do własnych myśli.

– Wiem, co myślę! – powtarza ów wariat w moim wspomnieniu, uderzając w drewnianą poręcz fotela. – Wiem, co myślę!

– Moje gratulacje – komentuje mijająca go pielęgniarka.

Za oknem przemyka budynek lotniska, który wygląda bardziej jak fotografia, bo cały rytuał lądowania wydaje mi się tak filmowy i nierealny, że ani przez chwilę weń nie wierzę. Wuj Brendan nie jest martwy, a w każdym razie nie do końca martwy, a ja widzę coś nietrwałego w ruchomym chodniku, ruchomych schodach i karuzelach bagażowych, coś, co jeszcze nie osadza mnie na irlandzkiej ziemi, gdy więc w końcu wyprowadzam saaba z parkingu i wjeżdżam na rondo, skręcam z drogi z lotniska na północ, zamiast na południe. Zakład znajduje się tylko kilka kilometrów dalej. Nadal jest tam mostek, a linia kolejowa biegnie na północ. Za nią następuje nagły uskok w mojej psychicznej mapie i przede mną rozciąga się droga. Kiedy zaczynam już tracić nadzieję, wskakuję z powrotem w drogę zapamiętaną przeze mnie – długą i prostą. Z lewej strony prowadzi betonowa dróżka, z prawej rząd zgubnych drzew, za nimi rów, a dalej rozpościera się położone w depresji pole, którego soczysta, mokra zieleń tu i ówdzie chyli się do stawu obrośniętego trawą.

Za drzewami jaskrawe białe światło nieba rozlewa się nad wodą.

To tu. Nie ma rozziwów między obrazem widzianym oczyma duszy a prawdziwym. Staram się zwolnić tempo, żeby zrównać krok ze wspomnieniami, ale przemykają zbyt szybko.

– Pamiętasz tę drogę? – pytam Kitty.

– Którą?

- No tę.
- O co ci chodzi?

Już zniweczyła połowę przeszłości. Mija pół mojego życia, zanim ona uzna za stosowne cokolwiek zrozumieć.

- Czy ja pamiętam tę drogę? – powtarza pytanie Kitty.
- Chryste – zżymam się.
- No co?

Minęliśmy już parterowy domek w polu zboża, przyciętego teraz w niskim jesiennym słońcu na ściernisko.

- Pamiętasz tego faceta z dwoma kijami?
- Och... – mówi Kitty, nadal nic nie kojarząc.
- Nie pamiętasz, jak szedł tą drogą?
- Tędy? – pyta Kitty. – Nie, nie tędy.

Zatrzymuję się i skręcam w prawo, w drogę prowadzącą do szpitala.

Zupełnie jakbyśmy wjechały we mgłę, która spowija nas nagle, a za nią rozciągała się przeszłość. Wrzucam drugi bieg, pochylam się nad kierownicą, kiedy mijamy rząd zabudowań, siedzibę dyrektora, niegdyś zapewne dwór dziedzica, a dalej gmach szpitala z czerwonej wiktoriańskiej cegły, wielkości małego miasteczka.

„Obsługa niepełnosprawnych” głosi szyld, przyjmuję więc z ulgą, że wariaci już stąd znikli. Naturalną kolejną rzeczą obrócili się w proch. Ludzie przestali być obłąkani. Wariaci pozostali w tych pomieszczeniach tylko w postaci resztek skóry; zdrapanej, odciętej, a może po prostu zrzuconej: milion płatków skóry, miękkość pod deskami podłogi, rodzaj światła.

Mijamy dziedziniec z wysokim kominem i niską kotłownią, wszystko z krzykliwej, pospolitej czerwonej cegły. W kotłowni znajdują się dziwne okrągłe okna, z gwiazdą Dawida dzielącą szyby na części.

– Jezu – mówi Kitty i myśli podobnie jak ja, że tutaj spala się pacjentów chorych psychicznie, żeby ogrzać szpital.

Zatrzymuję się przed boiskiem do piłki ręcznej, nie gaszę silnika, patrzę na okrągłą wieżycę i na wieżę wodną. Nie mogę jednak zaciągnąć hamulca ręcznego i wysiąść na świeże powietrze zakładu dla umysłowo chorych, w którym nadal sprawują straż rzędy kwaterowych okien. Docieram trochę niżej do domku nad morzem, grube opony suną po żwirze, po czym zawracam na trzy i odjeżdżam.

Kiedy wyjeżdżamy za bramę, zwiewam kilkaset metrów nad morze, morze publiczne, morze do pływania. Słona woda zawsze mnie otrzeźwia; wysokość fal, błysk ryb, ogromny jej napór na dno morza. Nad brzeg dochodzi niewielkie osiedle; dziecko na rowerze, zagapione z ciekawości, a kiedy skręcam przy końcu drogi, niewielkie pole ogrodzone szarym murem. Na tym polu – naprawdę niewielkim – stoi krzyż celtycki z napisem.

Wysiadam z auta, żeby mu się przyjrzeć.

1922-1989
PRZECHODNIU MIŁOSIERNY
BĄDŹ ŁASKAW
POMODLIĆ SIĘ
ZA MIESZKAŃCÓW
SZPITALA ŚWIĘTEJ ITY
POCHOWANYCH NA TYM CMENTARZU
NIECH SPOCZYWAJĄ W POKOJU

Na końcu centralnej alejki tylko jeden, względnie nowy, krzyż. Podwójny rząd młodych drzewek, zapowiedź dorodnych jarzębin. Żadnych tabliczek ani osobnych grobów. Ciekawe, ile osób złożono do tej ziemi. Zdaję sobie sprawę, zbyt późno, że tu aż kipi od ciał, że ta gleba jest udziergana z ich splątanych kości.

Oglądam się bezradnie za siebie na Kitty siedzącą na przednim siedzeniu.

Złapali mnie za uda. To dziwne uczucie trzyma mnie za uda. Nieuchwytny wiatr. Łapie mnie, buszuje między moim ubraniem a skórą. Porusza wszystkie moje włoski. Muska mi wargę. I znika.

Pewnego razu na mszy świętej zobaczyłam mężczyznę chorego na kiłę. Siedział przed nami w ławce, na nikogo nie zwracał uwagi, ale Mossie mi go pokazał, bo Mossie znał się na takich sprawach. Uszy miał już przeżarte; aż mu się skurczyły jak stopiony plastik. Kiedy odwrócił się do mnie półprofilem, zobaczyłam, że zapadł mu się grzbiet nosa, a została tylko mała wypukłość ciała w miejscu dziurek. Oddychał głośno i chrapliwie, ale nie miał obłędu w oczach – Mossie później nam powiedział, że tacy chorzy zawsze w końcu dostają obłędu. Życiorys jednak miał niewątpliwie wypisany na twarzy.

Kitty powiedziała mi to w samochodzie, kiedy wracaliśmy z kościoła do domu. Miała wtedy bodajże jedenaście lat.

– Przed nami siedział syfilityk.

Ojciec za kierownicą wsuwał głowę w szyję, przez co wydawał się potężniejszy w plecach. Mama tylko westchnęła.

Wydaje mi się, że historia jest jedynie biologiczna. Wybieramy fakty ze swojego życia – skąd pochodzimy i co to oznacza. Siedzę, czyszczę paznokcie i myślę o ostatnim manicure zrobionym Liamowi przez miłego angielskiego grabarza, który musiał wydlubać czarny brud z baru; pastę i pot, rozlane piwo i naskórek innych ludzi. Przekaz na przyszłość jest zapisany w ciele, reszta to jedynie trop.

Nie wiem, kiedy los Liama został zapisany w jego kościach. I chociaż Nugent był pierwszym człowiekiem, który nie wiadomo dlaczego zapisał tam swoje imię, nie sądzę, że był ostatnim. Nie dlatego, że coś jeszcze się działo, ale dlatego, że tak to już w świecie jest. Wtedy, oczywiście, nikt o tym nie wiedział. Patrzyliśmy na ludzi pokroju Liama i dorabialiśmy im osobną historię, inny zestaw słów.

„Szczeniak, ulicznik, wisus, menel, skaranie boskie, nicpoń, wariat, kawalarz”.

Teraz, po jego śmierci, muszę przypomnieć, że mój brat miał też dni chwały.

W wieku piętnastu lat Liam był nadspodziewanie ładny – ja miałam jeszcze wtedy młodzieńczy tłuszczczyk i wszystkie oznaki podlotka.

– Skąd ci się wzięły te mysie kosmyki? – pytała Ita na temat moich włosów albo:

– Od czego masz takie czerwone powieki? Czymś się z a r a z i ł a ś ?

Ita miała być „ładna”, miała „zdobyć mężczyznę”, dlatego od najmłodszych lat w jej wyglądzie kryło się coś niezniszczalnego. Tymczasem moja twarz z tygodnia na tydzień traciła na czytelności.

– Po kim masz ten łeb? – pytała.

Dobre pytanie, Ita, bardzo dobre pytanie, piękne dzięki.

Liam przez jakiś czas utrzymywał na głowie dziwną fryzurę, a kiedy skończył czternaście lat, usta rozkwitły mu dziwacznie i tak mu już zostało. Ponieważ był jednak niski i chyba przy tym „ładny”, jego okres dojrzewania trwał mniej więcej tydzień. Jako szesnastolatek był ładny i zepsuty, a błękit jego oczu przyprawiał o zawrót głowy i chociaż przez swoją nerwowość w końcu nie znalazł sobie miejsca w świecie, w ostatnich latach szkoły był księżątkiem, pożeraczem serc; pozostawał poza prawem.

Kiedy Mossie wyjechał z domu, Liam przeprowadził się do przejścia do ogrodu, z pobielanymi ścianami i krzywo przyciętym linoleum na podłodze. Pomieszczenie znajdowało się na zewnątrz, dlatego szczęśliwie dla Liama nikt z nas nie wiedział, czy on jest w domu, czy nie. Miał swoją paczkę, której członkowie przeskakiwali przez mur z tyłu domu, a czasami zaglądali przez kuchenne okno; głównie chłopcy, ale z czasem dołączyło też kilka dziewczyn. Miał przyjaciela Willowa, z którym zbijał bąki i urządzał eksperymenty – przeważnie polegały na upychaniu różnych przedmiotów do kieszeni spodni i strojeniu idiotycznych min, kiedy otworzyłam drzwi.

Nie przejmowałam się nimi, bo byłam już za dorosła na ich towarzystwo. Zajmowałam się gryzmoleniem na okładkach zeszytów miłosnych tekstów na temat Tannera, starszego brata Willowa. Pisałam je po francusku, żeby nikt nie rozumiał – oczywiście poza panią Gogarty, nauczycielką francuskiego. *Mon amour est un petit oiseau brun /Blessé par toi, /Tanner*, Przeczytała to do góry nogami, spojrzała na mnie serdecznie i uśmiechnęła się. Znienawidziłam ją. Znienawidziłam za to, że mnie nakryła, i za to, że okazała mi serce (bo tak mi się zdawało). Chodzi o to, że w tak dużej rodzinie jak moja każdy żył swoim życiem. Nikt nie zaglądał do niczych rzeczy, chyba że chciał je podkraść albo komuś przygadać. Nikt się nad nikim nie użalał ani nie okazywał serca, może za wyjątkiem Ernesta, który już wtedy użalał się z natury swojego powołania, toteż nikt się nim nie przejmował.

Co więcej, uważaliśmy, że tak należy godnie żyć. I do dzisiaj poniekąd tak uważam.

Zdarzyło się, że dwie koleżanki: Fidelma, która mnie nie obchodziła i moja przyjaciółka Jackie, która mnie obchodziła, wpadły do mnie po szkole i świetnie się bawiłyśmy – dopóki do kuchni nie wszedł Liam, kiedy to zabawa przerodziła się w jeszcze lepszą. Pominąwszy wszystko inne, był dla Jackie za niski. Któregoś roku na Wielkanoc upiliśmy się razem przed kościołem podczas mszy wieczornej, siedząc w polu, na którym mieli zbudować szkołę; przekazywaliśmy sobie ćwiartkę wódki, którą mieszaliśmy w ustach z musującą oranżadą w proszku. Pozwalałam na to nie bez oporów wewnętrznych – chociaż wiedziałam, że to się tak musi skończyć. Może nie tyle oporów... ale jak nazwać to uczucie? Samotność. Widok Liama, który w ciemnościach odwrócił się do zastygłej w bezruchu twarzy Jackie. Tymczasem ja siedziałam o krok od Willowa, i oboje przetykaliśmy ślinę. Odpalali płomień od jednej świecy paschalnej do drugiej, aż cały kościół wyglądał, jakby stanął w ogniu: dopiero wtedy włączyli świetlówki.

Nie piłam wódki od lat; nawet teraz ma mdlący zapach krocza, zalatuje ziemią i dojrzwaniem – taki powiew bije z kieliszka. Najpierw Jackie wypłakała mi się przez telefon, potem Fidelma, aż nakrzyczałam na Liama, żeby zostawił, do cholery, moje koleżanki w spokoju. No więc wybrał się w sobotę wieczór na miasto sam, a ja się ustawiłam z Joem Dziewięćdziesiątką – tak na niego mówiliśmy, bo miał trzydzieści lat – który, jak teraz widzę, tak bardzo chciał się we mnie wedrzeć, że musiał się odwracać od pocałunku i wbijać głowę w ścianę. Uwielbiałam to wszystko. Joe Dziewięćdziesiątka lubił, jak się stroiłam, i ciągnął mnie do pubów, a Liam uciekał ode mnie w swoją trwonioną młodość.

Pewnego wieczoru Bea odebrała telefon w holu.

– Tak. Zgadza się – powiedziała, a cały dom zamarł, nasłuchując. Poszła po tatę.

– Tak, przy telefonie – powiedział. – Oczywiście. Oczywiście. Oczywiście, że tak.

Po czym poczłapał na górę, znalazł marynarkę i krawat, wyszedł na jesienną szarugę.

Wieczorami nigdy nie wychodził.

Po godzinie wrócił ze smutną miną. Idący za nim Liam wzruszał ramionami i unosił ręce, jakby chciał powiedzieć, że cały nasz komitet powitalny jest niepotrzebny. Później powiedział nam, że ojciec wykupił go z miejscowego komisariatu lub raczej wyreklamował i że nic takiego się nie stało – klepnęli go tylko i wysłali do domu.

Nigdy nie poznaliśmy powodu. Tata nie chciał o tym mówić – ani wtedy, ani nigdy potem – tyle że od tamtej pory traktował Liama z bezbrzeżną pogardą. Klamka zapadła: koniec krzyków, koniec strofowania ze strony taty, który wystawiał palec i dźgał chłopców w ramię.

– O. Co. Mi chodzi. Co ci próbuję powiedzieć? Szturch, szturch, szturch.

Czasem się zastanawiam, dlaczego w kuchni nie doszło do morderstwa.

– Tato, przeginasz. Przestań mnie wreszcie dźgać. Teraz jednak tata nie miał nawet zamiaru dźgać Liama.

Telefon Gardai okrył dom taką hańbą, że w odczuciu taty nie było już o czym mówić. Dzisiaj uważam, że musiała to być niezła rozróżba. W kuchni Liam podniósł kosmyk włosów, żeby pokazać zaschłą strużkę krwi i czerwoną kreskę biegnącą od policzka do szyi, gdzie zahaczył się o klamkę w celi. Pamiętam wyraźnie w technicolorze: kruczoczarne włosy, bardzo czerwona strużka i intensywnie błękitne oczy. Trochę go tylko „sponiewierali”, jak się wyraził, „dali mu popalić”.

– Nie strugaj idioty – przygadałam mu. Spojrzał na mnie.

Chyba chodziło mi wtedy o to, że skoro go pobili, widocznie zawinił. Poza tym, choćby mnie przyparł do muru, nie uwierzyłam mu, nawet gdyby mówił prawdę.

Gdybym miała wskazać moment, w którym zdradziłam brata, to chyba właśnie wtedy. Patrzyłam na opuchliznę na jego policzku i postanowiłam mu nie wierzyć tam, gdzie musiałabym polegać na jego słowie. I tyle.

Uznałam, że nie zasługuje na moje zaufanie.

– Nie strugaj idioty – powiedziałam. Co jeszcze?

Dawniej śmialiśmy się z różnych rzeczy: z mizdrzących się księży, z jąder małych chłopców, z „Chodź no tu i siądź mi na kolanach, młody człowieku”, z angielskich chórzystów i z gejowskich tyłków, w ogóle ze wszystkiego, co odnosiło się do niewinności i do pup, chociaż nikt nie wspominał – gdy tak się teraz nad tym zastanawiam – nikt wtedy nie używał takich określeń jak „pyta”, „ciągnąć druta” albo „dać sobie lizać siurka”. A dlaczego? Dlaczego tak bardzo nas to śmieszyło, ale tylko w pewnym, rytualnym niemal zakresie?

Takie rozmowy prowadziliśmy pewnego lata przez miesiąc albo dwa, po czym ustały. Lubiłam je. Lubiłam, jak zapadało milczenie, kiedy ucichł śmiech. Milczenie Liama mogło wskazywać, że się zsiusiał, ale nikt nie zauważył, a więc wszystko pozostało spowite tajemnicą. A moje milczenie oznaczało znikomą możliwość – którą podjęłam, potem od niej odstąpiłam – że pokażę mu, jak cała tam zwilgotniałam.

Za którą to przyjemność, drobną, acz dogłębną, chciałabym prosić o wybaczenie. Chciałabym dostać wybaczenie, bo bardzo dziś tego żałuję.

Gdybym wierzyła w coś takiego jak spowiedź, poszłabym do konfesjonału i wyznała, iż nie dość, że się śmiałam z brata, to przez całe życie pozwalałam, żeby on śmiał się z siebie. Jego rozbawienie ciągnęło się przez cały okres jego picia radosnego, a następnie awanturniczego, wymiękł dopiero przy ostatniej, parszywej, fazie. Choć nigdy do końca nie porzucił swojego pomysłu – żeby wszystko obracać w jeden wielki żart.

Liam nigdy nie miał skłonności do uzalania się ani nad sobą, ani nad nikim innym. Kiedy ktoś – na przykład Kitty – czuł się nieszczęśliwy, Liam uważał, że niestusznie. Proszę mnie źle nie zrozumieć, owszem, Liam uwielbiał ludzi cierpiących – biednych, opuszczonych, samotnych, pijaków; użalał się nad każdym, kto miał problem, byle ten ktoś nie użalał się sam nad sobą. Nie wydaje mi się to sprawiedliwe. Zakrawa na pychę.

Wiem, że brzmi to zgryźliwie, Chryste Panie, czasem wołałabym nie być taką wredną zdzirą, ale brat oskarżał mnie przez dwadzieścia lat albo i więcej. Oskarżał mnie o ładny dom, ładnie pomalowany na biało, i ładne córki w pokojach utrzymanych w ładnym kolorze lila i jeszcze ładniejszym różu. Oskarżał mnie o pasjonującego się golfem męża, chociaż Bóg mi świadkiem, że od wielu lat Tom nie znalazł chwili wolnego czasu na partię golfa. Traktował mnie jak zdrajcę, chociaż nie wiedziałam, co miałabym niby zdradzić – bo Liam nie dopuszczał oczywiście marzeń. Mój brat miał silne poczucie sprawiedliwości, ale okazywał niechęć wszystkim osobom, które próbowały go kochać; zwłaszcza kobietom, z którymi kiedykolwiek się przespał, ale chociaż całe życie rozdzielał ciosy na prawo i lewo, potrafił całą winę zwalić na mnie. A ja potrafiłam wziąć ją na siebie. I dlaczego?

Tak właśnie działa wstyd. Tak wygląda anatomia i mechanizm rodziny – w całym tym pieprzonym kraju – które toną w poczuciu wstydu.

Owszem, czasem patrzę na swoje ładne ściany i podobnie jak Liam mówię:

– Zburzyć by to wszystko!

Zwłaszcza po butelce dobrego rieslinga. Jak gdyby cały świat wzniesiono na kłamstwie, w dodatku kłamstwie bardzo utajnym i ohydny. Nie wydaje mi się jednak, że imperia, miasta czy nawet duże wille zostają wzniesione na tym nikczemnym fakcie, że ludzie uprawiają seks, lecz raczej na tym nikczemnym fakcie, że mają hipoteki. W każdym razie mój mąż pieprzy mnie w noc czuwania przy moim zmarłym bracie, a ja wymachuję pustą butelką w stronę siedzeń z włoskiego sztucznego zamszu i mówię:

– Niech już się to wszystko skończy.

Podczas jednego z ostatnich przyjazdów Liama wszyscy mieszkaliśmy na kupie – tylna część domu była wyburzona, musieliśmy się więc gnieździć we frontowej, jedząc potrawy kupione na wynos. Chyba o wszystko winiłam Liama, a nie ekipę remontową. Zjawił się w środku tego pobojuwiska ze smutną, za wysoką kobietą, która nie miała własnego zdania, nawet nie wiedziała, co chce zjeść. Pił bez przerwy. Po pięciu dniach pojechali do Mayo, a ja miałam nadzieję, że już nigdy więcej go nie zobaczę.

Z tamtej wizyty mam zdjęcie Liama z Emilią siedzącą mu na kolanie któregoś wieczoru po kąpielach. On jest szarym człowieczkiem, który zapadł się w fotel osłonięty pokrowcem. Emily ma dwa lata; siedzi naga, prosta jak struna i tak piękna, że brak mi słów. Liam obejmuje ją w pasie wielkimi, pulchnymi rękami. Emily ma zgrabną, ostro zarysowaną pupę, siedzi bokiem na jego udzie. Spodnie za nią marszczą mu się i zwisają w kroku, który pozostaje zagadką, ale ta już nikogo nie interesuje. Ma rozbawioną minę.

Liam rozumiał Emilię – oboje się lubili. O Rebecce, która bardziej wdała się we mnie, mówił:

– Szkoda, że ma takie zęby.

Chyba i to muszę mu wybaczyć.

Szkoda, że ma takie zęby.

Niedługo po zatrzymaniu Liama i wyciągnięciu go przez ojca mój brat rzucił w kuchni nożem do chleba w mamę, która próbowała mu chyba powiedzieć coś miłego, na co cała rodzina skoczyła na niego i skopała go w ogrodzie za domem.

– Ty pierdolony oszołomie.

– Chybiłeś, chamie.

Pamiętam ogromną satysfakcję w tym stwierdzeniu. Jakby był strupem, który trzeba oderwać. Musiał się w końcu doigrać.

(Mama też chyba, w głębi ducha, wiedziała). Mimo wszystko długo się zastanawiałam, za co policja go zgrnęła. Dużo o tym myślałam. Może za rozbite okno, za podwędzenie drinka w pubie albo po prostu za wygląd. Albo za coś, czego nawet nie mogłam się domyślić. Na rogu ulicy wystawała taka jedna Natalie, która stale płakała i krzyczała – może to jej sprawka. Uznałam, że mogło zajść jakieś nieporozumienie, które ojciec musiał wyjaśnić, udzielając dodatkowych informacji na temat tej dziewczyny, jej szalonego trybu życia i długości spódnicy w sobotnie wieczory.

W końcu musiałam go zapytać.

– Zwinęli cię przez Natalie? Przez tę sukę?

Tylko na mnie popatrzyl.

A jeżeli ją zgwałcił? Przecież faceci tak się zachowują. Może miała krew na nodze, łzy na twarzy? Zasmarkała się. Co jeszcze?

Miałam szesnaście lat i nie wiedziałam absolutnie nic o seksie. Czy to nie dziwne? Bo chociaż znałam garść szczegółów technicznych, nic mi one nie dawały. Nie wiedziałam, jak to się wszystko odbywa. Najwyraźniej okres dojrzewania był zarazem okresem narastającej niewinności, bo byłam wtedy z gruntu namiętna, a jednocześnie niewinna. Myślałam sobie, że wszyscy zostaniemy poetami, wszyscy będziemy kochać się z całego serca, a Liam, w gniewie, zmieni świat.

Jednego tylko nie mogłam do końca zrozumieć: a było to na tyle ważne, że musiałam się dowiedzieć. W końcu go zapytałam.

– Czy ta historia z glinami zdarzyła się przez Natalie?

Liam popatrzyl na mnie. Powstała między nami przepaść, która istnieje między kobietą i mężczyzną – przynajmniej tak mi się zdawało – różnica między tym, jak mężczyzna postąpi seksualnie lub chciałby postąpić, a tym, czego kobieta może się zaledwie domyślać.

– Zadawałeś się z nią? – spytałam.

– Nie bądź chamska – odpowiedział.

Pewnego razu szliśmy przez las. Była jesień, może nawet pamiętna jesień. Lśniły szare pnie drzew obwieszonych liśćmi w tak teatralnie pomarańczowym kolorze, jak tylko można sobie wyobrazić. Teraz wydaje mi się, że to była aleja buków, z potężnymi, masywnymi korzeniami wystającymi z ziemi.

I tyle.

Szliśmy w tej romantycznej scenerii, aleją pomarańczowych liści, toteż powinnam myśleć o Tannerze, Joem Dziewięćdziesiątce, czy kto tam był w danym tygodniu na tapecie: powinnam myśleć o nieznanym mężczyźnie, którego zrzędzeniem losu pokocham. Tymczasem – na łonie tak pięknej natury – zaklinałam się na swoim bracie.

W oddali wznosiły się góry, spiętrzenie skał i wrzosów. Szliśmy pod wysokim, bladym niebem, czuliśmy się w tym pejzażu tacy mali, a dokoła nikogo, kto mógłby nas osądzić. I tyle. Wezbrało w nas ogromne poczucie bezbożności. Wszystko to wydawało nam się dziwne – góry, blade niebo i przesadnie pomarańczowe liście, które nie chciały spadać, a pośród tego schyłek naszego nieświętego przymierza.

Który okres był dla nas najlepszy? Kiedy Liam miał czternaście lat albo coś koło tego, on miał rower, a ja nie, toteż brał mnie na ramę i zjeżdżaliśmy z góry do sklepów albo wjeżdżaliśmy pod górę na miejscowy basen. Nie mam pojęcia, jak widział drogę przez moje ramię. Zawsze kłóciliśmy się, kto ma kierować – ja trzymałam kierownicę sztywno, on próbował wyrwać mi ster, kręcąc w prawo albo w lewo, przy czym wbijał mi się brodą w plecy, a moje włosy wpadały mu w oczy. Jechał, trzymając nogi kabłąkowato, a ja przełożyłam swoje na jedną stronę; tworzyliśmy więc stwór złożony z łokci, kolan, wrzynających się rączek kierownicy i szturchania narowistych pedałów ze stali nierdzewnej. Można by sądzić, że to tylko zabawa, ale to od początku do końca była walka.

Potem w basenie trzymaliśmy się osobno, pilnując rozdziału płci, a jeżeli Liam nie miał kolegów do towarzystwa, pływał sam, z kolei jeśli nie było dziewczyn, ja zachowywałam się podobnie. Czasem nie znaliśmy nikogo, ale żadne z nas nie chciało przegapić okazji, żeby kogoś poznać, więc nie rozmawialiśmy ze sobą. Gdyby podszedł do mnie z tym swoim chuderlawym, mokrym torsem i czerwoną twarzą, całą w plamy, potwornie bym się na niego zdenerwowała za to, że mnie dekonspiruje. Bo jak można być tajemniczym obiektem na głębokiej wodzie, kiedy brat kręci się obok i przygaduje:

- Masz gila.
- Zamknij się.
- Wisi ci wielki zielony gil.
- Nie wisi. Spadaj.
- Właśnie że wisi.
- Odpieprz się. Spływaj!

Chuderlawy tors wygina się do tyłu w łuk. Ohydne sine usta znikają pod powierzchnią. Liam kopnięciem spryskuje mi wodą twarz i odpływa do koszmarnych chłopaków w drugim końcu basenu.

Natalie też tam z nami chodziła, gruba dziesięciolatka z rzadkimi włoskami na wzgórku łonowym, jak te, które sterczą z brody staruszki – przy każdym skoku do basenu gubiła dół od bikini. Kiedy cztery lata później spytałam Liama, czy z nią b a r a s k o w a ł, spojrział na mnie z dystansem, którego nie umiałam pokonać.

Dzisiaj umiem.

Bo dzisiaj wiem, że spojrzenie czające się w oczach Liama było spojrzeniem człowieka, który wie, jak bardzo jest samotny. Bo świat nigdy się nie dowie, co cię spotkało ani co w związku z tymnosisz w sobie. Nawet siostra – poniekąd jego wybawicielka, która stanęła w świetle holu – nawet ona nie pamięta tego, co zobaczyła. Bo na tamtym etapie wszystko już chyba zapomniałam.

Przez następne dwadzieścia lat wokół nas zachodziły zmiany, a ja zapamiętałam pana Nugenta. Ale nigdy nie zinterpretowałabym inaczej tego wspomnienia – gdybym nie słuchała radia, nie czytała gazet ani nie wiedziała, co się dzieje w szkołach, kościołach i w domach. Wszystko rozegrało się na moich oczach, a i tak do mnie nie dotarło. I nad tym też bardzo ubolewam.

26

Emily kieruje na mnie swoje kocie oczy.

- Jak wujek Liam umarł? – pyta.
- Utopił się – odpowiadam.
- Jak się utopił?
- Przestał oddychać pod wodą.
- W morzu?

– Tak.

Wszystko trzeba szczegółowo wyjaśnić – Emily musi najpierw rozmontować świat, zanim ponownie go wzniesie. Umysł Rebecki jest bardziej skomplikowaną maszyną, niepokój pchają naprzód. Czasem wołałabym, żeby umiała się skupić, ale ktoś może powiedzieć, który sposób życia jest lepszy?

– A ja umiem pływać – komentuje Emily.

– Owszem, umiesz, świetnie pływasz.

– Wujek nie umiał?

– Kochanie, raczej nie chciał.

– Ojej.

– Przytulić cię?

– Nie.

– Nie co?

– Nie, dziękuję.

– A ja bym chciała, żebyś mnie przytuliła. Chodź i przytul się do swojej biednej mamy.

Podchodzi z wyciągniętymi rękami i wielkim udawanym uśmiechem, żeby odegrać pantomimę dla „biednej mamy”. Powinna uznać ją za egoistkę, ale nie uznaje – bo uważam, że jest w tym egoizmie piękna.

– Według mnie każdy ma prawo się zabić – mówi, wtulona w moją pierś. – No wiesz, kiedy się zestarzeje.

Trudno pamiętać, że nie chcą nikogo skrzywdzić – a w każdym razie krzywdzą nieświadomie. Odsuwam ją od siebie i mówię zażalonym, z awstydającym głosem:

– Emily, wuj Liam nie był stary, ale chory. Słyszysz? Wujek Liam był chory na głowę.

Nie wstaje z mojego kolana, tylko przeciąga paznokciem po gładkim nylonie na moich udach.

– Miał coś w rodzaju choroby morskiej?

– Nieważne, daj już spokój.

Podskakuje, żeby mnie objąć, a jej zwycięstwo wymazuje wszystkie moje zmartwienia. Po czym ucieka do zabawy.

Cały tydzień układam wielką, poetycką mowę do córek o tym, jak małe myśli kłujące się w głowie mogą tak się rozrosnąć, że pochłoną cały mózg. Te malutkie myśli przypominają raka, bo trudno powiedzieć, co powoduje ich rozwój ani w kogo uderzą i dlaczego jednych nachodzą, a innym zostają oszczędzone. Nie zrozumcie mnie, proszę, źle, bo popieram smutek. Popieram zwykłe funkcjonowanie mózgu. Ale czasem miarka się przebierze, jak małemu drewnianemu ptaszкови zsuwającemu się po drążku – kiedy przebierze się miarka, p a c h , i zaglądamy do kieliszka.

27

Miesiąc po pogrzebie Tom wraca jak zwykle do domu, rzuca kurtkę na kanapę, odstawia teczkę, wchodzi do jadalnego, rozluźnia krawat, zdejmuje marynarkę, wieszka na oparciu krzesła; podchodzi do blatu pośrodku, żeby wziąć sobie owoc z misy, a ja myślę „Liam nie umarł, to niemożliwe, wszystko jest jak dawniej”. Ale mówię:

– Przeleciałbyś wszystko, co się rusza.

– Co takiego? – pyta.

– Po prostu nie wiem, od czego się zaczyna i na czym się kończy – odpowiadam. – Przeleciałbyś dziewiętnastoletnią kelnerkę albo piętnastolatkę, która wygląda na dziewiętnaście lat.

– Słucham?

– Po prostu nie wiem, gdzie jest próg. Nie wiem, gdzie sobie stawiasz granice. W wieku dojrzewania? Dziewczynki teraz czasem dojrzewają już w wieku dziewięciu lat.

– O czym ty mówisz? – pyta.

– Niekoniecznie o samym pieprzeniu, ale o twoim pożądaniu. O pragnieniach. Stawiasz sobie jakieś granice, z kim chciałbyś się pieprzyć?

Oszalałam.

– Chryste Panie! – woła Tom.

Zrywa marynarkę z krzesła i rusza z powrotem do drzwi wejściowych, ale wykazują refleks, dobiegam do nich przed nim, chwytam zasuwę.

– Nigdzie nie pójdziesz – decyduję.

– Z drogi.

– Nigdzie nie pójdziesz. To ja wychodzę. To ja sobie, cholera, skoczę do pubu.

Otworzyłam już drzwi, dochodzi więc do żalostnej szarpaniny i szamotaniny na ganku (Dzień dobry, Booterstown!). Tom reflektuje się, że zaraz mógłby mnie uderzyć, dlatego podnosi ręce do góry. To jest chyba odpowiedź na moje pytanie o jego pragnienia i czyny, a także rozdźwięk między nimi. Gdybym ją chciała zauważyć, ale nie chcę.

– Odwiesz rano dziewczynki – oznajmiam.

Bo do tego sprowadzają się wszystkie nasze wielkie emocje, kto odwozi i kto gotuje owsiankę – przynajmniej tak było dawniej, dopóki nie dałam za wygraną i nie spróbowałam uratować swojego małżeństwa, biorąc wszystkie obowiązki na siebie. Chryste Panie, ale ja potrafię być zgryźliwa.

– Jak to „rano”?

Świdruję go wzrokiem. Tom podnosi rękę do ust, jak gdyby coś mu tam uwięzło, co daje mi chwilę na to, żeby przekroczyć próg i cofnąć się na podjazd.

– Dokąd idziesz? – pyta.

– Nie wiem – odpowiadam.

Po czym jadę do pubu Shelbourne, z kartą kredytową w zanadrzu.

Popelniam błąd.

W pubie roi się od gości, którzy się świetnie bawią. Siedzą, piją, rozmawiają, śmieją się. Dosłownie z nich kipi – cokolwiek to jest. Najwyraźniej są w swoim żywiole. W kącie pije Dickie Kennedy, i przypomina mi się historia o tym Jak zdobył żonę za „ucieczkę z domu rodzinnego”. Za jednym zamachem zyskał więc żonę i dom.

Powinam była włożyć jasnozieloną tweedową spódnicę, opinającą się na udach – żeby im pokazać. Powinam tu siedzieć w eleganckiej obcisłej sukience. Takie myśli zaprzętają mi teraz głowę na krawędzi małżeństwa (a może zdrowych zmysłów) w pubie Shelbourne – w innym stroju czułabym się zupełnie inaczej.

Siedzę, popijam dżin z tonikiem ze szklanki z grubym dnem i uświadamiam sobie, że taka kobieta jak ja nie za bardzo ma dokąd pójść. Nie ma tak wielu możliwości.

Dwa lata temu dostałam list od Ernesta. Chciał mnie zawiadomić, że porzuca stan kapłański, chociaż postanowił zostać w swojej małej szkole w wysokich górach. Ponieważ biskup na pewno powiedziałby mu do słuchu, postanowił nie informować o tym biskupa – a w istocie nie mówił nikomu poza gronem przyjaciół i rodziny (tylko nie mów mamie!), że przestał być „ojcem Ernestem”, a jest jak dawniej po prostu „Ernestem”, Księdzem zostaje się, oczywiście, na zawsze – dlatego milczą, właściwie nie kłamał. „Nie mam gdzie mieszkać, jak tylko we własnym sercu” – napisał, przez co chciał powiedzieć, że będzie żył tak jak dawniej, tyle że zmieni się w środku.

Uważałam, że nigdy nie słyszałam nic głępszego, dopóki, siedząc na stołku przy barze w Shelbourne, nie zaczęłam się zastanawiać, co by się stało, gdybym, nie zmieniając nic w dotychczasowym życiu, nie mówiąc nic nikomu, po prostu uznała, że nie jestem już żoną.

Zastanawiałam się też, ile osób w moim otoczeniu mieszka, sypia i śmieje się ze swoimi małżonkami na takich właśnie zasadach. Ciekawe, czy są bardzo smutni. Chyba, sądząc z wyglądu, nie bardzo. W ogóle nie wydają się smutni.

Ostatni raz widziałam Dickie Kennedy’ego w jego niesamowitym domu w Glenageary. Było to po urodzeniu się Rebecki. Boże, jaki był z niego gbur.

– Widzę, że Brian musi mieć ręce pełne roboty – powiada, kiedy jakaś nieszczęsna kobieta wygładza sobie spódnicę na grubym tyłku, bo widocznie nie umie inaczej wyjść z pokoju.

Słuchamy go, jedząc risotto pieczarkowe, a potem morszczuka w zielonym sosie. Jedzenie jest pyszne. Emer, która wszystko przyrządziła, ma skórę stwardniałą od nadmiaru słońca i kremu. Przyciąga mnie jej dekolt w szpic, kiedy wzrusza ramionami i wszystko jej się tam trzęsie i marszczy. Zadaje mi kilka pytań, w dodatku niegłupich, a ja odpowiadam, i tak nam mija obiad ku zadowoleniu wszystkich zebranych. Naprawdę jest bardzo dowcipna. Trochę się upija. Opowiada o naszej wspólnej znajomej, która rozebrała się do pasa w gabinecie Dickiego: „Nie wyobrażacie sobie, jaka jest ohydna i jaką ma bieliznę, aż wrócił do domu roztrzęsiony”. Zaśmiewamy się. Po czym rozjeżdżamy się do domów.

Nawet Tom potem się w samochodzie wzdraga, jakby nie mógł uwierzyć w to, co nas tam spotkało.

– O co w ogóle chodziło?

Kiedy wracam do domu, po odwiedzeniu opiekunki do dzieci, Tom siedzi po ciemku w salonie i dopija butelkę whisky.

A może to było kiedyś indziej. Przez jakiś czas wszystkie wieczory mi się zlewały.

– Zapalić ci światło?

– Nie, dziękuję.

– Idziesz do łóżka?

W kółko to samo. Po kilku kieliszkach, chociaż czasem nawet na trzeźwo, odgrywamy naszą grę w nieszczęście; nie ma temu końca. W jednym rytmie. Koło się zacieśnia. Wracamy tak wciąż od nowa.

– Nie, jeszcze chwilę posiedzę.

– Twoja wola.

– Tak.

Szarpimy się tak: chodź, opowiem ci, jak bardzo cię nienawidzę; zaczekaj chwilę, zaraz cię porzucę. Przez cały czas mamy świadomość, że omijamy sedno sprawy. Wiem, co jest nim teraz, bo na górze nasza córeczka krzyczy przez sen. Idę do niej.

– Dziękuję – mówi mąż.

– Za co?

– Za to, że ze mną zostałeś.

– Bój się Boga!

– Naprawdę ci dziękuję.

Albo przerabiamy podobny scenariusz – rzadko krzyczymy na siebie, po prostu się nienawidzimy.

– Zaraz wracam – mówię.

Pewnego wieczoru – może nawet tego wieczoru po morszczuku w zielonym sosie, tłustej żonie Briana i brzydkiej kobiecie w ohydnej bieliźnie, a także wszystkich wygranych i przegranych – Tom wyjmuję papierosa z ust. Podnosi go wysoko pod moją brodę, po czym miażdży w pięści. Kiedy otwiera znów dłoń, rozchodzi się ohydny zapach.

Natychmiast rozjaśnia mi się w głowie.

Jeżeli pójde na górę do Rebecki i ją pocałuję, będzie szczęśliwa. Jeżeli usiąde na poręczy fotela i pocałuję Toma, nie będzie szczęśliwy. Zostaję więc z nim jeszcze tylko chwilę, w osmalonym zapachu jego obrzydzenia do siebie. Tulę jego głowę do piersi. Trzymam go tak, dopóki wycie Rebecki nie osiąga tego pułapu, przy którym zawsze zrywam się na równe nogi. Wtedy wychodzę.

Nasz związek uratowały, przynajmniej na jakiś czas, dzieci. Tom chyba przestał mnie nienawidzić, kiedy rzuciłam pracę. Sam, oczywiście, nigdy by nie potwierdził, że mnie nienawidził, lecz upierałby się, że przez cały czas mnie kochał. Ale ja na pierwszy rzut oka rozpoznam nienawiść. Rozpoznaję, bo jakaś część mnie pragnie nienawiści.

Widocznie taka już jestem.

Mniejsza z tym.

Z upływem lat sytuacja trochę się polepszyła, ale nigdy nie została do końca załatwiona.

Myślałam o tym wszystkim, siedząc w barze Shelbourne – że żyję w cudzysłowie. Mogłabym wziąć kluczyki, wrócić do „domu”, w którym czekałby mnie „seks z mężem”, bo tak żyje mnóstwo osób. Sama tak żyłam latami. I najwyraźniej nie przeszkadzał mi ten cudzysłów ani nawet nie zauważyłam, że tak żyję – aż do śmierci mojego brata.

28

Dochodzę do wniosku, że Brytyjczycy chowają ludzi dopiero wtedy, kiedy są już tak martwi, iż powinni się nazywać inaczej. Tak długo czekają na pogrzeb, że potem ludzie przychodzą nie po to, aby obchodzić żałobę, ale by wyrazić żal, iż ciało jeszcze zalega. Przez telefon mówią, że jest kolejka (bo Brytyjczycy uwielbiają kolejki). Zbierają się dopiero wtedy, kiedy już znikną wszelkie emocje.

Jak inaczej zinterpretować owe dziesięć dni, które musimy czekać na stosowne dokumenty; akt zgonu i zgoda na wywóz zwłok, załatwiane osobno, muszą trafić do jednej koperty, która będzie towarzyszyła mojemu bratu w drodze powrotnej do domu.

Tymczasem, kiedy komputery czekają, a drukarki się blokują, kiedy asystenci koronera znikają na siłowni, a urzędnicy zmagają się z awarią centralnego ogrzewania, Liam leży w bliżej nieokreślonej zagranicznej chłodni, a ja – my wszyscy – żyjemy w zwykłym rytmie. Kiedy krzątam się po domu, raz na jakiś czas paraliżuje mnie myśl, że o czymś haniebnie zapomniałam: a to że tampon puszcza kolor w toalecie na dole; a to, że zostawiłam pół ciasteczka na poręczy fotela, a to, że nie dopiłam herbaty. Czuję rosnący chłód w ustach, rozglądam się i w końcu znajduję pustą filiżankę.

Codziennie jeżdżę do Griffith Way, żeby odwiedzić mamę, a towarzyszy mi przy tym Bea, jeżeli właśnie jest w domu, albo Kitty. Rozmawiamy o codziennych sprawach. Albo sadzamy ją przed telewizorem i wychodzimy do kuchni, gdzie Kitty – podobnie jak my wszystkie – sprawia wrażenie skurczonej, zakłajstrowanej. Jestem wstrząśnięta ilością potrzebnych nam kosmetyków, bo wszystkie jesteśmy wymuskane i wytapetowane, tak że nie ma ani centymetra wolnej powierzchni bez matu albo połysku. Tak to wygląda, jak się wróci w średnim wieku do domu dzieciństwa, w którym teraz, pominąwszy najlepsze chwile, znów jesteśmy traktowane jak dzieci, i to nie tyle przez matkę, ile przez śmierć. Z tym że teraz jesteśmy bardzo grzeczne.

Jestem grzeczną córką. Jestem bardzo grzeczną córką. W jakimś mieszczańskim odruchu jadę do Kilkenny Design i kupuję mamie piękny kremowy ażurowy szal z kaszmiru.

Wyjmuje go z torby, oczarowana przez chwilę myślą, że będzie wyglądała jak starsza pani oderwana od telewizora.

Czyli takie prezenty dostaje matka, kiedy umrze jej dziecko.

Pozwala nim siebie otulić, ale jej przygarbione ramiona go odrzucają, podobnie jak zaciśnięte zęby. Zdejmuje go, kładzie sobie na kolanach i mówi:

– Piękna byłaby z niego narzutka do chrztu, prawda? A Ciara spodziewa się dziecka.

Bo chociaż nie bardzo nas poznaje na żywo, w myślach zawsze liczy swoje potomstwo i jego potomstwo aż do trzeciego pokolenia; z przyjemnością i łatwością żongluje wszystkimi imionami.

– Będzie rodziła w lutym, prawda? A w lutym jest bardzo zimno.

Wszystkie dzieci w rodzinie Hegartych są ochrzczone, bo w przeciwnym razie odarlibyśmy tę kobietę z jej prawowitej własności, czyli skarbczyka dusz – wszyscy maszerujemy potulnie do chrzcielnicy i podajemy swoje dzieci. Niby nie moja sprawa, ale uważałam, że Jem przesadza. Kto wie, w co wierzą Hegarty'owie? Chory psychicznie Mossie w Wielkim Poście codziennie chodzi na mszę świętą, ale wiemy to tylko stąd, że mówi nam o tym w tych swoich stanach psychotycznych. Reszta z nas modli się w samotności.

Zabieram jej szal, składam i pakuję z powrotem do papierowej torby ze słowami:

– Mamo, może chociaż raz wzięłabyś coś dla siebie.

Patrzy na mnie z ukosa, jak gdyby chciała powiedzieć:

„Co? Chcesz, żebym była taka jak ty?”.

Nie rozumiem, co jest złego w byciu mną. Nie wiem też, czy lubiłaby mnie bardziej, gdyby pamiętała moje imię. Mama zawsze sobie wybierała, kogo z nas kocha, a kogo nie. Na pierwszy ogień szli, oczywiście, chłopcy, a po chłopcach co grzeczniejsze dziewczynki.

Ja nie byłam grzeczna. Nawet nie wiem, dlaczego. Nie chodzi o to, że robiłam coś złego. Po prostu nie nabierałam się, podobnie zresztą jak Liam. Nie nabieraliśmy się na tę całą ściemę Hegartych pod tytułem *biedna mamusia*.

Biedna mamusia przez pół dnia ogląda telewizję i będzie tak oglądała przed śmiercią i po śmierci wszystkich ludzi. Trudno zgadnąć, o czym myśli. Kiedy się odzywa, mówi o zdarzeniach sprzed lat, zanim którekolwiek z nas zjawiono się na świecie: o przygodzie z koniem mleczarza, o tym, jak podpaliła dywan w salonie w Broadstone, o tym, jak jej matka Ada pod koniec miesiąca z biedy gotowała gulasz składający się jedynie z warzyw – gulasz z dżungli, jak go nazywała, w którym marchewkę określała mianem „tygrysięgo mięsa”, a pasternak „wielbłądziną”.

Dom opustoszał i podupadł; stanowi labirynt przepierzeń, a między nimi przemykają duchy dzieci, którymi niegdyś byliśmy. Troje nie żyje – zaczynamy pomału przypominać normalną rodzinę. Jeszcze dwoje, a już naprawdę przybierzemy właściwy rozmiar.

Kiedyś był u mnie fachowiec do czyszczenia dywanów; opowiadał, że jest ostatnim dzieckiem z rodzeństwa liczącego dwadzieścia jeden dzieci. Wszystkie wielodzietne rodziny są takie same. Spotykam je czasem na przyjęciach lub w pubach; zaraz po przedstawieniu się sobie zaczynamy biadolić – Billy jest w Bostonie, Jimmy-Joe w Johannesburgu, dobrze im się powodzi – najpierw oplakujemy zmarłych, potem zaginionych, na końcu chorych psychicznie.

Zawsze się trafi jeden pijak. Zawsze się trafi ktoś molestowany w dzieciństwie. Zawsze się trafi ogromna kariera, z wieloma domami w różnych krajach, do których właściciel nikogo nie zaprasza. Zawsze się trafi tajemnicza siostra. To tylko mody, i jak każda moda ulegają zmianom. Bo nasze rodziny zawierają cały wachlarz przypadków, a późnym wieczorem wszystko nabiera sensu. Litujemy się nad naszymi matkami, ile musiały znosić w łóżku i w kuchni, nienawidzimy je albo czcimy, ale zawsze ich potrzebujemy – przynajmniej ja. Nieuchwytnie cierpienie mojej matki, na które zdążyłam się uodpornić. Wystarczy jednak jeden kieliszek za dużo, żebym rąbnęła pięścią w stół, podobnie jak pozostali, i też zaczęła ryczeć z jej powodu.

Oto co moja mama robiła latami:

1) Herbatę.

Przez całe życie zaparzyła tysiące imbryków herbaty – w gruncie rzeczy nie zajmowała się niczym innym. Zawsze się o nią kłóciliśmy. Midge gustowała w mocnej, parzonej; Ernest w słabej. Mossie lubił potrząsać imbrykiem, ale oblała mnie kiedyś Ita, bo machnęła nim przede mną – do dziś widzę, jak chlusta na mnie brunatna wstęga wody, czuję krechę bólu na brzuchu, a potem chłód bawełny, kiedy usiłowałam ją z siebie ściągnąć.

„Kto prosi herbaty?”

Aż dziw bierze, że wychowała tylko dwóch alkoholików z prawdziwego zdarzenia, którzy nadawaliby się do klubu AA. Wszystkich Hegartych mężczyzn natomiast pragnienie. Wszyscy zabijają się za porządną herbatą.

2) Potomków.

Większość dziewczyn stanowi u nas genetyczną ślepą uliczkę, za co nie ponoszą winy, ale Midge miała sześcioro – rodziła wcześniej i często; jej pierwszy poród zbiegł się w czasie z mamy ostatnim (choć to nie zawody). Jem ma dwoje ślicznych dzieci. Chory psychicznie Mossie ma troje ostrożnych dzieci, które nigdy nie opuściły domu rodzinnego w Clontarf.

3) Pieniądze.

Nikt nie miał porządnej pracy poza Beą, która jest kierowniczką w dużej agencji nieruchomości w mieście, a poza nią Mossie, anestezjolog (podejrzewamy, że pewnego dnia ktoś się z podanej przez niego narkozy nie obudzi). Ale reszta ma na swoim koncie jedynie eufemizmy. Ita jest „gospodynią domową”, Kitty „aktorką”, ja jestem „nocnym markiem”, Alicja „ogrodniczką”. Ivor i Jem pracują w „multimediach”, co stanowi największy eufemizm z całej rodziny. Ernest jest „księdzem” (o reszcie nie wspomnę).

4) Heteroseksualistów.

– Wszyscy jesteście hetero? – zapytał mnie kiedyś mój kolega Frank z niedowierzaniem.

– Hmmmmm... – odpowiedziałam.

Midge? To już nieważne, prawda? Po śmierci przestaje się liczyć. Albo kiedy ktoś wyjdzie za menedżera pubu i kupi dom w Churchtown. Midge była matką; odkurzała, trzepała, panikowała, gromadziła cierpienia, zwłaszcza największe i ostatnie. Równie dobrze mogła być lesbijką, osobą heteroseksualną albo pieprzyć się z owcami, takie myśli napawają mnie teraz zbytym smutkiem. Pragnienia Midge nigdy się w najmniejszym stopniu nie liczyły. Co do pozostałych: połowa chłopaków Bei to geje, ale ona chyba nie jest lesbijką. Ernest żyje w celibacie. Kitty sypia z wieloma facetami, każdego z nich kocha, tyle że wszyscy są żonaci. Czy można to nazwać orientacją seksualną? Powinno się – mała zdzira. Pieprzy się tylko z niedosiężnym marzeniem.

O Alice nikt nic nie wie. Wszyscy natomiast wiedzą o bliźniakach, Ivorze i Jemie, którzy prowadzą bardzo przyjemne, normalne życie seksualne (hurra!) – i to, spieszę dodać, nie ze sobą, ale ze swoimi partnerami, jeden z nich z dziewczyną z Surrey, a drugi z miłym Niemcem, producentem radiowym.

Tymczasem mały Stevie, nasz aniołeczek, uprawia w niebie anielski seks, nago pośród zastępów cherubinów. Jest gejem na amen. Kiedy amorki się całują, głośno cmokają. Brzmi to, jak ich nazwa po włosku: *Putti. Putti. Putti.*

Nikt z nas nie jest normalny. Rzecz nie w tym, że Hegarty'owie nie wiedzą, czego chcą, lecz że nie wiedzą, jak tego chcieć. Ich pragnienia katastrofalnie zeszyły na manowce.

To właśnie czuję, kiedy patrzę do góry na schody prowadzące do pokoju, w którym wszyscy przyszliśmy na świat: czuję chaos naszego losu – a może nie tyle chaos, ile mglistość – bo żadne z nas nie potrafiło znaleźć własnej drogi. Pamiętam, jacy byliśmy dumni. Jacy lojalni. I jak wszyscy trzymaliśmy się razem. Czy to nie wspaniale?

Zawsze wiedziałam, gdzie kto jest. Siadałam na parapecie w naszym pokoju, skulona opierałam się o cienką szybę i kontrolowałam cały dom: Ita w łazienkowym lustrze, Midge przy zlewie, Mossie drapie się w głowę nad otwartą książką do biologii, Liam przyjmuje gości w przejściu do ogrodu. Nawet wieczorem umiałam powiedzieć, kto gdzie jest: w każdym pokoju panował chłód i charakterystyczny stęchły odór, zsiadłe dni dominowały w zapaszku bijącym od mojego śpiącego brata; woń tabletek mamy w toalecie na górze, kiedy poszła się tam wysusiać.

Budzą się. Wracają do domu.

Bea, Ernest, Ita, Mossie, Kitty, może Alice i na pewno bliźniaki Ivor i Jem.

Będą się kłębić w górze, w przepastnych czeluściach samolotów. Ivor przyleci z Berlina, Jem z Londynu, Ita z Tucson, tajemnicza Alice Bóg wie skąd. Może nawet ojciec Ernest w prążkowanym ludowym kapeluszu z Limy przez Amsterdam.

Zlot Hegartych. Boże, miej nas w opiece.

Zachowamy się jak na Hegartych przystało. Okażemy odwagę, przyzwoitość i serdeczność, będziemy cierpieć i płakać. Nie będziemy sobie robić jaj, bo to nie w naszym stylu; najlepsze, że jeśli nawet coś się wywlecze z przeszłości, to nie ma na kogo zrzucić winy. Pochodzimy z hodowli na wolnym wybiegu. Jesteśmy ludźmi obnażonymi w swoim człowieczeństwie. Po prostu jednym udaje się lepiej, innym gorzej.

29

Ciało jeszcze nie dotarło.

Tom zostawia na kuchennym stole dodatek o nieruchomościach, z zaznaczonymi i zakreślonymi lokalami w centrum opuszczonymi przez właścicieli. Podkreśla „Do remontu”. Chyba ma na myśli mnie. Myślę sobie: „Dzięki, Tom – jak można być tak wielkodusznym, kiedy komuś umrze szwagier”.

Jadę wymienić szal mamy i pokręcić się po mieście, ale już po chwili płacząc na schodach ruchomych u Brown Thomasa, a przecież to tylko sklep. Płacząc dlatego, że mogłabym tam kupić wszystko. Mogę kupić pościel albo łóżko. Modne dzinsy dla dziewczynek albo żakiet Miu Miu dla siebie, jeżeli nie będę wyglądała w nim za grubo. Plastikowe pojemniki Brabantia – oglądam je teraz na trzecim piętrze – do makaronu, ryżu, soczewicy, pestek dyni i innych suchych produktów, zwłaszcza takich, których się nie gotuje i w ogóle nie używa, a które trzymam na górnej półce. Próbuję liczyć. Czy powinnam kupić sobie pojemnik na mąkę kukurydzianą leżącą w sklepowym opakowaniu od pięciu lat i czekającą na dzień, w którym przydadzą się nam wszystkie zapasy? Albo na ciecierzycę? Pojemniki są za pół ceny. Szacuję, że przydałoby mi się dziewięć. Piętrzę cały ich stos w zagięciu lewej ręki i znów tryskają mi łzy, bo wyobrażam sobie, że przez powódź, zarazę lub bombę atomową siedzimy uwięzieni w domu i musimy jeść mąkę kukurydzianą, która ma pięć lat. Jeśli mnie ktoś zapyta, odpowiem, że wyję o koniec świata, I nagle nachodzi mnie ochota, żeby wyrzucić dziewięć pojemników Brabantia w powietrze i zacząć krzyczeć albo podejść do kasy, wysypać zawartość torby na ladę i zapytać: „A co z głodującymi w Afryce, którzy mają wzdęte brzuchy i zaropiałe oczy?”, bo mogę kupić w tym sklepie, co mi się żywnie podoba. Właśnie umarł mój brat i mogę kupić, co mi się żywnie podoba.

– Powinnaś mieć w życiu jakieś wyzwanie – oznajmiła uroczyście Rebecca, kiedy miała osiem lat.

– Owszem. Dlatego mam ciebie – mówię.

Czy moje córki są grzeczne? Czy są przyzwoitymi osobami? Z grubsza tak. Chociaż Emily jest po trosze kotem, a ja uważam, iż koty skaczą człowiekowi na kolana tylko po to, aby sprawdzić, czy wystygł już na tyle, żeby nadawać się do zjedzenia.

Czasem myślę o Michaelu Weissie – czy on też się poddał, ma wymagającą żonę i dzieci prowadzące wymarzone mieszczańskie życie, a przy tym żyjące bardzo z a c h ł a n n i e, tak jak moje córki: Podejrzewam, że dałby sobie radę; że udźwignąłby ten różowy świat, polubił Barbie, choć może nie za bardzo, i albo je kupował, albo właśnie nie.

Noga Liama nigdy nie powstała w sklepie.

Dlatego, na cześć Liama, odkładam pojemniki i wracam do domu, pokazując mu, dopiero teraz, po jego śmierci, wszystkie zmiany.

– Zobacz, jakie nam tu zamontowali latarnie uliczne! – mówię.

Słucha bez przekonania.

Robiłam to jeszcze za jego życia: pokazywałam mu wszystkie drobne zmiany i uciążliwości, parkingi na osiedlach, korki na ulicach, siedem milionów pomarańczowych pachółków między naszym domem a Kinnegad, wszystko to pokazywałam mu, bo mieszkał osiemset kilometrów od domu. I chociaż wracał do domu sporadycznie, a na urlop zawsze jeździł na zachód, wszystkie te zmiany go omijały. I chociaż żadna z nich nie miała większego znaczenia, było mi smutno, że tak go to wszystko omija. Liam zatrzymał się na latach siedemdziesiątych. Może w rzeczywistości był większym kosmopolitą od nas wszystkich – kiedy gotował curry w Londynie, przyjaźnił się z mnóstwem fantastycznych osób, ale kiedy przyjeżdżał do domu, zawsze czuł się trochę jak relikw, jak wieśniak.

Mój brat emigrant jest teraz staroświeckim duchem, a kiedy umarł, dałam mu do trumny znoszone kalosze, bo irlandzkie lata siedemdziesiąte przelały się w mojej głowie w lata pięćdziesiąte.

30

W domu spodziewam się tłumów, tymczasem Bea w drzwiach kręci z lekka głową.

– Właściwie jesteście we własnym gronie – mówi.

– Przyszło tylko kilkoro sąsiadów.

A czego się spodziewałaś? – ciśnie mi się na usta.

– Kto ci przyjdzie, żeby oglądać w salonie nieboszczyka, skoro w domu nie ma nawet kieliszka porządnego wina?

Ale nic takiego nie mówię. Za mną stoi Tom. Trzyma mnie za łokieć, którym steruje jak joystickiem, żebym wyminęła siostrę. Zirytowałoby mnie to, gdyby ten jego gest nie był tak staroświecki. W naszych czasach nikt tak nikogo nie prowadzi, poza Frankiem, kolegą z pracy, który był gejem, ale też już nie żyje.

– Wszystko mamy w oczach – powiedział kiedyś, kiedy wprowadził mnie na jakieś okropne przyjęcie w firmie. „Biedny Frank – myślę. – Dlaczego po nim nie płakałam?” I nagle postanawiam, że zmienię dywan na górze, bo wiem, że Frank na pewno by mnie poparł. Muszę znów zamówić sprzątaczkę, żeby usunęła nagromadzone kłęby kurzu. Od razu przypominam sobie o astmie Rebecki – bo zawsze w takich chwilach mi się przypomina – i jeszcze o niej myślę, a już zauważam, że przede mną we frontowym pokoju leży nieboszczyk Liam.

„Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali?”

Mam w oczach kolor nowego dywanu, o jaki mi chodzi. Szary brąz w kolorze drewna wyrzuconego przez morze.

„Dlaczego wciąż za mną chodzisz?”

Pokój prawie opustoszał. Nie mam z kim porozmawiać o płucach dzieci, kolorze dywanu, falach, splotach, trawie morskiej ani o procentowej zawartości wełny. Żywy czy umarły, Liam nie przejmuje się takimi sprawami. Siadam. Ubrali go w granatowy garnitur i niebieską koszulę – jak policjanta. Na pewno by mu się spodobało.

Kto go ubierał?

Młody angielski grabarz, z pełnymi ustami i przekłutym uchem; rozmawia przez komórkę z dziewczyną, a jednocześnie podnosi ciężką głowę, żeby zawiązać nieboszczykowi na szyi krawat.

Jestem pewna, że garnitur znajdzie się na fakturze.

Sądziłam, że trumna będzie stała w poprzek pokoju, ale nie ma tu tyle miejsca. Liam leży z głową zwróconą w stronę zaciągniętych zasłon, za nim stoją w wysokich świecznikach świece. Z miejsca, w którym siedzę, nie widzę wyraźnie jego twarzy. Krawędź drewnianej trumny zjeżdża w dół, przecina jego wystający policzek. Widzę wklęsnięcie w czaszce, gdzie powinny być oczy, ale nie wstaję, żeby zobaczyć, czy wklęsnięcie jest odpowiednio wypełnione i czy powieki są zamknięte. Wystarczy mi na razie widok zarysu jego czaszki, za resztę piękne dzięki.

Fotele i kanapę odsunięto pod ściany, ale pani Cluny, która zatopiła się w modlitwie, woli siedzieć na krześle przyniesionym z kuchni. Pod drugą ścianą czuwa Kitty na wypadek, gdyby jakiś żałobnik pozostał sam na sam z ciałem lub gdyby ciało zostało samo, co w obu przypadkach byłoby niestosowne. Przygląda mi się, kiedy siadam na poręczu kanapy i przewraca oczami. Po chwili podchodzi i pyta cicho:

– Zostaniesz?

– Nie – odpowiadam.

Nie rozumie. Wszystko się dla mnie teraz skończyło, więcej niż skończyło. Byle tylko pogrzebać to cholerne ciało i mieć to z głowy.

- Sprowadzę Itę albo kogoś – proponuję. – Nie, ja nie mogę. Mam dzieci.
- A, dzieci – powtarza, trochę za głośno.
- Żebyś wiedziała, dzieci.

I jak na zawołanie w pokoju nagle zjawia się Rebecca, podchodzi do mnie tyłem, żeby w końcu usiąść mi z impetem na kolanach.

- Gdzie ojciec?

Oglądam się za siebie, widzę, że Emily, z oczyma utkwionymi w trumnie, szarpie kłankę drzwi i kopie butem w pomalowaną powierzchnię.

- Przestań – proszę.

Nie przestaje.

- P r z e s t a ń rysować drzwi babci.

Dopiero wtedy dociera do mnie, gdzie się znajdujemy.

- Już dobrze – mówię. – Wujek nie żyje.

Po namyśle stwierdzam, że mogłabym jej powiedzieć coś bardziej podnoszącego na duchu.

Z nagłym majtnięciem szkockiej spódniczki i pszenicznych włosów Rebecca podbiega do drzwi, obie znikają. Słyszę, jak śmieją się w holu, a potem wbiegają na schody, chociaż nie powinny biegać na górę. Wściekam się na Toma, który nalegał, żebyśmy wzięli dziewczynki, a teraz w ogóle się nimi nie zajmuje, chociaż w domu leży nieboszczyk. Znowu następuje wyciszenie, a ja dopiero po jakimś czasie zauważam, że Kitty wyszła i że jestem jedyną żywą przedstawicielką rodu Hegartych w tym pokoju. Nie wiem, jak długo utrzymuje się ten stan rzeczy, ale mnie czas się dłuży, kiedy nasłuchuję histerycznych szeptów dziewczynek dochodzących z góry – związana z nimi, gdziekolwiek pójda, związana również z tym rupieciami we frontowym pokoju. Z głębi domu dobiegają rozmowy osób, których nie chcę spotkać, dlatego nie ruszam się z miejsca i postanawiam nie narzekać.

W takim stanie zastaje mnie Ernest, kiedy wchodzi do pokoju prosto z lotniska. Jest niezaprzeczalnie sobą – dopiero po chwili przestaję widzieć w nim starszego brata i cofam się o krok, żeby zobaczyć, jak teraz wygląda. Stwierdzam, że całkiem nieźle. Nieważne, że ubranie ma w nieco opłakanym stanie, kurtkę z kapturem i spodnie z tworzywa sztucznego, ale ma dużą, zdrową głowę i wyprzystojniał z wiekiem. Odnajduję w nim lśniąca w blasku świec łysinę i dwie wielkie dłonie dziadka Charliego, którymi chwyta teraz moją dłoń, a ja, stojąc w objęciach Ernesta, nie wiem, czy to uścisk księżowski czy dziadkowy – w każdym razie w grę nie wchodzi tu biust, bo w tym uścisku mój mały biust nie zawadza.

Jak Ernest to robi?

Na tym polega jego praca. Mój brat ma wyćwiczone serce; współczucie to jego siła; zawsze przekrzywia głowę, kiedy kogoś słucha. Prawie nie patrzy na trumnę, ale zagląda mi w oczy. Potem odwraca się nieco w stronę ciała.

– Nie mów innym, że przyjechałem, dobrze? – prosi. – Jeszcze nie teraz.

I skinieniem głowy wysyła mnie za drzwi. Za to też go oczywiście nie znoszę, za tę jego księżowską bezpośredniość – w istocie obłudę. Ale w dzieciństwie Ernest zawsze odnosił się do mnie miło. Dzieliła nas właściwa różnica wieku.

W holu nasłuchuję głosów dobiegających z kuchni – przesadny amerykański akcent musi należeć do Ity. Żona Mossiego ucisza swoje idealne dzieci.

Odwracam się i idę na górę, żeby znaleźć swoje.

– Rebecca! Emily!

Schody są wąskie i bardziej strome, niż je zapamiętałam. Z góry słyszę ich śmiech, jakby dzieci pochowały się w gałęziach drzewa, ale kiedy wchodzę na podest, już ich nie ma.

Dawno tu nie byłam. To było piętro dziewczynek: pokój Midge, Bei i Ity w głębi; mój, Kitty i Alice z przodu, z widokiem na kwitnącą wiśnię, ukośne czarne druty i białe światła ulicy. Wtedy nie wydawał mi się wcale mały. Na łóżku leży torba podróżna Kitty, dwa pozostałe stoją puste. Wokół okna labirynt półek i drzwiczek szafek, które ojciec zbudował nam z białych prefabrykatów. Na jednej półce stoi kilka pozostawionych szkolnych książek; żadna po angielsku – może dlatego ich nie wyrzuciliśmy. *Das Wrack* Siegfrieda Lenza i opowiadania Guy de Maupassanta, jedno pod tytułem *La Mer*, w którym, jak pamiętam ze szkoły, marynarz przechowuje swoją obciążoną rękę w beczce soli, żeby przywieźć ją do domu. Książki wyglądają na wyświechtane, co wcale nie musi oznaczać, że ktoś je czytał, ale je czytaliśmy:

Tá Tír na nóg ar chúl an tí

Tír álainn trína chéile

Odwracam się i widzę moje córki w drzwiach.

– Chodźcie na dół.

Na co te dzieci, które nigdy mnie nie słuchają, posłusznie schodzą przede mną po schodach. Na dole Rebecca bierze mnie za rękę i prowadzi do kuchni jak zbłąkanego olbrzymia, którego znalazła w holu.

Mossie robił nam pewną sztuczkę z dłońmi. Ścisnął kostki przegubów rąk i ocierał je o siebie tam i z powrotem, dopóki nie zaczynało się wrzeszczeć. Stoi teraz w kuchni z Tomem przy stole: dwóch profesjonalistów w jednym pomieszczeniu, prowadzą męską rozmowę. „Dlaczego mężczyźni nigdy nie siadają”, myślę, po Czym uświadamiam sobie, że wszystkie krzesła są wyniesione do pokoju nieboszczyka. Rozglądam się. Ita opiera się o zlew. Wydaje mi się mniejsza. Nawet twarz jakby jej się zmniejszyła – może wygląda taka skurczona w świetle okna za jej plecami. Ale dobrze się trzyma, a kiedy ją całuję, mdli mnie na myśl o nawoskowanym cieple w drugim pokoju.

Bliźniaki obściskują mnie z obu stron – jak to oni, zawsze rozkoszni i nie bardzo widoczni. Rozglądam się za Kitty i widzę, że wyszła na dwór, pali papierosa w ogrodzie. Nigdzie nie widać tajemniczej Alice. Nagle przychodzi mi do głowy, że może zwariowała. Alice chyba zawsze była pomyłona.

Dzieci Midge stoją rzędem, z wdzięcznością odwracam się do nich, ale Bea piorunuje mnie spojrzeniem, odrzucając włosy za jedno ramię.

No dobrze, już dobrze.

Podchodzę do mamy, staję przy skrzydle jej fotela, kiedy sąsiadka kończy wygłaszać zwyczajową formułkę.

– Tak. Dziękuję. Tak.

Sąsiadka, pani Burke, pochyla się nisko i szepcze mamie do ucha jakiś wielki, wyjątkowy sekret; głaszcze ją przy tym po rękę.

– Tak – powtarza mama. – Dziękuję, tak. Kiedy pani Burke się oddala, podchodzę, żeby ucałować mamę.

Stało się. Siedziała przed telewizorem przez ostatnie dziesięć dni i czekała na coś, co zdarzyło się naprawdę. Zdruzgotało ją, jak się to mówi. Jakby rąbnęła w nią ciężarówka. Niewiele z niej zostało.

Mama, na co dzień mglista, teraz do końca przyblakła. Patrzę jej w oczy, usiłuję ją odnaleźć, ale ona strzeże tej resztki siebie ukrytej głęboko w środku. Patrzy na świat ze swojego odległego zakątka i pozwala na rozwój wydarzeń, nie bardzo rozumiejąc, co to takiego. Trudno powiedzieć, ile z tego rozumie, ale trwa w błogim spokoju.

– O, witaj – wita się ze mną, a z jej głosu przebija mglista miłość: do mnie, do stołu zastawionego jedzeniem, do wszystkich zebranych.

– Witaj, mamó – mówię i schylam się, żeby pocałować ją w policzek, a chociaż nigdy nie była dobra w całowaniu ani w przyjmowaniu pocałunków, nie odsuwa się ode mnie, tylko nadstawia policzek niczym debiutantka, żebym ją tam cmoknęła jak dziecko. Podejrzewam, że kompletnie mnie zapomniała, ale bierze mnie za rękę, ujmuję w swoje lekkie dłonie i podnosi wzrok.

– Zawsze byliście bardzo zżyci – mówi.

– Tak, mamó.

– Zawsze byliście bardzo zżyci, prawda? Byliście sobie bliscy.

– Dziękuję, mamó. Dziękuję.

Czuję ciepłą rękę Toma u nasady kręgosłupa. Przynajmniej tak mi się zdaje, ale kiedy odwracam głowę, męża tam nie ma. Kto mnie dotknął? Prostuję się i omiatam wszystkich wzrokiem. Kto mnie dotknął? Najchętniej zapytałabym na głos, ale Hegarty'owie, ich żony i dzieci znajdują się teraz w pewnej odległości ode mnie: przemieszczają się, rozmawiają i jedzą, nikt nie zwraca na mnie uwagi.

– Dobrze ci tu, mamó? – pytam już na odchodnym.

– Muszę zobaczyć dzieci – odpowiada.

– Co? – pytam. – Co takiego?

– Dzieci – powtarza. – Muszę zobaczyć dzieci.

– Dzieci są na górze, mamó – informuję ją. – Nie. Są tutaj. Pójdę ich poszukać, mamó. Znajdę je dla ciebie.

Wreszcie Tom staje u mojego boku. Schyla się, chcąc ująć dłoń mamy w geście niemego współczucia, po czym prostuje się, żeby znów wziąć mnie za łokieć i oprowadzić po pokoju.

– Byłeś już u niego? – pytam.

– On patrzy – mówi Tom, ale urywa. Po czym kończy: – Wygląda jak nie on.

– Bo ja wiem – komentuję.

Tom łapie mnie za rękę. Te jego palce są bardzo pewne siebie. Nie pozostawiają wątpliwości. Niedługo ten człowiek będzie mnie pieprzył, aby mi przypomnieć, że jeszcze żyję. A na razie mówi:

- Wygląda jak pośrednik handlu nieruchomościami.
- To przez tę koszulę – wyjaśniam.
- Ach, wszystkich nas to czeka.

Schodzą się dzieci: Rebecca, Emily i Róisín, czyli najmłodsze dziecko Mossiego – często widywane, rzadko słyszane. Urocza istotka. Mała staje przede mną i kołysze brzuszkiem z boku na bok.

– Nie przywitasz się z ciocią? – pytam. – Albo powiedz „dzień dobry”, albo zapiszcz jak myszka. Pi, pi.

I naciskam jej brzusek dłońmi starej wiedźmy. Po czym prostuję się i mówię cicho Tomowi:

- Mama chce zobaczyć dzieci.
- Jasna sprawa.
- Odwal się, dobra? – syczę.
- Co ty wygadujesz?
- Po co chce zobaczyć dzieci?
- No cóż – mówi Tom.

– Dzieci nie są od tego – rzucam ostro. Spogląda na mnie z nagłym zainteresowaniem, po czym odwraca dziewczynki za ramiona i popycha je w stronę babci.

– Pocałujcie babcię.

Dziewczynki stają przed moją mamą. Nie wykluczam, że Emily wytrze sobie jeszcze przy niej usta, bo nie znosi mokrych, jak je nazywa, pocałunków, lubi tylko suche, „takie jak tatusia”. Tym razem nie dochodzi do mokrego. Moja mama podnosi rękę i kładzie ją Rebecę na głowie, po czym odwraca się dystyngowanie i powtarza ten gest wobec Emily, która przyjmuje go z wybałuszonymi oczami.

Przyglądam się tej scenie ze sporej odległości. Zupełnie jakby nie łączyły nas więzy krwi. Ale w moich żyłach też się burzy krew.

- To od czego są? – pyta Tom.
- Od niczego – odpowiadam. – Po prostu są.

Mówię to z całą powagą.

Rebecca wraca do mnie. Ma w oczach łzy, zabieram ją na chwilę stamtąd na dwór. W drugim pokoju stoi trumna, dlatego nie mamy się gdzie podziać, musimy więc usiąść na schodach, a moja wrażliwa, kapryśna córka płacze mi na kolanach za czymś, czego nie rozumie. Po czym znów się koncentruje.

– Chcę do domu – mówi, nie podnosząc głowy.

– Już niedługo.

– To nie jest fair. Chcę do domu.

– Co nie jest fair? – pytam. – O co ci chodzi? Bliskość śmierci urąga jej, bo jest jeszcze taka mała.

Może psuje jej wyobrażenie o przynależności do zespołu dziewczęcego – w każdym razie tak mi się wydaje i nagle przychodzi mi do głowy, że powinnam doprowadzić ją do trumny, zmusić, żeby uklękła i zastanowiła się nad czterema rzeczami ostatecznymi.

Jezu, skąd ten pomysł? Muszę ochłonać.

– Rebecca, nie bierz tego tak do siebie. Ludzie umierają.

– Ja chcę do domu!

– A ja chcę, żebyś zachowała się trochę dojrzałej, dobrze?

I tak się ganiamy w kółko.

– Nawet go nie lubiłam – skamle na koniec z takim rozżaleniem, że zanoszę się śmiechem, aż ona przestaje płakać, żeby spojrzeć na mnie.

– Ja też nie, kochanie. Ja też nie.

Emily wyszła, żeby mnie poszukać, Tom za nią. Wstajemy, otrzepujemy się z kurzu i po raz ostatni oglądamy się za siebie. Mam przy sobie córki, u boku męża, i tak wracam na kolejny zjazd rodzinny; na każdym muszą obowiązkowo być kanapki z masłem i szynką, obkrojone ze skórki, sałatka kolesław z supermarketu i chrupki serowo-cebulowe na przekąskę. Są też parówki koktajlowe, quiche pocięty na kwadraty, sałatka owocowa dla Mossiego, który narzeka na tłuszcze nienasycone. Są krakersy Ritza z pastą łososiową i krewetką na czubku, inne z gałązką koperku na serku topionym. Jest hummus dla Kitty lub Jema, zależnie od tego, które z nich jest w tym tygodniu wegetarianinem, w tercie guacamole i tarama-salata z sosem. Jest mój wędzony łosoś, lasagne Bei i fantastyczna galaretka z torebki, która trzęsie się w małych szklanych salaterkach, zrobiona przez mamę z cichym namaszczeniem poprzedniego dnia wieczorem i odstawiona, żeby stężała.

Nie ma wina.

Nie, kłamię. Tym razem po raz pierwszy – może na cześć nieumiarkowanego picia Liama – na stole stoją dwie butelki: czerwonego i białego. Wszyscy wiedzą, że one tam są, tyle że nikt, ale to nikt ich nie wypije. Mossie usiłuje nalać kieliszek pani Cluny, lecz ta przepędza go torebką.

– Nie, nie tknęłabym – mówi. – Nie ma mowy.

Jak to miło dobiegać czterdziestki, myślę sobie, i rozsmakowuję się w musującej oranzadzie.

Jem idzie do drugiego pokoju po krzesła, Bea podaje talerze, rozkręcamy przyjęcie. Przez jakiś czas staram się mieć oko na dzieci, ale potem daję sobie spokój. Opieram się o ścianę i patrzę, jak moja rodzina je.

Kiedy byliśmy mali, Mossie upierał się, żeby jeść w milczeniu. Chętnie z nami siedział, jak twierdził, mogliśmy gadać, ile wlezie, ale nie tolerował mlaskania ani chłęptania, nawet jak ktoś raz cicho siorbnął, mógł oberwać od niego w głowę. Nie odrywał wzroku od stołu, lecz atakował szybko i w ciemno. Nie wiem, dlaczego się na to godziliśmy – widocznie nas też to bawiło – ale kiedy patrzę, jak moja rodzina opycha się wędlinami na stypie, nawet rozumiem jego stanowisko.

Szczególnie przykry widok przedstawia Ernest, żyjący w celibacie. Nawet nasza mama je nadspodziewanie łapczywie, jak gdyby przypominała sobie, jak to się robi. Jakieś raptowne wspomnienie każe jej się rzucać od jednego krakersa do drugiego, wchodzi innym w drogę, wywołując przez okamgnienie ich złość. Sąsiedzi nakładają sobie małe porcje, odstawiają talerze, by zaraz się zapomnieć i zmieść je do czysta. Mężczyzna, w którym pomału rozpoznaję stryja, wkłada sobie jedzenie grubymi paluchami do ust. Je szybko, rozbawiony elegancką aranzacją przekąsek, a przyświeca mu pragmatyczny cel, żeby najeść się do syta przed zapadnięciem wieczoru.

Tata pochodzi z hrabstwa Mayo – to znaczy wyjechał z tego hrabstwa, kiedy skończył siedemnaście lat. Liam miał sentyment do zachodniej Irlandii, ale tata chyba nie miał, bo ja na pewno nie mam. Mam za to sentyment do stryja Vala, a w każdym razie tak mi się zdaje. Patrzę teraz na niego i myślę, że jeśli wyteżę dostatecznie wzrok, moje dzieciństwo powróci, żeby wyjść mu na spotkanie. Chciałabym również zobaczyć, jakim jest mężczyzną, teraz, kiedy poznałam już tylu mężczyzn w szerokim świecie.

Val jest kawalerem po siedemdziesiątce, który został na gospodarstwie, czyli powinien z natury rzeczy być na wpół wariatem. Mimo to wygląda mi na wesołego człowieka. A przy tym niegłupiego. Charakteryzuje się tym, że zawsze robi tylko jedną rzecz naraz. Wyciera palce w papierową serwetkę, rozgląda się, gdzie ją odłożyć, a kiedy nie znajduje stosownego miejsca, mnie ją w garści i wpycha pod brzeg pustego talerza. Potem patrzy na któreś z nas, jak gdyby chciał zgadnąć, jak żyjemy: co już przeżyliśmy i jak skończymy. Stryj Val uwielbiał zakończenia. Zwłaszcza lubił samobójstwa. Zасыpywał nas historiami o sąsiadach, kto się zastrzelił, a kto powiesił. Opowiedział Liamowi o miejscowym nieszczęśniku, który zerwał się, kiedy żona odmówiła mu seksu, chwycił kuchenny nóż i wykastrował się na jej oczach.

– Ciachnął po całoci – dodał. – Całego hawana z bakami!

– Dzień dobry, stryjku – przywitałam się i podałam mu rękę, myśląc, że zaraz dostanę napadu strachu, jak tylko pocznę zapach jego ubrania.

– Veronica, prawda? Wyrazy współczucia. To był świetny chłopak. Chyba mój ulubiony.

– Tak – mówię.

– Zawsze był znakomitym kompanem.

– Tak.

Uzmysławiam sobie, że od siódmego roku życia kocham stryjka Vala.

– Zawsze lubił jeździć do ciebie w gości – mówię. – Uwielbiał te wizyty.

– No tak – mówi Val. – Staraliśmy się, jak mogliśmy.

Nagle przychodzi mi do głowy, że nie ja jedna próbowałam ratować Liama – ten człowiek też próbował, a teraz, uwięziony na swojej farmie w Maherbeg, zawsze będzie się czuł winny, że mu nie wyszło. Słowo „samobójstwo” po raz pierwszy zawisa w powietrzu – nawaliliśmy wszyscy. A zatem – dzięki Liam. Stokrotne dzięki.

Ita sięga za siebie i wyjmuję ze zlewu szklanekę wody którą sama tam wstawiła. Przez cały wieczór nie daje mi to spokoju – dlaczego ona ją tam trzyma? I wtedy dociera do mnie, że to nie woda, lecz dżin. Coś niesłychanego. Ita wygląda tak samo, jak wyglądała zaraz po moim przyjeździe, tyle że ma trochę bardziej opuchniętą twarz i zaciętą minę. I jeszcze ten nos, bez wątpienia inny, bardziej amerykański. Ita patrzy na nas wszystkich z nietajonym gniewem. Może dlatego, że wszyscy jesteśmy tacy brzydki. Chociaż nie powinnam narzekać – bo ja tak samo reaguję na usta Hegartych przeżuwających jedzenie.

Tymczasem wraca Tom i znów wdaje się w rozmowę z Mossiem.

– Jedyne przy zdrowych zmysłach w całej rodzinie – jak oznajmia mi rok w rok, w okolicy świąt Bożego Narodzenia. I to prawda, bo kiedy patrzę na brata, wydaje mi się bardzo normalny, ma miłą posadę, miłą żonę i rozsyła wszystkim miłe listy z informacjami, co się w jego rodzinie dzieje. „Witamy serdecznie na świecie małego Darragha!” Prawdę powiedziawszy, Mossie przez dwadzieścia lat nie dopuścił się żadnego szalonego czynu. Ale Liam za ścianą śmieje się tylko „ha, ha”, kiedy Tom, mój mąż profesjonalista, wdaje się z Mossiem, moim bratem profesjonalistą, w polityczną dysputę na temat dynamicznego rozwoju naszego kraju. „Jak cholera, ha, ha” – mówi nieboszczyk za ścianą.

Nagle mam ochotę się upić. Pomysł jest koszmarny, ale nie mogę się z niego otrząsnąć. Najchętniej pozbyłabym się męża i dzieci, żeby się raz urznąć, bo Bóg jeden wie, że nigdy dotąd nie urznęłam się na amen. Kitty z drugiego końca pokoju przewraca do mnie oczami. Ita! Przechodzę obok zlewu (bo alkoholicy zawsze się przydają, kiedy człowiek ma ochotę dobrze się zabawić).

– Przydałaby się nam butelka. Macie tu gdzieś butelkę schowaną na później?

– Sprawdzę – obiecuje Ita przez zaciśnięte zęby.

W pokoju następuje poruszenie. Czas się przenieść albo wracać do domu. Muszę szybko porozmawiać z córkami Midge, zanim siostra wyjdzie z dziećmi, niemowlakami i nieco większymi berbeciami. Siostrzenica Ciara jest w szóstym miesiącu ciąży i na twarz wystąpiły jej wypieki od gorąca.

Dotykam jej przedramienia, a ona skubie mnie w nadgarstek, bo ciężarne muszą dotykać i być dotykane, a ja z wielkim przejęciem pytam:

– Sypiasz? Dostałaś nowe łóżko?

Ciara głaszcze się po brzuchu, po czym wymachuje mi przed nosem rękami.

– Jezu, życie na futonie – mówi.

– Tego twojego faceta powinno się zastrzelić – mówę.

– Ma problem z kręgosłupem.

– Jasne, jasne – mówię i obie parskamy śmiechem, sprośnym, jak gdybyśmy rozmawiały o seksie.

Tom stoi obok i najwyraźniej delectuje się naszą rozmową. Odwracam się, żeby pożegnać stryjka Vala, którego wyprowadza ukradkiem pani Cluny, żeby przenocował po sąsiedzku. Kiedy Ciara zbiera się do wyjścia, Tom pakuje jej torbę z pieluchami i szukuje Brandona, jej kilkuletniego synka. Po czym wraca do mnie.

– Pamiętasz, kiedy chodziłaś w ciąży z Rebeccą – pyta – i nie chciałaś pojechać na cmentarz? Czyj to był pogrzeb? Nie chciałaś pojechać, żeby dziecko nie urodziło się z kabłąkowatymi nogami.

– *Cam reilige*.

– Co?

– Tak się to nazywa po irlandzku.

– Jesteś zabawna – mówi.

– Owszem – potwierdzam. – Jestem przezbawna. *Cam reilige* po irlandzku oznacza zemstę zza grobu.

Odchodzę od niego i znów czuję zarys dziecka w sobie, nalot przyszłości w łonie czarnym i otwartym.

Przykładam rękę do brzucha. Czuję niemal fizyczny ból.

– W każdym razie udało się – mówi Tom za moimi plecami. – Jest laskonoga.

„Nie musisz mi tego mówić”. Odwracam się, żeby mu to powiedzieć, ale nie widzę swojego męża, lecz jego rozszerzające się oko. Gdybyśmy chcieli mieć następne dziecko, to już na nas czeka. Prawie je widzę. Czyli seks, który połączy nas później, nie zdarzy się wyłącznie z jego winy. I to nie do końca jego wina, że nie sprawia mi przyjemności, jaką zwykle sprawia seks.

Tymczasem Tom kiwa na mnie głową.

– Zabiorę stąd dzieci, kiedy tylko zechcesz. W każdej chwili mogę wracać do domu.

– Ale nie siedź długo – proszę.

– No nie wiem – odpowiada.

Na pogrzebie mojej siostry Midge byłam wielka jak kamienica. Jej córka Karen urodziła miesiąc przede mną, miała wtedy dwadzieścia jeden lat. Pamiętam, że siedziałam w kościele i patrzyłam na małe, wilgotne niemowlę, które w białej opasce na główce grucha na ramieniu matki. Anuna – bo wszystkie wnuki Midge mają idiotyczne imiona – jest dziś wystrzałową pannicą o strasznych oczach Hegartych, zimnych, dzikich, niebieskich, i chodzi w drogiej czerwonej puchówce.

– Dobranoc, Karen. Uważaj na to maleństwo. Kobiety z naszej rodziny mrugają teraz do siebie przez pokój, przyjacielska wymiana ognia niebieskookich, kiedy obcy ludzie i statyści wychodzą. Bea podnosi mamę z fotela.

– Mamusiu, jesteś bardzo zmęczona.

– Tak.

– Chodź, zaprowadzę cię na górę.

– Tak.

– Przyniosę ci tam herbatę.

Coś jednak chce zrobić, zanim wyjdzie. Wyślizguje się z objęć Bei, podchodzi do stołu, kładzie obie ręce na drewnianym blacie, żeby wszyscy zamilkli. Łagodnym, miłym głosem mówi:

– Byłby z was wszystkich dumny.

Wiemy, kogo ma na myśli. Nie Liama, ale ojca. Pomyliły jej się pogrzeby. Albo teraz wszystkie pogrzeby zlewają jej się w jeden.

– Jest dumny – poprawia się ze strasliwym przekonaniem. – Wasz tata jest z was wszystkich bardzo dumny.

Bea odwraca się do wyjścia.

– Już dobrze, mamo.

– Dobranoc – żegna się mama.

– Dobranoc, mamo – mruczemy wszyscy zgodnym chórem.

– Dobranoc.

– Śpij dobrze, mamo.

– Odpocznij.

– Dobrej nocy – wszyscy już poza rytmem, jak pierwsze krople deszczu.

– *Coladh sámh* – mówi Ernest przy drzwiach, na co mama odwraca się, żeby udzielił jej błogosławieństwa, którego mój brat – załgany łajdak i hipokryta, były ksiądz i ateista – nie waha jej się udzielić (w dodatku po irlandzku), po czym mama wychodzi szczęśliwa. W każdym razie ma „szczęśliwą” minę. Jest szczęśliwa. Zadowolona z ludzi, których stworzyła. Jest szczęśliwa.

Po jej wyjściu zapada milczenie, Mossie siada. Ita popija ze szklanki, usta zaczynają jej drgać, jakby w odpowiedzi na niemą rozmowę, którą toczy w głowie. Kitty zapala papierosa, co wszystkich trochę irytuje. A ja myślę: „Nigdy nie powiedziałam mamie prawdy. Nikomu z nich nie powiedziałam prawdy”.

A co miałam powiedzieć? Że trzydzieści lat temu zmarły włożył rękę do rozporaka jeszcze wcześniej zmarłego? Doprawdy, są inne tematy warte rozmowy. Inne sekrety warte ujawnienia.

Na przykład jakie? Jakie?

Zaczynam pomagać Bei przy zmywaniu, a Kitty przynosi stos talerzy do zlewu.

– Co ty robisz? – pytają Bea.

– Sprzątam – odpowiada Kitty.

– Aha.

– O co ci chodzi?

– Aha. Ależ sprzątaj, proszę cię bardzo.

– Odwal się.

– Przecież zawsze jest ten pierwszy raz.

– Błagam, odwal się.

– Najpierw trzeba zeskrobać resztki, pamiętasz? Zeskrobiesz? Jak zeskrobiesz, to włóż do zlewu.

Kitty podnosi talerz nad głową, jakby miała go zamiar cisnąć na podłogę. Nikt nie patrzy. Trzyma go tak dłuższą chwilę – po czym odrzuca głowę i niesie talerz uroczyście nad głową do kubła. Idzie oskrobać go z resztek, ale nie może się powstrzymać i wyrzuca wszystko, talerz z resztkami jedzenia, do śmieci.

– Jezu! – krzyczy, patrząc na nóż, który został jej w ręce, jakby ociekał krwią. Spoglądam na sufit, na górze mama jeszcze się krząta.

– O Jezujezujezu – woła Kitty i wrzuca mordercze narzędzie do kubła, po czym wybiega do ogrodu, żeby dopalić papierosa.

– Bea – mówię.

– Co? – pyta Bea bardzo ostro, wyjmując talerz z kubła. – No co?

Wiem, o co jej chodzi. „Co nam teraz da jakakolwiek prawda?”

I ta wychodzi z pokoju nieboszczyka i stawia na żółtym sosnowym stole butelkę podejrzanego whisky.

– Nic więcej nie znalazłam – mówi.

Whisky ma dziwną irlandzką nazwę. Butelka jest ciut za bardzo ozdobna.

– Mógłbym skoczyć do monopolowego – proponuje cicho Jem.

– Nie, nie trzeba. Nie przejmuj się.

Otwieramy butelkę i rozlewamy whisky do szklanek. Jest gęsta i słodka. Dziwny to obrzęd, bo chociaż wszyscy Hegarty'owie piją, to nigdy razem.

– Ależ daje kopa – mówi Ivor, złopiąc swój trunek i podnosząc go pod światło. Popijamy i zamyślamy się, gdy wtem Jem łapie kluczyki samochodowe i wychodzi, ścigany lawiną uwag i przestróg na temat tego, że nie wolno mieszać czerwonego wina z białym. Rodzina Hegartych ma za sobą długi dzień.

Bea, wciąż nadęta, obejmuje pierwszą zmianę we frontowym pokoju, podczas gdy reszta zostaje w kuchni, krzątamy się i rozmawiamy. Ernest myszkuje po szafkach – trochę za bardzo gorliwie; wkłada palec do starego czatni z mango, wacha musztardę. Co jakiś czas Mossie wygłasza swoją ważką opinię przy sosnowym stole, a Ita dotrzymuje mu towarzystwa, oparta o blat, zanadto sparaliżowana alkoholem, żeby umyć talerz.

Scena przypomina Boże Narodzenie w Hadesie. Jakbyśmy wszyscy byli nieboszczykami i mieli się dobrze.

Dopijamy jedno po drugim i siedzimy, gotowi odkorkować wino, kiedy je przyniosą. A kiedy przynoszą, wcale nie wnosimy toastu za zmarłego, lecz po prostu pijemy i gadamy jak normalni ludzie.

Rozmawiamy o tajemniczej Alice, również o niespodziewanym przybyciu stryja Vala, który wygląda tak szykownie.

Wtedy Ivor mówi, że rozważa kupno domu w Mayo.

– Co? – dziwi się Kitty, która po kielichu przechodzi na sceniczny irlandzki. – Chcesz wykupić tę starą chałupę?

– Niekoniecznie ten dom.

– Jezu!

Kitty wbija wzrok przed siebie, jakby miała budynek przed oczami. Szuka zaczepki. Podobnie jak my wszyscy. Przez chwilę rozmawiamy o kursach wymiany i o przylotach na lotnisko Knock.

Wtedy Ernest mówi pojednawczo:

– Tam się nie dorobisz.

– Właśnie o to chodzi – mówi Ivor. Już widzi, że musi się przed nami bronić.

– Bo ja wiem – zastanawiam się na głos. – Ja tam bym się nie pisała na takie turystyczne banialuki: „prawda, jak tu pięknie i prawda, jacy jesteśmy fajni”.

Kitty wybucha:

– Stryj Val żyłby miesiąc z tego, ile ty wydałeś na marynarkę. Ile cię, do cholery, kosztowała?

– Poza tym jesteś gejem, oszołomie – mówi Jem. – Do Maherbeg jeżdżą geje, żeby zastrzelić się tam w stodole.

– No to już wiem, dokąd jeżdżą – komentuje Liam.

Wybucham śmiechem i odwracam się, żeby go złapać, ale go tam nie ma. Bo nie żyje. Leży w sąsiednim pokoju.

Nagle zapada cisza, jakby trzasnęły drzwi.

– Ładna ta marynarka – chwałę.

– Dziękuję – mówi Ivor i próbuje to wszystko rozgryźć w myślach. Nigdy przedtem nikt z rodziny nie nazwał go gejem. Ani razu. To się zawsze zdarza gdzie indziej, tak jak ta butelka na stole.

Mossie unosi brew i chowa twarz w szklance. Nie podnosząc głowy, mówi:

– Co to za firma? Paul Smith?

– Hm... – mruczy Ivor i sprawdza w wewnętrznej kieszeni. Jak gdyby nie wiedział.

Nie rozmawiamy też o pieniądzach – o tym, że ktoś z nas, chociażby stryj, jest biedne lub bogate albo że ma to jakiegokolwiek znaczenie. Coś się stało z tą rodziną. Węzeł się rozluźnił. Ita zrywa się na równe nogi i przypuszcza szturm.

– Aha – mówi – Ładna ta marynarka.

Zaraz się zacznie. Ita pije już tak długo, że zdążyła wytrzeźwieć, znów spowolnieć i znów nabrać agresji. Zamierza wygłosić jakąś straszną rewelację; zastanawiam się, co takiego. „Nigdy mi nie powiedzieliście, że jestem piękna”. Albo coś gorszego: „W siedemdziesiątym trzecim ukradłaś mi najlepszą opaskę do włosów” (rzeczywiście ukradłam). Grzechy i krzywdy rodzinne, ustawiczne wytykanie czegoś, co trudno nam nawet nazwać. Nie są to zarzuty ciężkiego kalibru, a tylko zwyczajne: „Zniszczyliście mi życie” lub: „A ja?”, bo u Hegartych deklaracja o swoim nieszczęściu równa się wytknięciu komuś winy.

– Co? – pytam. – Co?

A chcę przez to powiedzieć: „Co nam da teraz jakakolwiek prawda?”.

– Posiedzę przy Liamie – mówi w końcu Ita, bo Hegarty’owie również uwielbiają się wywyższać moralnie.

Wstaje od stołu, trafia w drzwi. Domyślam się, że chodzi jej o dżin. Wielkie wyjście było jedynie pretekstem, żeby uszczuplić swoje zapasy.

W strachu sięgam po butelkę i nalewam sobie kolejną szklankę. Na mój widok Liam stuka się w nos. Ale ponieważ nie żyje, muszę to zrobić za niego. Stukam się więc trzy razy w nos.

– Co jest? – pyta Kitty.

– Nos – mówię.

– O co ci chodzi?

– O Itę. Zrobiła sobie nos.

- Oj, przestań – mówi.
- Skrzywienie – wyjaśniam. – Skrzywienie.
- Wszystko słyszę – mówi Ivor, naburmuszony po stracie domu na wsi.
- Jak się nazywa z francuska taki zadarty nos? – pytam. – *Retroussé*?
- O czym. Wy wszyscy Mówicie? – cedzi słowa Mossie.
- O nosie Hegartych – mówi Kitty. – Ita zoperowała nasz nos.
- Naprawdę uważam... – zaczyna Mossie.
- Ale co?
- Naprawdę uważam, że to jej sprawa. Już teraz to jej nos.

I nie wiadomo dlaczego wszyscy zanosimy się śmiechem.

Kiedy się uspokajamy, Kitty i Mossie patrzą na siebie przez stół. Dosyć tego, myślę. Nie mogę na domiar wszystkiego odgrywać jeszcze Mossie. To prawda, Kitty, pobił nas, kiedy miał piętnaście lat. Wszystkich nas wtedy pobił.

Wstaję, żeby wyjść do łazienki i spotykam przy drzwiach Beę.

Ita zastąpiła ją przy zmarłym. Kiedy przechodzę, opiera się o framugę drzwi frontowym pokoju; trzyma w dłoni szklankę. Płacze. A może tylko przecieka. Nie odwraca się, kiedy wchodzę po schodach. Z tyłu wygląda ślicznie. Z tyłu wygląda jak Lauren Bacall.

Idę do łazienki, robię siusiu, myję ręce i przeglądam się w szafkowym lustrze, które przez trzydzieści lat odbija moją twarz. Warstwa srebra z tyłu obłazi na brzegach. „Czyja to wina?”, myślę. Odwracam się, żeby zejść i znów stawić czoło wszystkim na dole.

Kiedy wychodzę z łazienki, widzę, że mama ma uchylone drzwi.

- Bea? – pyta w stronę szpary. – Bea?
- Nie, mamo, to ja.

Wchodzę do niej. Kiedy otwieram drzwi na oścież, widzę, że mama siedzi już na łóżku, w dziwnej pozie, jakby ktoś w szybkim trybie przewinął taśmę wideo do przodu, po czym zatrzymał.

- Mammo, wszystko w porządku? Niczego ci nie trzeba?
- Myślałam, że to Bea – tłumaczy się.
- Nie, to ja, mammo. Pójść po nią? Chcesz, żebym po nią poszła?

Mama nie bardzo pamięta.

- No to kładź się. Kładź się.

A mama ulega jak grzeczne dziecko, bo zawsze jest taka obowiązkowa. Zauważyłam, że sypia po swojej stronie łóżka. Zawsze zostawia dużo miejsca.

– Teraz to już nikogo nie ma – mówi, ułożywszy głowę na poduszce.

– Nie, mamo.

– Nikogo nie ma.

– Przecież jestem, mamo. Posiedzieć z tobą? Zostać tu chwilę?

W pokoju nie ma krzesła. Siadam na chwilę w końcu łóżka i masuję mamie nogę w kostce i stopę przez narzutę.

He, he, wciąga powietrze, jakby płakała. Hou, wydycha.

He, he. Hou.

He, he, he, hou.

I tak, oddychając nierówno, zasypia, a ja siedzę spowita zapachem jej życia: kremu Nivea, perfum Je Reviens i starości; unosi się tu również ledwo wyczuwalna woń mojego ojca: zapewne przypalanej wełny koca elektrycznego i trochę już zjełczałego kleju do tapet na ścianach.

Nagle przyłapuję się na tym, że płaczę. Mama wcale nie śpi, lecz na mnie patrzy. Kiedy wytrzeszcza znad koca szeroko oczy, wydają mi się młode.

– Przepraszam, mamo.

Wstaję do wyjścia.

– Co takiego?

– Nic – mówię, lecz chociaż świdruje mnie tym swoim inteligentnym spojrzeniem i tak nie bardzo poznaje.

W drzwiach nie oglądam się na nią, tylko pytam:

– Pamiętasz tamtego pana od babci?

– Jakiego pana?

Spodziewała się, że padnie jakieś pytanie. Ale to akurat nie przypadło jej do gustu.

– Oj, żadnego szczególnego. No tego, który w piątki dawał nam łakocie. Jak on się nazywał?

– Gospodarz domu?

– To był gospodarz?

– Zawsze tak się do niego zwracaliśmy – mówi i patrzy mi prosto w oczy.

– Dlaczego?

– Bo był gospodarzem.

Raptem zmieszana, podnosi kołdrę, spuszcza nogi z łóżka, ciałem niewidocznym pod koszulą nocną kręci na boki, zsuwając się z materaca, i zaczyna spacerować po pokoju. Podchodzi do drzwi szafy, otwiera je, zamyka. Wraca zgarbiona do łóżka, po czym patrzy przymrużonymi oczami na szafę, żeby sprawdzić, czy nic tam nie leży.

– Nie wiem – mówi – co ty mi mówisz?

– Nic, mammo.

– Co ty mi mówisz?

Patrzę na nią.

Mówię, że w tamtym roku, kiedy wysłałaś nas do babci, twojego zmarłego syna molestowano, a ciebie nie było przy nim, żeby go obronić ani pocieszyć, i że ten epizod pchnął go na drogę, która zakończyła się w trumnie stojącej teraz na dole. To ci usiłuję powiedzieć, skoro dopytujesz.

– Lubiłam tamte łakocie, mammo. A teraz wracaj do łóżka. Po prostu przypomniały mi się tamte łakocie.

Bo miłość matki to największy żart Pana Boga. Poza tym, kto może orzec, co jest pierwszą przyczyną, a co ostatnią?

W kuchni na dole nasila się pomruk, rozlega śmiech, a następnie trzask kuchennych drzwi. I znów Kitty wybiega z domu.

– Nie wiem.

Mama siada na łóżku. Jest zmęczona. Nikogo teraz nie lubi.

– Nie wiem, gdzie to jest – mówi. – Wszystkie rzeczy leżą gdzieś wysoko. Na którejś półce. Zresztą nie wiem. Ale trzymam ją za ramiona i powoli steruję, żeby położyć ją do łóżka.

– Pójdę po Beę.

– Tak – podchwytuje.

– Pójdę po nią.

Ale nie idę.

Zamykam drzwi i patrzę uważnie po podeście. Idę do pokoju starszych dziewcząt, zaglądam na szafy, otwieram szafki, po czym wychodzę i tak samo przeszukuję swój dawny pokój. Staję na łóżku Alice w mrocznym żółtym świetle i zdejmuję pudełko po ciastkach z ozdobnym napisem „Dokumenty” wykonanym słabą ręką mamy. Szukam tego, czego ona nie znalazła, ale w pudełku leżą tylko przypadkowe dokumenty, świadectwa bierzmowania, dyplom tańca irlandzkiego Kitty; publiczne wystąpienie Ernesta na Feis Maithiu, o dziwo, mój dyplom – imponująca piątka z Państwowego Uniwersytetu Irlandii, świadectwo ukończenia szkoły Liama, i co mu teraz po nim? Widocznie mama chowała tu każdy dokument – gruby, złożony i bezużyteczny. Przeszukuję w myślach dom, zastanawiając się, gdzie też mogą być schowane ważne papiery, świadectwa urodzenia i zgonu, fotografie, umowy i akty własności. Nagle przypominam sobie, gdzie mama je trzyma, i odstawiam pudełko na łóżko.

Obudziłam jednak duchy. Czyhają teraz pod drzwiami, tak jak niegdyś czyhały duchy mojego dzieciństwa; za tymi samymi drzwiami. Ich historia znajduje się tam, na podeście Griffith Way, znów na mnie czeka.

Kim są?

Przed wszystkim Ada, która, praktycznie rzecz biorąc, nie żyje. Ta chudzina jest takim duchem, który zawsze się odwraca. Ada po prostu trwa w śmierci. Przeszłość rozlewa się kałużą u jej stóp.

Jest tam również Charlie, cały brązowy, powłóczy nogami. Charlie, który nie miał w sobie zła, a mimo to wszystko źle robił – miał długi, nie dotrzymywał obietnic, uprawiał grzeszny seks z ekspedientkami, gospodyniami domowymi i przygodnymi aktorkami. Chciał, żeby szczęście znów się odwróciło, lecz chociaż wciąż się odwracało, wciąż było takie samo. Charlie nie może przywyknąć do tego, że nie żyje, dopóki nie zemści się na Adzie, jedynej miłości swojego życia.

Tak wyglądają moje koszmary. Muszę się przez nie przedrzeć, żeby zejść na dół.

Naciskam klamkę i trafiam na Nugenta, upiorny całun na podeście. Snuje się po domu niczym zapach. Nugent bawi się ze swoją siostrą Lizzie, bo oboje nie żyją. Całują się i pocieszają nawzajem. Nie oddychają; ich języki splatają się i ślizgają bez końca w chłodzie i braku powietrza.

Dwa kroki po dywanie i już jestem na krawędzi schodów. Spadam, stopień po stopniu. Znowu mam dziewięć, sześć lat, cztery lata. Nie trzymam się poręczy, żeby nie trafić na coś, czego nie rozumiem. Im bardziej przyspieszam kroku, tym bardziej rozmywa się przede mną wyłącznik światła u podnóża schodów. Kto je zgasił? Dlaczego zgaszono światło w holu, skoro w domu leży nieboszczyk?

Końcówka jest zawsze najgorsza. Wuj Brendan w podkolanówkach i krótkich spodenkach. Stoi w holu przed pokojem bliźniaków, gdzie umarł malutki Stevie, a głowę mężczyzny w średnim wieku rozsada natłok rzeczy, które chciałby powiedzieć Adzie, ale których ona nie usłyszy. Kości Brendana miesza się z kośćmi innych ludzi; pod jego ubraniem rozbrzmiewa jazgot mruczących i skamlących dusz, który przeszedłby w ryk, gdyby Brendan rozpiął rozporek; gdyby otworzył usta, wylałyby się z nich dusze. Brendan nie ma od nich wytchnienia, bo to dusze zapomnianych, które zawsze muszą tam pełzać, wystawać i skamleć; sięga, żeby podrapać się za kołnierzem i wszystko leci mu z rąk. Niezmacone pozostają tylko jego niewiarygodne niebieskie oczy, które tylko wytrzeszcza, kiedy ja sięgam do wyłącznika światła, koszula mu faluje, a uszami wylewają się wariaci i niewygodni zmarli.

Zapała się światło. Tak jak dawniej. I moje ciało w tym świetle ma, na szczęście, trzydzieści dziewięć lat. A kiedy wchodzę do frontowego pokoju, zalega tam cisza. Przy zwłokach Liama nie ma żadnych duchów, nawet jego własnego.

Świece się dopalają.

Po drugiej stronie pokoju, w niszy obok okna, stoi mebel – chyba nazywaliśmy go serwantką – z ciężkiego dębowego drewna, z półkami na kieliszki i wazony, a niżej na sprzęt elektryczny. Zaglądam na najniższą półkę, ale nic nie znajduję. To znaczy znajduję wszystko: stary mikser w przezroczystej torbie foliowej, poszarzały ze starości; kilka płyt długogrających mamy z niewyobrażalnych czasów, bo sprzed ślubu, Jussi Björling i pod batutą Furtwänglera; scrabble; grę zwaną „Biegiem wielbłądów”; siatkę z czterema obłupanymi sztucznymi owocami; bandaż elastyczny na czyjeś kolano, które dawno przestało boleć. Po czym wpadam na pomysł, żeby zajrzeć na górę. Za ozdobnym gzymsem wieńczącym mebel stoi kilka pudeł. Odsuwam serwetkę na bok, wdrapuję się, sięgam po zielone pudełko od butów. Zrzucam z góry, łapię, mocuję się z pokrywką, na której mój tata napisał kiedyś „Broadstone”. Dopiero po zejściu na podłogę otwieram.

W środku leży szara papierowa torba z kilkoma sepiowymi fotografiami. Kilka paragonów – jakie dostawało się dawniej u rzeźnika. Gruby plik listów na niebieskiej papeterii ze znakami wodnymi, typowo kobiecej, spięty recepturką. Stos niebieskich brulionów, a każdy zabezpieczony w pionie gumą, nazywaną przez Adę „gumą do majtek”, niezależnie od tego, do czego służyła.

To są księgi najmu; począwszy od roku 1937, kiedy moja mama skończyła osiem lat. Pierwsza obejmuje piętnaście lat, po dwanaście tygodni na stronie. To samo pismo, to samo wieczne pióro, linijka po linijce wszystkie piątki, co roku niewielka podwyżka. Pióro wieczne widnieje przez cały drugi tom i dopiero w trzecim zmienia się na długopis – kiedy czynsz jest płacony co miesiąc, a wpisy dokonywane są ołówkiem, czerwonym długopisem lub czymkolwiek, co wpadło w rękę.

Co te księgi robią w naszym domu na Griffith Way, szesnaście albo więcej lat po śmierci tej kobiety? Po co trzyma się te rzeczy, chyba że ze strachu – przed długą ręką wymiaru sprawiedliwości albo urzędu skarbowego; gdyby ktoś chciał zbadać sytuację podatkową domu, którego nigdy nie był właścicielem, a matka przed nim też nie była? Kiedy odkładałam księgi z powrotem do pudełka, robi mi się niedobrze na myśl o tym, co one oznaczały dla ich właściciela, jaką broń dawały mu do ręki.

Po roku 1975 wpisy się urywają. Następują puste strony. Ciekawe, czy to w tym właśnie roku zmarł Nugent? Podnoszę brulion, odwracam, żeby pokazać go Liamowi i spostrzegam, że od drzwi przygląda się nam Ada. Stoi w progu. Nie widzę jej tak, jak „widziałam” duchy na schodach. Widzę ją tak wyraźnie, jak kobietę z krwi i kości stojącą pod światło w holu.

31

Nie wiem, jak ta noc minęła do końca ani kto czuwał przy zwłokach Liama po moim wyjściu; podejrzewam, że głównie Bea i Ernest, chociaż Kitty twierdzi, że w pewnym momencie wszyscy przenieśli się tam do niego i grali w karty. Chyba musiałam narobić trochę zamieszania we frontowym pokoju. Mossie wsadził mi gorzką pigułkę do ust, a Ernest próbował się ze mną modlić, ale za nic w świecie nie zgodziłam się położyć spać do swojego starego łóżka z dzieciństwa, dlatego wsadzili mnie do taksówki i wyprawili do domu.

Pusty dom po powrocie przyniósł mi niezwykłą ulgę – chyba między innymi dlatego chodzę teraz po nim w nocy, żeby przypomnieć sobie tamto poczucie; cieszyłam się, że jestem przy zdrowych zmysłach i że poruszam się w pustce pokoiów w amfiladzie, przechodzących tak łatwo jeden w drugi. Pokręciłam się więc tam jakiś czas, a potem poszłam na górę i po raz ostatni uprawiałam seks z mężem.

Oczywiście nie ja o tym zadecydowałam. Po poprzedniej nocy w ogóle nie miałam ochoty na seks, a co dopiero ostatni. Ale wślizgnęłam się do łóżka, a Tom nie spał. I kochał się ze mną. Zresztą nie ma sensu roztrząsać znów powodów: kochał mnie, chciał wciągnąć mnie z powrotem do świata żywych. Może skoro dusza mi tak zmiękła, chciał pozostawić i tam swoje piętno. Moje ciało wcale jednak nie było miękkie. Ciekawe, dlaczego tego nie zauważył. Ale wykonałam wszystkie stosowne ruchy, otworzyłam się na niego i nie kazałam mu przestać. Czyli najwyraźniej też tego chciałam.

Nie chciałam natomiast, żeby się dowiedział, co się zdarzyło na Griffith Way po jego wyjściu. Ani że wzięłam pigułkę (może to wszystko przez tę pigułkę?), ani że czuję się jak świeżo porąbane mięso, nawet jeśli on czuł się niesłuchanie wzruszony. Jeżeli rzeczywiście tak się czuł. W każdym razie dużo sapał i dygotał, jakby nerwy stały mu w ogniu.

Już po wszystkim leżymy naprzeciwko siebie, zakopani po szyje pod kołdrą. Przez lata za dużo sobie powiedzieliśmy, dlatego teraz rozsądek nakazuje milczenie.

Ale Tom musi powiedzieć jeszcze jedno:

– Przepraszam.

Przez chwilę wydaje mi się, że przeprosza za ten okropny seks, potem, że przeprosza za śmierć mojego brata, ale w istocie przeprosza za zdradę, której dopuścił się dawno temu – za chwilę mi powie, jak niewiele znaczyła – co w tych okolicznościach będzie głupie i nie do wytrzymania (właśnie uświadamiam sobie, że przespałam się ze swoim mężem po raz ostatni), dlatego ubiegam jego wyjaśnienia i mówię:

– Już dobrze, już dobrze.

Odbiera to jako znak. Wszystko się zmieni na lepsze. Mówi, że powinnam coś zrobić. Wziąć pracę na pół etatu albo przynajmniej codziennie chodzić na spacer. A może zajęłabym się domem i go wyremontowała, skoro nieruchomości zaczynają iść w górę? Pieniądze. Mogłabym zarabiać pieniądze. Twierdzi, że ostatnio miał za dużo zajęć, trochę się zapadł, ale wyraźnie już wychodzimy na prostą, bo wszystko przewyciężył.

– Trochę się zapadłeś? – podchwytuję.

– Błagam, nie wracajmy już do tego – prosi.

– Twoje córki będą sypiały z takimi mężczyznami jak ty. Z mężczyznami, którzy znieenawdzą je, tylko dlatego, że ich pożądamy.

– Co? – pyta. – Jezu, przecież wiesz. To był tylko...

– Tylko co?

Chyba chce powiedzieć, że mężczyźni też stawiają sobie pewne ograniczenia. Że to nie jest naprawdę. Na przykład, że nikt od tego nie ginie. Chyba chce powiedzieć, że nie mamy wyjścia, jak tylko trwać przy sobie.

Może ma rację. Leżę więc przy nim i kontempluję rosnący siniec moich narządów płciowych.

– Dziwna sprawa z męskimi ciałami – mówię. – Nigdy nie kłamią. To musi być wygodne. Jesteście tak zbudowani, że musicie mówić prawdę. Działa / nie działa. Lubię / nie lubię. Chcę / nie chcę.

– Niezupełnie – prostuje Tom.

Nie ma w pełni niezawodnego połączenia, jak twierdzi, między tym, czego chce mężczyzna, a tym, czego chce jego „mały”; czasem trudno się połączyć.

– Ach tak – kończę rozmowę, przewracam się na drugi bok i zasypiam.

32

Powinnam się była domyślić, że za drzwiami stoi Ita. Przecież nie Ada, lecz moja odurzona starsza siostra; otumaniona alkoholem, z tym swoim idiotycznym nowym nosem.

Oto, co mi się przypomniało na jej widok.

Przypomina mi się taki obraz. Bo nie wiem, jak to inaczej nazwać. Mam w głowie obraz Ady stojącej w drzwiach do dużego pokoju w Broadstone.

Mam osiem lat.

Ada wodzi wzrokiem po moim ramieniu i plecach. Jej wściekłe spojrzenie przypomina światło: skóra mi pod nim twardnieje i marszczy się jak oparzona. Z drugiej strony mnie rozciąga się zbawienna ciemność Lamberta Nugenta. Patrzę w tę ciemność i spadam. Trzymam w ręce jego stary penis.

Ale to bardzo dziwny obraz. Złożony z wypowiadających go słów. Myślę o „oku” jego penisa, które szturmuje moje oko. „Ciągnę” go, a on wychyla się ku mnie. „Sse” go, a z jego ust leje się cienką strużką cytrynowa słodycz.

To wszystko pochodzi z takiego zakątka w mojej głowie, w którym kłębią się pokiereszowane słowa i czyny. Pochodzi z zarania rzeczy, a ja nawet nie potrafię ocenić, czy są prawdziwe. Ani ocenić, czy należą do rzeczywistości. Lecz chociaż jego zło mnie zniesmacza, to jednocześnie się w nim pławię; czarne trójkąty pod ostrymi kośćmi policzkowymi, powolny skręt głowy, przesuwanie oczami, coraz to wolniej, w kierunku światła w otwierających się drzwiach, w których stoi moja babka.

Nie wierzę w zło – wierzę, że jako ludzie jesteśmy omylni, toteż na co dzień tworzymy różne rzeczy i też je psujemy – lecz kiedy widzę jak Lambert Nugent odwraca się w kierunku drzwi, dopatruję się w tym spojrzeniu zła. W jego starej piersi rośnie bańka: nabrzmiwa coś, co w każdej chwili może wyprysnąć mu z otwartych ust i zbrukać cały świat.

Co to takiego?

Nie mogę się poruszyć. W tym wspomnieniu lub śnie ani nie mogę przestać, ani spowodować, żeby trwał. Przeraza mnie wszystko, co wylewa się temu człowiekowi z ust, chociaż wiem, że nie wyrządzi mi krzywdy. Przepelni cały świat, lecz go nie naznaczy. Już zalega w wilgotnym dywanie i w zapachu maści Germolene: poczucie, że Lamb Nugent z nas wszystkich drwi; że nawet ściany ociekają jego szczwanymi zamiarami. Deseń tapety powtarza się aż do mdłości, a niemy organ Nugenta, chociaż gorący w mojej garści, prosty i mimo upływu lat okazały, pręży się z dumy i płacze w mojej dłoni.

I słowo, które mówi, kiedy drzwi otwierają się na oścież, podobnie jak usta, i z rozdziawionego O wyskakuje bańka układająca się w jedno słowo:

– Ada.

Jakżeby inaczej.

Czy ona jest zadowolona z tego, co widzi? Czy ten widok sprawia jej przyjemność?

Kiedy próbuję sobie przypomnieć twarz Ady albo wydaje mi się, że ją sobie przypominam, kiedy nasienie Lamba Nugenta wyciekło mi na rękę, widzę jedynie pustkę, a dokładnie pustą twarz babki. W najlepszym wypadku widzę jedno słowo wypisane na jej twarzy, a tym słowem jest: „Nic”.

W tym właśnie momencie należy upatrywać winy. Kiedy Ada staje w żółtym świetle holu, owiewa ją zbrukana aura jej dużego pokoju. W tym właśnie momencie dociera do nas, że wina od początku leżała po stronie Ady.

Obłąkany syn i mglista córka. Nieskończenie mgliste cięższe mglistej córki, a wszystkie wnuki w mglisty sposób schodziły na manowce. W tym właśnie momencie pytamy, co Ada zrobiła – bo z pewnością musiała coś zrobić – że wniosła tyle śmierci w ten świat.

Ale nie winię jej. Chociaż nie wiem, co to takiego jest.

Ze względu na pamięć Liama muszę wyjaśnić – co się zdarzyło w Broadstone, a co nie. Bo przyniosło określone skutki. Wiadomo. Wiadomo, że prawdziwe wydarzenia pociągają za sobą prawdziwe skutki. Bo nieprawdziwe ich za sobą nie pociągają. Albo prawie prawdziwe. Albo cokolwiek nazwiemy wydarzeniami, które rozgrywają się w mojej głowie. Wiadomo, że istnieje różnica między żywym ciałem a ciałem wyobrażonym, że kiedy naprawdę się kogoś dotyka, coś się naprawdę dzieje (choć niekoniecznie zgodnego z naszymi oczekiwaniami).

Cokolwiek przytrafiło się Liamowi, nie rozegrało się w dużym pokoju Ady – niezależnie od obrazu w mojej głowie. Nugent nie byłby na tyle głupi. Do maltretowania doszło w garażu, wśród samochodów i uwielbianych przez Liama części silnika. Nugent potraktował go tam strasznie. Z całą pewnością przejawiał skłonności sadystyczne i miał swoje metody. Muszę to powiedzieć jasno, bo gdzieś w głowie, w jej konserwatywnym, zapomnianym zakamarku, uważam, że miłość równa się pożądaniu. A przecież się nie równa, nawet nic ich nie łączy. Kiedy Nugent pożył mojego brata, w najmniejszym stopniu go nie kochał.

Tyle wiem.

Poza tym mogłabym powiedzieć, że widocznie Liam też go pożył. Albo pożył czegoś.

– I patrz – mówi Nugent, a ja płacząc za kierownicą, jadąc nocą oświetlonymi ulicami Dublina. – Patrz, co narobiłaś.

Nigdy nie lubiłam garażu i rzadko do niego zaglądałam. Choć kiedy teraz jeżdżę nocami i kiedy zatrzymuję samochód, zastanawiam się, czy na pewno mnie się to też zdarzyło.

Co mam powiedzieć? Nie sądzę.

Włączam to zdarzenie do swojego życia i myślę, owszem, mogłoby niektóre rzeczy wyjaśnić. Włączam je do życia brata i następuje przełom; w tym właśnie miejscu wszelka przyczyna spotyka wszelki skutek, sedno sprawy. To zdarzenie zbyt wiele tłumaczy.

Oto znane mi konkretne fakty:

Wiem, że mój brat Liam był molestowany seksualnie przez Lamberta Nugenta. Albo prawdopodobnie był wykorzystany przez Lamberta Nugenta.

Nie wiem natomiast: czy Lambert Nugent mnie dotykał, czy wuj Brendan przez niego oszalał, czy moja mama przez niego zgłupiała, czy ciotce Rose i mojej siostrze Kitty się upiekło. Jednym słowem, nie wiem nic więcej o Lambercie Nugencie; kim był ani jak Ada go poznała; co zrobił, a czego nie.

Wiem, że mógłby stanowić wytłumaczenie całego naszego życia i wiem coś jeszcze bardziej przerażającego – że wcale nie musiał nas sam zniszczyć, spowodować, że byliśmy ofiarami zniszczenia. Zniszczyło nas wydychane przez niego powietrze. Zniszczyło nas oddychanie zużytym przez niego powietrzem.

Oto znów jestem w St Dympna, mam atrament na języku. Liam już ze mną nie śpi. Kładę się spać w majtkach. Wstaję, wkładam rajstopy. Wstaję, wkładam szkolną bluzkę; muszę być gotowa o odpowiedniej porze. Znów wstaję i wiem szkolną princeskę na oparciu krzesła. Wstawiam buty pod krzesło, a wszystko umieszczam przodem do drzwi, żeby nie musiała się odwracać, chcąc wyjść z pokoju. Następnie wstaję, składam szarfę, wsuwam ją do prawego buta, ale tak, żeby służyła na podłogę. Następnie wstaję, wkładam princeskę i zasypiam.

W szkole pachnę zmęczeniem. Mam wymięte plisy sukienki. Nie mogę się otrząsnąć z pościeli – upiorna pościel ślizga się i ociera o moją princeskę, kiedy przewracam się na łóżku. Liam śpi w drugim końcu pokoju, Kitty obok mnie. Przede mną siostra Benedykta uczy nas się modlić:

*Aniele Boży, stróžu mój,
Ty zawsze przy mnie stój.
Rano, wieczór, we dnie, w nocy
Bądź mi zawsze ku pomocy,
Strzeż duszy, ciała mego,
Zaprowadź mnie do żywota wiecznego.*

33

– Jeżeli Najświętsza Maria Panna została wzięta do nieba wraz z ciałem, to gdzie się załatwia?

– Coś ty powiedziała? – pyta tata, spoglądając na mnie.

– Jeżeli Najświętsza Maria Panna została wzięta do nieba wraz z ciałem, to gdzie się załatwia?

Najpierw spada na mnie cios ojca, a dopiero potem widzę jego rękę.

Zdarzyło się to niedługo po powrocie od Ady, kiedy byłam u szczytu swojego etapu pobożności.

Pamiętam, bo chociaż ojciec bił nas mniej lub bardziej bez przerwy, nigdy nie było w tym nic osobistego. Czasem uderzał troje, a czwartemu darował albo wpadał między nas z podniesioną ręką, a myśmy biegali z piskiem dokoła. Chłopcy byli oczywiście inni, ale ojciec bił nas głównie dlatego, że to myśmy mieli nad nim władzę, a nie on nad nami. Dlatego kiedy Kitty zaczyna oskarżać go o bicie, nie bardzo jej w tym sekunduję.

Wtem ŁUP! – odgłos wysysania wszelkich odgłosów z głowy, tępa cisza, którą po chwili przerywa narastający dźwięk bólu.

Pytanie było chyba jednak warte tego cierpienia – bo przyniosło mi jedyny dowód katolicyzmu ojca. Mama oczywiście jest katoliczką, jak wszystkie mamy, ale przez czternaście lat przesiedzianych obok ojca albo za nim w drewnianej ławce w kościele co niedziela rano nigdy nie widziałam, żeby ruszał ustami. Nigdy nie słyszałam, żeby się modlił na głos, nie zauważyłam, aby pochylał głowę lub wykonywał charakterystyczny gest, siedząc na piętze autobusu. Podczas komunii świętej stawał na końcu ławki, kiedy się z niej wysypywaliśmy, jak gdyby wypuszczał owce z zagrody, ale nie wiem, czy kiedykolwiek poszedł za nami do komunii. Ojciec chodził do kościoła niejako z obowiązku. Gdybym miała szukać jego prywatnej wiary, nie wiedziałabym, od czego zacząć ani w której części jego ciała mogła się zagnieździć.

Myślę o nim podczas pogrzebu Liama. Ernest stoi na ołtarzu w swoich księzowskich szatach. Ornat jest zdobiony z przodu haftowanym motywem Majów, mój brat pięknie w nim wygląda.

Kurcząca się rodzina Hegartych siedzi w pierwszym rzędzie według starszeństwa. Ernest wzywa nas do modlitwy, na co składam sękatę dłoń ojca razem, gmeram nimi trochę przy jego ustach i mówię jego głosem: „O Boże”: ale bez przekonania – to znaczy, bez jego przekonania. Mój tata nigdy nie był zbyt pobożny i chyba nie bał się ogni piekielnych – gdy więc uprawiał seks z mamą, wskutek czego na świat przyszło dwanaścioro dzieci i dokonało się w łonie mojej matki (która klęczy teraz na końcu) siedem poronień, to ograniczał się do jednego – tylko uprawiał seks. Nie wynikało to w żaden sposób z nauk Kościoła ani z ich braku, lecz z jego potrzeby albo chęci; po prostu czuł, że na to zasługuje.

Z pewnością kochał mamę. Zawsze stajemy wobec tego trudnego do przełknięcia faktu – że tata kochał mamę, a ona również go kochała. Nie kochał jej jednak na tyle, żeby zostawić ją w spokoju. O nie. Podejrzewam, że kochał ją tak samo, jak jego dzieci się upijają – innymi słowy, wbrew rozsądkowi; nie tyle dla przyjemności, ile dlatego, żeby z tym wszystkim skończyć.

Ta myśl zbliża mnie do impulsu, który stworzył dziecko leżące teraz w trumnie na środku kościoła. Bo Liam na marach znów jest chłopcem. Zajmuje najwyżej trzy czwarte jej długości. Wyciekają z niego lata. Podlegają przemianie materii, aż wydalą je do końca z moczem, kiedy susia przez ogrodzenie zalewu w Broadstone.

Hurra!

Wszystkie dzieci Hegartych mają kaca, łącznie z leżącym w trumnie. Kac to bardzo spokojne, cenne uczucie: nabrzmiewanie zmysłów, pomiędzy bólem a ciepłem. Liam ma oczywiście największego kaca, bo w końcu nawalił się na amen. Ululał się. Postradał zmysły. Będzie to musiał porządnie odespać.

Na końcu mama, przezroczysta miarą swojej serdeczności i cierpienia. Bea stoi tuż za nią; przyszła do kościoła z obowiązku, podobnie jak niegdyś tata. Za nią Mossie, który odpowiada na głos księdzu. Reszta mruczy pod nosem albo milczy. Obok mnie z jednej strony siedzi przygarbiona i rozgorączkowana Kitty (ciekawe do czego rozgorączkowana), z drugiej Ita, która ma myśli jak kamień.

Próbuję w coś wierzyć, co mi tam. Biorę pierwszy z brzegu absolut, jakąś rozwijającą się myśl, która otworzy mi się w głowie niczym eter – Boga, przyszłość lub większe dobro. Pochylam głowę i staram się wierzyć, że miłość go udoskonali, uczyni lepszym, a jeśli nie miłość, to dzieci. Odwracam się z wyżyn do maluczkich i wierzę, przez dłuższą chwilę, w małe istoty i w konieczność bycia matką.

Trochę to jednak za miłe jak na córę Hegartych. Odkrywam, że wiara wymaga czegoś strasznego, żeby się przyjęła – krwi, paznokci, szczypty cierpienia.

Chwytam się więc swojego cierpienia. Patrzę na trumnę Liama i próbuję uwierzyć w miłość.

Nie jest łatwo.

Pamiętam miłość Bożą tego roku, kiedy mieszkałam u Ady i miałam osiem lat, a Liam miał dziewięć. Pamiętam wszystko bardzo dokładnie. Siostra Benedykta kazała nam przyjąć Jezusa „do naszych serduszek”, co też uczyniłam, jak najbardziej. Zaglądam teraz do własnego serca i stwierdzam, że wciąż czuję w nim jakiś żar i zmaganie. Przewracam oczyma pod zamkniętymi powiekami i czuję się, jakby mi się otworzyło czoło. W piersiach rozgrywa się jeszcze walka o słowa, ale czoło wydaje się puste i czyste, jak gdyby wszystkie słowa zostały już powiedziane.

Tylko spokój.

Wiara. Już znam jej biologię. Teraz wystarczy coś włożyć do środka. Wystarczy wypełnić ją odpowiednimi słowami.

Kiedy tata uderzył mnie w głowę, odwrócił się i odszedł w zupełnym milczeniu. Możliwe, że sam przeżył wstrząs. Bo ja na pewno przeżyłam. Szczerze mówiąc, już wtedy nie wierzyłam w niebo i nigdy nie uwierzę. A kiedy myślałam o piekle, kojarzyło mi się z absolutną ciszą.

Oto Ada, siedzi na kanapie w dużym pokoju w Broadstone. Na kolanach trzyma robótkę, coś prostego, prawdopodobnie obrębianie albo cerowanie. W pokoju jest też ośmiolatka, czyli ja.

Pamiętam jej zaokrąglone plecy; ręce opuszczone na kolana; pamiętam, jak migają jej palce, kiedy przeciągała nitkę. Kanapa za jej plecami ma ciemnoczerwony kolor, na niej stos poduszek, chociaż Ada nie opiera się o nie. Dwa wałki tureckie z frędzlami na końcach, wprost ze scenografii przedstawiającej seraj w Gate Theatre; czerwona okrągła, aksamitna poducha z przymarszczonym wykończeniem dokoła, przypominającym bieżnik fantastycznego samochodu wykonanego z materiału; zestaw pieńków z pokrowcami zdobionymi fioletowo-brązowym prążkowaniem wykonanym metaliczną nicią, przywodzącym na myśl korę w teatralnym lesie.

Ada siedzi przed nimi, pochylona nad robótką, tylko czasem podnosi głowę, żeby spojrzeć z większej odległości, koniecznej w starszym wieku. Mnie się jednak nie wydaje stara. Ma zadowoloną, błogą minę; wygląda jak zawsze. Podchodzę, siadam obok, co kwituje nieznacznym skinieniem głowy – dopiero kiedy kończy ten konkretny ścieg albo obrót, wyciąga rękę i, nie podnosząc wzroku, głaszcze mnie kostkami palców po policzku.

– Witaj.

Tyle pamiętam.

Nikt nie wyjechał i nikt nie przyjechał. Charlie bawił gdzie indziej, pan Nugent się nie liczył, Liam i Kitty odrabiali lekcje, zapewne na stole w jadalnym, a ja siedziałam z Adą w świątyni jej dużego pokoju, w którym czerwone pluszowe kotary odsłaniały widok na ulicę, na ścianie zaś wisały zdjęcia z autografami przedstawiające Jimmy’ego O’Dee i siostry Adare oraz rysunek podpisany „Otello” z mężczyzną o śniadej twarzy, z elegancko wysuniętą do przodu stopą. Wszystko to były postaci ze sztuki rozgrywającej się gdzie indziej. A być trzeba było tutaj, poza sceną z Adą, która mimo największych starań nie potrafiła być nikim innym, która szła przez życie z pełną ogładą; spokojna, z rzadka tylko szorstka – chociaż nigdy nie okazywała granic tej swojej szorstkości. Ada siedzi i szyje w całkowitym skupieniu. Przeszość ma już za sobą, przyszłością nie bardzo się przejmuje. Zbliża się do grobu w swoim własnym tempie.

A ja, przykuta widokiem robótki na jej kolanach, chwilę patrzę na jeszcze jeden lub dwa ściegi, po czym zrywam się i wybiegam z pokoju.

35

Księgi najmu zaczynają się od roku 1939 – dlatego przez chwilę wyobrażam sobie, że niegdyś właścicielem naszego domu był Charlie, a potem przegrał go na wyścigach na rzecz Nugenta. Wątpię, czy to mogła być prawda, ale nie odstępuję mnie taki powidok: Charlie na wyścigach w Leopardstown z Nugentem, który stoi nad nim jak kruk, przy balustradzie, we fraku z połami targanymi przez wiatr.

– Proszę cię bardzo – mówi Charlie, z rozpaczliwą nonszalancją, i wręcza ostatni świstek papieru mężczyźnie, który kocha jego żonę bardziej, a przynajmniej intensywniej niż on. – Co do pensa.

Ale Nugent nie był podobny do kruka, pamiętam, że wyglądał jak przeciętny mężczyzna, chociaż bez cienia wątpliwości przypominam sobie tylko jego dziwną narośl w uchu, idealną lśniąca różową bulwę, i jego odchylenie się w fotelu w piątki w dużym pokoju.

Kiedyś w sobotę przywiozłam dziewczynki do mamy, tak jak zwykle po śmierci Liama, i spytałam ją, całkiem zwyczajnie, gdzie mieszkała przed Broadstone; jaki zajmowali dom, zanim przeprowadzili się do tego, który ja znałam.

– Co? – pyta i patrzy, jakby mnie w ogóle nie znała.

– Kiedy byłaś mała, mamó. Gdzie mieszkałaś w dzieciństwie?

– Za rogiem – mówi zdenerwowana. – Chyba mieszkaliśmy za rogiem.

Przeszłość nie jest krainą szczęśliwości. A cierpienie związane z przeszłością chyba jest bardziej udziałem mamy niż moim. Kim ja jestem, żeby zagarniać je tylko dla siebie? Moja biedna mama miała dwanaścioro dzieci. Nie mogła przestać rodzić przyszłości. Rodziła wciąż od nowa. Dwanaście przyszłości. I więcej. Może lubiła mieć tyle dzieci. Może miała więcej przeszłości do zatarcia niż większość ludzi.

Listy, które znalazłam, są pisane na niebieskiej papeterii ze znakami wodnymi i winietą Basildon Bond. Jest ich bodajże piętnaście, wszystkie podpisane L. Nugent, czyli Lambert Nugent, a każdy banalny. Są w nich luki i pomyłki, w które wpisuję gniew lub pożądanie. Zrobiłabym to, i robię, ale są – co najmniej – intrygująco nieme.

Droga Pani Spillane,
obawiam się, że nie mogę zaoferować opustu na sześć szylingów,
które jest mi Pani winna od Wielkanocy. Wykonana przez Panią
naprawa listwy przypodłogowej w holu została podjęta bez
uprzednich ustaleń, zatem nie mogę jej uznać za rekompensatę.
Oczekuję najbliższego czynszu w pełnej wysokości

Z poważaniem,
Lambert Nugent

Droga Pani Spillane,
proszę mi wierzyć, że absolutnie mam na względzie Pani dobro w
kwestii garażu na tyłach, który i tak wychodzi na podjazd za domem.

Z poważaniem,
Lambert Nugent

Droga Pani Spillane,
doskonale Pani wie, o co mi chodzi. Chodzi mi o to, że Boże
Narodzenie nie przyniosło żadnych zmian w sytuacji ogólnej, zatem
wszystko pozostaje po staremu.
Szambiarz zjawi się we wtorek, a ja zapłacę mu osobiście.
Wyraży szacunku dla małżonka.

Pani oddany,
Lambert Nugent

Droga Pani Spillane,
odnośnie do siedmiu szylingów i sześciu pensów wyrażam zgodę, aby
Pani małżonek dostarczył je po piątym bieżącego miesiąca.
Upraszam jednak o dotrzymanie tego terminu.

*Pani oddany,
L. Nugent*

*Droga Pani Spillane,
w kwestii najmu nie mogę zadośćuczynić Pani prośbie. Podnajmując pani McEvoy, narusza Pani wszelkie nasze umowy w tej materii, dlatego czuję się w prawie, o czym się Pani przekona, oczekiwać podwyżki albo znaleźć sobie innego lokatora, w czym, jak Pani wiadomo, wykazuję opieszałość. Prawo jest ze wszech miar po mojej stronie.*

W nadziei na utrzymanie układu odpowiadającego wszystkim zainteresowanym,

*Pani oddany,
Lambert Nugent*

*Droga Pani Spillane,
niniejszym załączam pokwitowanie za sufit w składziku,*

*Pani oddany,
LN*

*Droga Pani Spillane,
mój syn twierdzi, że trochę się Pani nastraszyła, dlatego chciałbym przesłać Pani wyrazy uszanowania i życzenia rychłego powrotu do zdrowia. W piątek nie przyślę Nata, lecz, jeśli Pani pozwoli, zjawię się osobiście.*

*Szczerze oddany,
Lambert Nugent*

W końcu to jednak Nugent umarł pierwszy.

Wydaje mi się, że ich więź charakteryzowało zadziwiające rozgoryczenie i małostkowe okrucieństwo. Niewykluczone, że się mylę – może po prostu gospodarze tak rozmawiają ze swoimi lokatorami. Wyczuwam w nim również posmak niewoli; bo Nugent po pracy w należącym do niego garażu za domem podchodził od frontu do należących również do niego drzwi i pukał. Dlatego uważał herbatę z ciasteczkami za dość barbarzyński obrzęd, Adę zaś za kobietę niezwykle czarującą – można by rzec, niezwykle pociągającą – bo takie są kobiety zapędzone w kozi róg. Trzydzieści osiem lat po tyle a tyle szylingów tygodniowo; całe jej życie przeciekło mu przez palce. Trzydzieści osiem lat baje r o w a n i a go swoimi wdziękami, a on tam siedział i się delectował, bo uważał, że mu się należy.

I kochał ją! Tak twierdzą, choć może jestem głupia i naiwna. Musiał ją kochać!

Jednakże pod względem miłości Nugent był mizerotą; niewiele mógł zaoferować. Miał dom i, powiedzmy, kobietę, mógł też robić, co chciał z kręcącymi się pod ręką dziećmi. Nawet przyjemności wynikały dla niego z tego niewielkie. Bo w tamtych czasach dzieci mało się liczyły. Ewidentnie my, troje Hegartych, mało się liczyliśmy.

Nugent na widok dziecka od razu widział zemstę – nie mam co do tego wątpliwości – a także wyjście z sytuacji; z nużącej transakcji międzyludzkiej, przez którą musi przebrnąć mężczyzna, żeby dostać to, czego pragnie.

Pomyślcie. Zgorzkniałość mężczyzny i piękno chłopca.

36

Któregoś wieczoru przestaję kierować samochodem i pozwalam mu jechać, dokąd chce, czyli jak zawsze na północ, tym razem obok wzniesienia półwyspu Howth Head i na drogę prowadzącą na lotnisko Swords aż do Portrane.

Mijam szpital psychiatryczny i skręcam nad morze, ale zatrzymuję się przy bramie na mały cmentarz, gdzie wśród ruin spoczywa matematyczna głowa mojego wuja. Zdaniem Ernesta, który zna miejscowego księdza, leży tu ponad pięć tysięcy ludzi. Wcale mnie to nie dziwi. Wśród tych murów wznosi się blok strachu. Powietrze przy bramie szmerze tak jak pod drutami wysokiego napięcia.

Stoję tam przez chwilę i czuję, że włosy stają mi na głowie.

Na niebie wisi księżyc. Kreska białej fali snuje się bezgłośnie daleko, wzdłuż plaży. Morze pluszcze o skały pod moimi nogami, drażnione przeciwwprądami i burzą w oddali. Nie ma wiatru.

Stoję tam i myślę, że nie mogłabym wybrać gorszego miejsca. To jest najgorsze.

W takim razie nie jest tak źle. Jeżeli to jest szczyt obłędu, to można go znieść. Nie skrzywdzi moich dzieci; chociaż może będę musiała trochę zmienić życie; częściej wychodzić z domu, sprzedać saaba.

W tym tygodniu dodatek „Nieruchomości” do gazety – drobna ofiara złożona przez Toma na kuchennym stole – zamieszcza ofertę domu na sprzedaż na ulicy Ady. To jeszcze nie jej dom; ale wszyscy już tam sprzedają i przeprowadzają się, jej dom też może w każdej chwili zostać wystawiony. Mogłabym się na niego zacząć. Mogłabym kupić dom przy tej samej ulicy, wyremontować, a potem sprzedać i czekać na ten dzień – czuję, że nadejdzie już niedługo – kiedy stanę we frontowym pokoju Ady, pociągnę za róg tapety i porozmawiam z miłym architektem o tym, jak go rozbebeszyć. Ubrana w stonowany garnitur, w niebywale idiotycznych szpilkach, którymi będę stuknęła po nagich deskach podłogi, każę mu zedrzyć żółty sufit i tynk z wilgotnych ścian; zburzyć wejście do frontowego pokoju, ale zostawić w kuchence staroświecki zlewozmywak typu Belfast, nad którym, wyglądając przez kuchenne okno, nauczyłam się uruchamiać wyobraźnię. Razem z architektem wydam okrzyk zachwyty nad różyczką na suficie i pięknym kominkiem, w którym palono różne rzeczy: listy, kwity bukmacherów, tłuszcz od szynki, włosy ze szczotki Ady, które skwierczały w ogniu. Poproszę go, żeby wyczyścił cały dom naprawdę silnym środkiem. Zażądam, żeby nie była to jedna sprzątaczką z mopem, lecz cała ekipa mężczyzn w kombinezonach, z pojemnikami na plecach i stalowymi rurkami rozpylającymi środek odkażający.

No i garaż – przerobimy go na pracownię ze świetlikami i białymi ścianami. Na starym betonie każę położyć podłogę z szerokich desek. Z dębiny.

– Co pan powie na dębinę? – zapytam.

Na jakiś czas wynajmę dom. I będę miła dla lokatorów. A kiedy dopnę swego. Kiedy naprawdę dopnę swego. Kiedy wykurzę już stamtąd całe świństwo i dom zacznie pachnieć cudowną czystością w starym stylu, mydłem dziegiowym i peoniami, sprzedam go za dwa razy tyle, ile kupiłam.

Zgadzasz się, Liam?

O, jest. Stoi nad brzegiem morza i patrzy na fale.

Czy to w porządku?

Wygląda jak statysta w filmie. Ma na sobie luźny brązowy garnitur, jakiego w życiu by nie włożył, i kaszkiet na młodzieńczych kręconych czarnych włosach. Oczy ma niebieskie, irlandzkie, w kącikach zmarszczki, kiedy patrzy w ciemności nocy. Nie jest sam. Obok stoi ktoś jeszcze, na cyplu stoi chłopak; ci strażnicy stoją na każdym wzniesieniu i przyładku, patrzą na morze.

Przypomina mi to reklamę guinnessa, tyle że żaden z nich się nie rusza.

Na niebie wielki samolot podchodzi do lądowania. Pierwszy tego dnia, ciągnie arktyczny szron. Nowy Jork, Nowa Funlandia, Grenlandia, Portrane. Jest szósta rano. Czas wracać.

Wsiadam do samochodu, szukam kluczyków, zamarzły w stacyjce. Jest marzec. Minęło prawie pięć miesięcy od śmierci Liama. Dziecko Ciary, które minęło się z nim w drzwiach, ma teraz miesiąc. Mojemu ostatniemu dziecku, które mogłabym mieć z Tomem, nudzi się już czekać. Przekręcam kluczyk, zapalam.

Liam odwraca się i odprowadza mnie wzrokiem. Nie wie, kim jestem, czym jest morze ani co się może stać z Broadstone. Jest pochłonięty własną śmiercią. Śmierć wypełnia go, tak jak śliwka wypełnia własną skórkę. Nawet oczy ma pełne śmierci. Bycie umarłym to poważny obowiązek. Chciałby się z niego dobrze wywiązać. Odwraca głowę od dezorientujących świateł samochodu i kieruje oczy ku morzu.

Wracam na główną drogę, ale nie skręcam w stronę domu. Jadę na lotnisko i po jakimś czasie wsiadam, do samolotu.

37

Samobójstwo zawsze przyciąga tłumy. Ludzie cisną się do środka: tarasują drzwi, przemykają ukradkiem wzdłuż tylnych ław, zbierają się pod ścianami kościoła; przychodzą dla zasady, bo samobójstwo osieroca wszystkich.

Wolałabym, żeby zostali w domach.

Stoję na ganku kościoła i czekam, aż od strony Griffith Way nadjedzie samochód żałobników. Tom gania wzdłuż ławki Emily. Rebecca stoi obok i nie puszcza mojej ręki. Cieszę się, że dzieci zajmują mnie sobą w otoczeniu tych wszystkich ludzi, obcych i znajomych, którzy wpatrują się w moją twarz, ale nawet się nie przywitają, odkładają to na później. Denerwuję się na córki, strofuję Emily i odsyłam obie do ich ojca: żeby je uspokoić, będzie musiał przeprowadzić je pierwsze obok trumny stojącej pod ołtarzem.

Przez tłum toruje sobie drogę w moją stronę jakaś kobieta. Skądś ją znam – gdybym sobie przypomniła skąd, mogłabym sobie przypomnieć, jak się nazywa. Zbija mnie z tropu, że płakała. Kiedy człowiek umrze, wszyscy mogą się nad nim do woli roztkliwiać.

Jest wysoka, blada, ma czarne włosy, co już powinno mi wystarczyć, żebym ją poznała. Ma nieco udęconą minę kobiety skrzywdzonej, a zarazem łagodnej. Rozgląda się, aż odnajduje mnie wzrokiem – wiem, że szukała właśnie mnie – podchodzi, z niezgrabnym wdziękiem przepycha się przez ludzi. Ma imponujące nogi i ramiona, popielaty trenz i beżową dżersejową sukienkę.

I wtedy przypomina mi się niefortunna wizyta Liama. Miałam u siebie remont, w pokoju dziewczynek nie było podłogi i na ten cały rozgardiasz przyszedł Liam z tą kobietą, która w ogóle nie miała własnego zdania. Nie umiała nawet zdecydować, co chce zjeść.

Nie wiem, jak długo Liam z nią mieszkał, spał w jej łóżku czy co on tam robił z tymi koszmarnymi dziewczynami. Za nic w świecie nie mogę sobie przypomnieć jej imienia. Pamiętam tylko, że zanim wyjechali do Mayo, zdążyłam ją polubić; za te jej długie, nerwowe ręce, niebieskie żyły pod skórą, włosy upięte w luźny kok. Pamiętam też swoją nadzieję, że da mu trochę wytchnienia.

Chociaż teraz jest starsza, widzę w niej to samo poczucie urażonej dumy, kiedy witrażowe kolory omiatają jej piersi i igrają w kąciku oka. Kiedy do mnie podchodzi, to poczucie znika jej z twarzy. Kiedy spogląda na mnie, bije od niej historia, którą ma mi do opowiedzenia. Aż się z niej wylewa, choć nie jest to absolutnie jej wina.

I nadal nie potrafię sobie przypomnieć jej imienia.

– Kitty cię zawiadomiła? – pytam. – Miałas kawał drogi.

Nagle czuję się Irlandką do szpiku kości, kiedy ujmuję jej dłoń w swoje, żeby podziękować za fatygę, przywitać ją i pozwolić wyrazić żal.

– Zatrzymasz się w hotelu? Wiesz, gdzie jest? Podrzucić cię?

– Dopiero co weszłam – mówi. – Dopiero co przyjechałam.

– Dowiedziałas się? – pytam, mając na myśli samobójstwo brata, na co kiwa głową, jakby nie bardzo o to chodziło.

– To jest Rowan – mówi i sięga za siebie, żeby wyciągnąć zza eleganckich nóg dziecko, a ja patrzę w dół i po raz pierwszy widzę swojego bratanka.

Ma dużą głowę, wychyloną naprzód drobną figurę, a do mnie dopiero po chwili dociera, że przecież chłopiec ma tylko trzy lata. Ponieważ ma tylko trzy – już prawie cztery, odchyła pięknie głowę, kiedy podnosi twarz, żeby mi się przyjrzeć niebieskimi oczami mojego brata, ale kiedy matka prosi, żeby się przywitał, chowa się za jej trenecz. Wygląda zza niej i znów się cofa, a ja zdaję sobie sprawę, że powinnam pobawić się z nim w chowanego. Powinnam się schować, a potem wyjrzeć z drugiej strony, zza wąskich ud jego mamy. Co też robię. Witam go:

– Witaj, Rowan, Leciałeś samolotem? – I powtarzam: – Witaj, Rowan. Witaj, skarbie.

Ciekawe, czy przywabię w ten sposób chłopca do siebie, żeby go objąć, a potem pocałować lub wciągnąć jego zapach. Jak wydebię od niego zgodę na to, żeby przytulić się policzkiem do jego pleców, przejechać mu palcem po krzyżu, obsypać pocałunkami delikatne rączki? Może z czasem. Może kiedyś mi się to uda.

– Wykapany ojciec – mówię do jego matki. I przypominam sobie, że ma na imię Sarah. Przez cały czas wiedziałam, że tak ma na imię.

– To prawda – potwierdza. Patrzymy na siebie z wielkim szacunkiem.

– Wejdiesz i posiedzisz z nami? – pytam, wskazując wewnątrz kościoła, chociaż wiem, że to nie najlepsza chwila, aby ogłaszać taką wiadomość.

– Nie – mówi. – O, nie. Przepraszam, ale dopiero co przyjechałam.

– Rozumiem – mówię. – Przyjdiesz później?

– Chyba tak – odpowiada. – Chyba powinnam.

– Też uważam, że powinnaś.

Podjechał już samochód żałobników, ale nie mogę oderwać się od chłopca. Kucam i uśmiecham się. Chłopiec znów się chowa. Wyciągam ręce, na co on trochę się cofa. Widzi, jak bardzo mi zależy. Wtedy z właściwą sobie niegodziwością mówię:

– Wiesz, później – jeśli z nami pójdziesz do domu – będzie tam mnóstwo lodów.

To mu się podoba.

Nadchodzi rodzina: moja mama, drobna, pulchna, podrygująca przy eleganckim ramieniu Bei. Z drugiej strony Mossie, wysoki i przystojny, jak to mężczyźni z atrakcyjnymi zawodami, jego łagodna żona, troje idealnych aż do przesady dzieci; wolnym krokiem Ita; bliźniaki, Ivor i Jem, którzy a to wpadają na siebie, a to się rozdzielają przez całe przejście. Kitty przystaje, żeby w milczeniu wziąć mnie, teatralnym gestem, za rękę. Sarah kiwa mi głową na znak, że nie zniknie, że wie, kim jest i po co tu przyjechała.

Dochodzę pod ołtarz, tonąc w emocjach, czy to miłości, czy smutku, które wzbierają mi w piersi. Twarz zastyga mi w maskę płaczącej kobiety, której jedną połowę wykrzywia lament, nie dopuszczony przez drugą. Nie ma łez. Odwracam głowę od tej strony kościoła, którą bardziej interesuje mój żal, tylko po to, by ukazać go drugiej. Proszę bardzo. Wolny przemarsz pozostałych Hegartych. Nie wiem, jaką ranę pokazujemy im wszystkim poza raną rodziny. Bo właśnie w tej chwili odkrywam, że przynależność do rodziny to najbardziej rozdierający sposób na życie.

Tom odwraca się, a na widok mojej twarzy wstaje. Prowadzi mnie na siedzenie przed sobą, dziewczynki siadają z drugiej strony.

– Wszystko w porządku? – pyta, kładąc dłoń na mojej, kiedy Emily przywiera do mnie, a prawdę powiedziawszy, chyba chce pogłaskać mi piersi, chociaż udaje, że podziwia (lub może pociesza) obciążane guziki mojego wyjściowego, pogrzebowego płaszcza. – Zostaw mamę – prosi córkę.

No właśnie. W ciągu ostatnich kilku dni wszyscy bez przerwy mnie dotykają. Zakładam nogę na nogę, kiedy przypomina mi się seks, który uprawialiśmy w wieczór czuwania. Lub raczej Tom uprawiał. I czekam na rozpoczęcie mszy. Wszyscy pragną uszczknąć mnie po kawałku. A ich chęci wcale się nie pokrywają z moimi pragnieniami ani z pragnieniami mojego ciała, jakkolwiek się one przedstawiają – Bóg mi świadkiem, że od dawna sama nie wiem. Siedzę w kościelnej ławce zaklęta we własnym ciele: obściskiwana, wykorzystywana, kochana i bardzo samotna.

Szczerze mówiąc, wiem, czego chcę. Chciałabym, żeby ujawnił się ten ktoś, kto mnie dotknął w pupę w kuchni mamy. Niech jeszcze raz mnie pocieszy, że wszystko będzie dobrze. Bo poczułam czyjś serdeczny dotyk, który przyniósł mi pociechę, dopóki nie odwróciłam się i nie zobaczyłam, że nikogo tam nie ma.

Poza tym tęsknię za Rowanem. Pragnę go czuć, nie tyle wargami czy rękami, ile całą twarzą. Pragnę go całą skórą. Chciałabym wtulić w niego nos, poczuć, jak jego jasne włosy łaskoczą mnie pod brodą. Chciałabym zatrzepotać mu rzęsami na policzku.

Taka fantazja snuje mi się po głowie podczas następnych wydarzeń: podczas mszy, którą odprawia głupi stary ksiądz, i kilku słów wygłoszonych przez Ernesta przy ołtarzu.

– Liam nigdy nie interesował się światem materialnym – mówi Ernest. – Miał wielkie poczucie humoru. Mój brat obsesyjnie szukał sprawiedliwości – mówi, nie wspominając, jak taka postawa może się przerodzić w pijackie burdy w autobusach. Lecz Ernest przedstawia wszystko w pięknych barwach.

Padają wzniosłe słowa, a z tyłu kościoła za moimi plecami, mój wielki sekret, który niebawem wyjdzie na jaw, krzyczy: „Halo, halo!”, z silnym południowolondyńskim akcentem.

Ceremonia dobiega końca. Wychodzimy za trumną przez cały kościół, a gdy tylko znajdujemy się na świeżym powietrzu, pytam Toma:

– Pamiętasz tę dziewczynę? Tę, która przysła z nim ostatnim albo przedostatnim razem?

– Jaką dziewczynę?

– Pamiętasz tę dziewczynę z nadętą miną, która nie chciała jeść, kiedy u nas był remont?

– Chyba nie – odpowiada.

– Traktował ją strasznie.

– A, już pamiętam.

– Była w ciąży – mówię. – Była wtedy w ciąży.

– Z nim?

– Wystarczy spojrzeć na chłopca – mówię. – To wykapany Liam.

Hegarty'owie stoją zbici na ganku, podają rękę niezliczonym żałobnikom. Nie znam połowy z nich, ale się nie przejmuję. Czekam, aż podejdzie Sarah, żeby wziąć ją na bok i zastanowić się, jak to rozegrać.

– Wyraży współczucia.

– Dziękuję.

– Bardzo mi przykro.

– To ogromna strata.

Wszyscy przepraszają za fakt, że osoba kochana nie żyje. Tym bardziej że świat roi się od niekochanych przez nas osób.

– Chodziłem z nim do szkoły – mówi do mnie jakiś mężczyzna, przeistaczając się, gdy padają te słowa, z nieznanego w średnim w wieku w Willowa, który miał pociąg do wódki i przystojnego starszego brata.

Jest absolutnie sobą, co mnie zbija z tropu. Nie mogę znów zobaczyć w nim mężczyzny w średnim wieku, kiedy już dowiedziałam się, kim jest.

– Och, Willow – powtarzam jak szkolna idiotka. Miłość to jedno, ale na świecie jest tyle ludzi do lubienia, niektórych nawet nie zauważamy.

Chowanie zmarłych może przyprawić o zawrót głowy.

Czekam, aż znajdziemy się w hotelu, ale nawet wtedy mam opory przed wyjawieniem nowiny. Nie umiem powiedzieć Bei, właścicielce wszystkich Hegartych. Nie chcę wystawić tej informacji na drwinę Ivora, inteligencję Ity ani umiejętności zarządzania Mossiego. Musi to zrobić dziecko, małe albo dorosłe.

– Chodź tu, Jem – proszę swojego najmłodszego, najukochańszego brata.

Patrzę, jak obchodzi pozostałych; mamę na końcu. Bea próbuje posadzić mamę, ale ta nie chce. Nagle wstaje, odpina górny guzik bluzki, z dzikim spojrzeniem zdejmuje płaszcz, rozglądając się na boki, z ręką uwięzioną w drugim rękawie. Znajduje wzrokiem Sarah i jej syna, a kiedy Bea ściąga jej płaszcz do końca, podchodzi, niemal podbiega, żeby położyć ręce najpierw na ramionach dziecka, a potem ująć jego piękną twarz. Łypie na Sarah, srogo zmrużonymi oczami, na co ta występuje naprzód i bardzo grzecznie podaje mamie rękę. Wtedy mama odwraca się, jak gdyby nic takiego się nie wydarzyło.

Trudno opisać, jakie wrażenie ten chłopiec wywarł na zebranych Hegartych.

– Rowan? – pytają. – Rowan.

Nikt z nas tego dziecka wcześniej nie widział. Twierdzimy, że ma oczy Hegartych – z zachwytem, jakby nie obejmowała ich klątwa – i przyglądamy się, jaki człowiek tym razem z nich wyjrzy. Sytuacja jest aż nadto tajemnicza. Wszyscy chcą go dotknąć. Po prostu muszą – ale kiedy wyciągają ręce, on się odsuwa; nawet wzdraga. Po czym wybiera na swoją oazę spokoju, o dziwo, Mossiego, który sadza go sobie na wyprostowanej nodze i mocno podrzuca, „Jedzie, jedzie pan, pan”, grożąc, że zaraz upuści go na podłogę. Mossie, mroczne lustrzane odbicie Liama, uwielbia tego chłopca, podobnie jak chłopiec jego. Wokół zbierają się dzieci Mossiego i po raz pierwszy widzą radość w ich oczach – dlatego są takie grzeczne, bo mają taką łagodną matkę i stanowczego, lecz sprawiedliwego ojca: są zadowolone.

Zauważyć coś niesamowitego po tylu latach, coś takiego u rodzzonego brata – zdumiewa chyba bardziej niż objawienie się syna Liama. Może dlatego, że przypadek syna jest zbyt fantastyczny, aby dało się go kontemplować w sali bankietowej hotelu na przedmieściach Dublina, kiedy dwieście mniej lub bardziej znanych mi osób zasiada do zupy albo do melona, po których podadzą łososia albo wołowinę.

Zjadamy wszystko. Łącznie z tartą jabłkową i lodami. Nie żałujemy sobie. Kładziemy kawałki masła na niezdrowych pszennych bułkach i prosimy o dolewki herbaty. Przesadnie interesuję się jedzeniem. Spoglądam znad talerza na Rowana, po czym znów spuszczam wzrok i dziubię krokiet ziemniaczanego.

Warto zwrócić uwagę na inne rzeczy, kiedy mam siłę oderwać wzrok od chłopca. Ivor rozmawia trochę za długo z przyjacielem Liama, Willowem. Patrzą wymownie na siebie i na księdza, który bierze płaszcz i spogląda na nich raz jeszcze, po czym wychodzi. Ernest również dostrzega to ostatnie spojrzenie i bacznie się przypatruje, Ita siedzi pod kątem prostym do Ernesta, trzyma go oburącz za rękę i przemawia do jego profilu. Ernest ma skupioną, przerażoną minę, jaką zapamiętałam ze spowiedzi. Ktoś wręczył Kitty mikrofon i teraz moja siostra stoi, a Mossie stuka nożem w kieliszek. Kitty odkłada mikrofon na stół, unosi twarz w uroczej pozie i śpiewa ulubioną piosenkę Liama:

*Przystańmy wraz na moment,
Odrzućmy uciech moc,
Przeliczmy bezmiar łez, smutku kurz,
Niech ta pieśń nas poniesie,
Niech zawsze brzmi jej ton,
Ciężkie czasy nie wracajcie już.*

I jakżeby inaczej. Głupia sprawa. Muszę zaciskać mocno powieki, bo napływają do nich piekące łzy.

*Bo ta pieśń to jęk jest strudzonych,
Ciężkie czasy nie wracajcie znów,
Zła niedoła się czaiłaś
U mojej chaty wrót,
Ciężkie czasy nie wracajcie już.*

W refrenie dołącza nierówny chór głosów, który zwrotki, o dziwo, pozwala jej śpiewać samej: moja denerwująca siostrzyczka patrzy niewinnie w sufit, kiedy dopieszcza czule po jednym dźwięku naraz.

*Gdy szukamy radości,
Muzyka skocznie brzmi,
Mizeroty mdleją nam u wrót
I choć milczą ich usta,
Błagają oczy ich,
Ciężkie czasy nie wracajcie już.*

Płacze cała sala. Rowan na kolanach Mossiego, widząc, że jego mama ociera łzy, reaguje oburzeniem.

– Zamknijcie się! – woła nagle. A po chwili głośniejsz: – Zamknijcieeee sięęę! – ze swoim rozkosznym angielskim akcentem.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Nigdy nie byłam na weselszym pogrzebie.

Odsuwam krzesło i wychodzę poszukać papierosa.

Nie paliłam od lat. Po śmierci taty rzuciliśmy wszyscy, jedno po drugim, będę więc musiała zwrócić się z tą dziwnie osobistą prośbą do któregoś z sąsiadów.

– Mogłabym cię naciągnąć na jednego papierosa? Poczęstujesz mnie?

– Jasne, niszczone zdrowie.

Wychodzę do foyer, siadam i palę. Papieros smakuje mi tak samo jak pierwszy w życiu, którego wypaliłam, siedząc na materacu Liama w przejściu do ogrodu w roku 1974.

Kiedy Ada dowiedziała się o śmierci Lamberta Nugenta, wybrała się na kawę do Bewleya – żadne чудо, zwykła biała kawa z napoleonką, a gdy kelnerka ją przynosi, Ada zdejmuje rękawiczki z tą samą drżącą precyzją, która urzekła go przed laty. Czyli Nugent nie żyje. Ada popija kawę, kroi napoleonkę na mniejsze kawałki i wszystkie kolejno zjada.

Martwi się o czynsz – chociaż nie powinna; wystarczy, że przed laty zasięgnęła rady w sprawie czynszu. Kto inny przyjdzie i go odbierze – jakiś mężczyzna całkowicie jej obojętny, chociaż będzie to ta sama kwota za ten sam dom i to samo życie, które w nim prowadzi. Mimo to czuje się, jakby dom zerwał się z uwięzi, jakby cegły, dachówki i granitowe nadproża wypłynęły na spokojne szare morze.

To koniec. Cokolwiek ich wcześniej łączyło.

Stary Nolly May.

Lub nawet, jak czasem mawiali, Nolly May Tangerine, przekręcając „Nie dotykaj mnie” z Biblii.

Ale dlaczego? Dlaczego nie powinna go dotykać?

– Co z niego za dowcipniś! – mawiała o Lambie Nugencie po jego uwadze, po jakiejś aluzji: na temat jej rozrzutności u rzeźnika albo przywiązania do świąt Bożego Narodzenia. – To dusza człowiek – mówiła, przez co chciała powiedzieć, że w dniu jego śmierci zamówi skromną napoleonkę u Bewleya i zje ze smakiem.

Ada ma siedemdziesiąt lat, który to wiek dla pewnych kobiet wcale nie oznacza starości. Żyje w biegu, może więc mieć przed sobą nawet dwadzieścia lat (choć w rzeczywistości ich nie ma), lecz Ada nie liczy. Mając siedemdziesiąt lat, leży w łóżku, podobnie jak my wszyscy, i myśli o ciepłym, miłym dotyku rąk ostatniego lekarza. Kiedy ściąga czarne skórzane rękawiczki, odsłania chude, nerwowe dłonie: gąszcz ścięgien, guzków i kości przypominający takielunek statku. Po co komu lekarz, skoro ciało wychodzi ze skóry, żeby obnażyć swoją maszynię? Ada lubi swoje ręce, wręcz trochę się nimi szczyci – przez lata wykazały się nie lada mądrością. Reszty ciała w ogóle już nie sprawdza, bo od dawna ma na pieńku z lustrem, które przestało jej dostarczać przydatnych informacji – nie wnosi nic ciekawego.

Ręce natomiast, którymi powoli zanurza łyżeczkę z cukrem, toteż kawa przebija się przez jego warstwę, ręce dobrze jej służą. Szyją i prują. Wykonują swoją mrówczą pracę i na wzór tych robotnic zmieniają powierzchnię świata.

Kiedy Ada ssie lepki czubek łyżeczki, staje przed nią Charlie, kłania się nad papierową torbą i mówi: „Wzmocnijcie mnie jabłkami”, wieki temu, na wyścigach konnych Fairyhouse.

Bardzo to w duchu protestanckim, myśli Ada, żeby tak cytować Stary Testament. I po raz tysięczny zastanawia się, czy jej mąż był mężczyzną, za jakiego się podawał.

Jeżeli Ada doszła w życiu do jakiegokolwiek wniosku, to nie był on taki imponujący. „Ludzie – myślała – nie zmieniają się, tylko się odsłaniają”. Tę maksymę odnosiła, ze znikomą zresztą satysfakcją, do polityków z gatunku „chorągiewka na dachu”, niewiernych żon oraz szalonych młodzieńców; którzy w końcu wychodzą na ludzi. Stosuje ją teraz do wspomnienia o Charliem Spillane’em i o jego prawdziwym sercu, które z upływem lat przejawiało wobec niej coraz więcej jakże ważnej szczerości. Skoro ludzie odsłaniają się dopiero z czasem, to mężczyzna, który objawił jej się jako Charlie Spillane, był nieskończenie dobry – i nic więcej – mimo wszystkich swoich wybiegów i żalów, mimo oglądania się za dzierlatkami i szukania okazji, prawdziwa istota męża zapłonęła jej w sercu żywiej dopiero po jego śmierci.

Jego wielka tajemnica: dobroć.

Ada wciska opuszek palca w ostatnie okruchy ciasta, ale go nie oblizuje. Otrzepuje palec, okruchy lecą na podłogę, bardzo tęskni za mężem i za wszystkimi mężczyznami, których знаła, a którzy już nie żyją. Każdy zostawił coś po sobie; coś wyrazistego, trudnego do uchwycenia. Jeżeli Ada wierzyła w cokolwiek, to wierzyła w ten stały element, który inni nazywają duszą.

Lambert Nugent nie ma jej wcale, a w każdym razie Ada jej się nie doszukała. Nugent należał do ludzi, którzy się zapalają; a przez resztę czasu jakby w ogóle nie istniał. Żarliwy młodzieniec, drżący mężczyzna, biały płomień starości; widziała go migawkowo w każdym z tych wcieleń, a reszta ginęła w mroku drobnych uwag i rzucanych w bok spojrzeń, rzeczy schowanych, zanim ujrzały światło dzienne.

Co ten niemądry człowiek miał do ukrycia?

W miarę jak się starzał, coraz łapczywiej zajadał jej ciasteczka, a jego język i gardło, jego cały narząd smaku był w nim czymś najczulszym i najżywszym. Czasem Ada odnosiła wrażenie, że bardziej mu zależy na ciasteczkach niż na czynszu, bo taki był z niego łasuch. Był jak dziecko. Może na tym polegał jego sekret – że był jedynakiem i zawsze miał pięć lat. Albo dwa.

Och, Nolly May.

Matka ponosi za to nie lada odpowiedzialność, myśli Ada. Boże, okazać miłosierdzie jego duszy (jeżeli ją znajdziesz).

Pije łyk kawy, zanim przeżuje do końca napoleonkę, co nagle ją irytuje. Nie znosi mieszać niczego w ustach. Nie znosi mieszać niczego w domu. A coraz bardziej tak żyje, wacha ubrania w starej komodzie, po czym pierze je ponownie, ten ostatni raz. Coraz częściej pierze osobno serwetki i ręczniki albo w ogóle ich nie pierze, tylko gotuje.

Wstaje, porządkuje swoje rzeczy, a przy sprzątanu myśli o aneuryzmie, który u schyłku życia dopadł Nugenta, zastanawiając się, czy powodował ból – bo chyba Nugent pod koniec nie miał już nerwów, żeby czuć ból. Pominąwszy oczywiście mózg, będący poniekąd siedliskiem bólu, może więc Nugenta spotkał najgorszy koniec.

Ada wychodzi na zgiełk i blask Grafton Street, którą pędzą autobusy, i ponownie staje się dzieckiem.

Jest dziewczynką z walizką, w dniu śmierci matki.

Zrobiła w tył zwrot i wyniosła walizkę z domu. I wszystko, co wydawało się niemożliwe, okazało się w końcu możliwe. Miała dar nóg, które stawały się jedną za drugą, żeby stamtąd wyjść, oraz dar rąk, żeby torować sobie drogę przez życie, nie oglądała się za siebie.

39

Na lotnisku Gatwick znajduje się hotel, w którym można by spędzić resztę życia. Można by się tam zatrzymać, dopóki człowieka nie znajdą, a nie znajdą nigdy – bo niby dlaczego mieliby znaleźć? Można się żywić podeschłymi *croissantami* z tac wystawianych na korytarz, prać bieliznę w umywalce, podkraść to i owo z pokojów, kiedy objeżdża je wózek sprzątaczk.

Znajduje się tam salon odnowy. Widziałam, kiedy się meldowałam. Wróciłam do sklepów na Terminalu Południowym i kupiłam sobie trochę ciuchów. Kupiłam też skarpetki, majtki i torbę – ładną, bezpretensjonalną, z chropowatej, wytłaczanej skóry – żeby mieć wszystko gdzie spakować. Kiedy wracałam i mijałam recepcję z płaskim kluczem w portfelu, zdałam sobie sprawę, że nie wiem, jak stamtąd wyjść.

Są tam trzy restauracje, które reklamują się w windzie, ale nie muszą iść do żadnej z nich. Mogę zamówić na górę sałatkę cesarską – bo zawsze jest w karcie. Mogę pospacerować po pokoju – bo zawsze można pospacerować po pokoju, jeżeli jest w nim wystarczająco dużo miejsca. A w tym jest go na tyle dużo, że można przejść od łóżka do okna, do telewizora w kącie, a potem do biurka, które stoi pod lustrem odbijającym również łóżko. Można się tu zatrzymać, żeby przeczytać informację w skórzanej teczce, po czym przejść do prasownicy i do przechowalni bagażu, w którym zostawia się walizki, jeśli ktoś je ma – większość gości hotelowych Gatwick melduje się bez nich, bo bagaż krąży gdzieś po niebie. Pobyt w hotelu Gatwick wcale nie znaczy, że się dokądś przyjechało. Przeciwnie, znaczy, że przed człowiekiem jeszcze daleka droga.

W foyer znajduje się ludzka zawartość samolotu 747, którego silnik zepsuł się nad Kazachstanem. To druga noc pasażerów na ziemi w niewłaściwym kraju; ubrania mają nieświeże – które aż się proszą o prasownicę spodni na parę – skórę poszarzałą. Marzą o kąpeli, zadowoliliby ich prysznic, ale jeszcze nie teraz, bo nie mają nic czystego na zmianę. Każdy z nich sprawdzi szafę i lampkę nocną, usiądzie na łóżku, potem się na nim położy, wyciągnie zatkniętą pod materac kołdrę i się nią zakryje: po chwili jednak wszyscy dotoczymy się, dowleczymy albo dopełniemy do zapomnianego minibaru, przy którym zastanowimy się, czy którakolwiek butelka jest warta swojej ceny.

To nie jest Anglia. To podniebne miasto. Strefa darowanego czasu.

San Miguel, Gordon's, coca-cola, Schweppes. Musiałabym mieć bardziej precyzyjne dane – nie znajduję tu na tyle precyzyjnych danych, żebym odważyła się czegokolwiek napić. Decyduję się na przesadnie drogą wodę i piję, aż plastikowa butelka załamuje się z trzaskiem. Powinnam wyjść i kupić sobie litr takiej wody. Powinnam wyjść i poddać się depilacji woskowej w salonie odnowy. Muszę zaplanować resztę życia. Nie mogę go planować z owłosionymi nogami. Ciekawe, czy dostanę się stąd do sklepu Clarins w hali odlotów, gdzie kobieta w białym fartuchu wykonuje zabiegi czyszczenia twarzy na zapleczu, chociaż po każdej takiej wizycie u kosmetyczki wyglądam jak obsypana dziobami. Ale serce i tak wyrывa mi się do kobiety w szeleszczącym białym fartuchu, która uciskiem palców i oklepywaniem przyklei mi z powrotem twarz tam, gdzie grozi odpadnięciem.

Jadąc na lotnisko w Dublinie, czułam wewnętrzny spokój. Byłam opanowana, pełna determinacji. Zastanawiałam się, czy by nie spotkać się z Rowanem albo po raz ostatni przespacerować promenadą w Brighton. Z chwilą jednak, gdy koła samolotu dotknęły ziemi, uświadomiłam sobie, po co przyjechałam. Żeby się wyspać. Musiałam się wyspać. Szukałam więc szyldu z napisem „Hotel”, który doprowadziłby mnie, jak to zwykle bywa, do twardego łóżka, pełnego minibaru i rozwalonego pilota do telewizora.

No więc śpię.

Budzę się ubrana, rozbieram i wsuwam między chłodne, ciasno utkane pod materac prześcieradła.

– Próbowalem cię złapać – mówi mężczyzna w moim śnie. – Ale znalazłaś się w niewłaściwym roku.

To Michael Weiss. Pokonał wpływ dziesiątki lat, żeby do mnie dotrzeć, przebił się przez kolejne warstwy czasu. A kiedy stajemy twarzą w twarz i pytam, jak się czuje, odpowiada, że w porządku.

Znów się budzę i nie potrafię ocenić po świetle na dworze, czy to rano, czy popołudnie. Wbijam kciuk w gąbczaste guziki pilota, żeby dowiedzieć się z wiadomości telewizyjnych, która jest godzina. Jest wpół do siódmej wieczorem. Przespałam osiem godzin. Wracam do snu, po czym sięgam przerażona po telefon, żeby zadzwonić do córek.

Odbiera Tom.

– Witaj, kochanie. Gdzie jesteś? – pyta spokojnie i z opanowaniem.

– Dasz mi Rebeckę do telefonu? – proszę, a słysząc milczenie z drugiej strony, dopuszczam myśl, że przecież może odmówić.

– Halo – głos Rebecki brzmi bardziej dziecinnie niż zwykle.

– Witaj, kochanie.

– Gdzie jesteś?

– Wszystko u ciebie dobrze? – pytam. – Niedługo wrócę do domu.

– O, fajnie – mówi wesoło. Za nic nie czuje się odpowiedzialna. I słusznie.

– Poproś do telefonu siostrę. Emily dyszy do słuchawki.

– Cześć – mówię. – Cześć.

Dalej dyszy. Rozmowa telefoniczna z Emily zajmuje dużo czasu. (– Nie ma cię tu – oświadczyła mi kiedyś. – Ja tu jestem). Tym razem zorientowała się, do czego służy ten cholerny aparat. Albo prawie.

- Mamo?
- Tak, kochanie.
- Dam ci słowo – mówi. – A to słowo brzmi „kocham”.
- Tak – mówię w końcu. – Tak, to dobre słowo.
- Pa, pa!

I żeby oszczędzić mi fatygi, rzuca słuchawkę.

Emily. Nie wiem, czy to dziecko jest tak genialne, czy tak dziwne – nie kojarzy różnych rzeczy, ale kiedy kojarzy, to zawsze w niesłychany sposób. Dlatego się o nią nie martwię, dopóki nie dociera do mnie, że naprawdę jestem na lotnisku Gatwick. Uciekłam od swojej córki. Zostawiłam ją.

Ale o zostawieniu córek nie ma mowy, wszędzie mi towarzyszą. Wracam do pościeli i szukam ręką pięknych, rozrzuconych na poduszce włosów Rebecki, bo czasem lubi się wtulić we mnie; jej siostra patrzy na mnie kocim wzrokiem z drugiego końca pokoju. Obie są takie śliczne. Gdy tylko wyciągnę rękę, potrafię wyczarować jedwab ich włosów. To moje wielkie, ciche zwycięstwo, że mam je na świecie.

Rebecca Mary i Emily Rose. Towarzyszą mi teraz we śnie. Wykazują nie lada cierpliwość. Odwracają się na chwilę ode mnie i dają mi spokój.

Znów się budzę, biorę prysznic. Wkładam nowe majtki, stare zostawiam w koszu na śmieci. Wyrzucam poprzednie życie, opuszczam hotel.

Na dworze ze zdziwieniem stwierdzam, że nadal jestem na lotnisku, bo sen trwa. Podróżuję już tak długo, a nadal jestem tutaj.

Palma

Barcelona

Mombasa

Split

Wszystkie miejscowości, w których nie byłam, wzywają mnie z tablicy odlotów jak ulicznice, nie zważając na moje pożądanie.

Fuerteventura

Wilno

Pula

Cork

Co za nierząd. Ludzie wokół mnie całkiem słusznie je ignorują, tylko robią zakupy. Jadę z nimi szklaną windą na następne piętro i szukam w Accessorize jakichś drobiazgów dla moich córek, czegoś błyszczącego lub kwiecistego. Patrę na ludzi stojących w kolejce do kasy i zastanawiam się, czy wracają do domu, czy też wyjeżdżają od swoich bliskich. Bo nie ma innych podróży. Stajemy się dziwnymi uchodźcami, którzy uciekają od własnej krwi albo ku niej; pulsują w tę i z powrotem w upiornych żyłach oplatających świat motkiem krwi. Takie myśli krążą mi po głowie, kiedy stoję w kolejce w sklepie Accessorize w Gatwick Village z dwiema parami kłapków, z jedwabną orchideą dla Emily, a z peonią dla Rebecki. Myślę o świecie omotanym krwią, tak jak kłębek sznurka jest omotany własnym sznurkiem. Wystarczy, że pójdę po nitce, a dowiem się, czego chcę się dowiedzieć.

Uciekamy od albo do.

Bardzo mnie kusi powrót do hotelu, ale zmuszam się, żeby posiedzieć w hali głównej na piętrze odlotów i pomyśleć, że mogłabym ominąć odprawę bagażową, bo wiem, że nie wybieram się nigdzie w podróż, lecz wracam do domu.

Nicea

Dżerba

Edynburg

Dublin

A tak nawiasem mówiąc, gdzie jest Dżerba?

Tym razem samolot wylądował jak należy. Po prostu czuję, że podczas mojego ostatniego przylotu do Dublina nie wylądował jak należy. Siedząca obok mnie Kitty płakała, Liam robił mi wymówki, a ja po wylądowaniu stwierdziłam, że nie znam tego miasta. Może to wszystko nie zdarzyło się naprawdę. Czuję się, jakbym ostatnie pięć miesięcy spędziła w powietrzu. Nagle dzwonię do Kitty.

– Wszystko u ciebie dobrze? – pytam.

– Słucham?

– Wszystko u ciebie dobrze?

Przez chwilę wydaje mi się, że wie, o co mi chodzi.

– Tak, dobrze. A u ciebie?

– U mnie też dobrze.

Przechodzimy do rozmowy o innych sprawach.

Wiem, co mam zrobić – chociaż już za późno na prawdę, to powiem prawdę. Złapię Ernesta i powiem mu, co się zdarzyło Liamowi w Broadstone, a potem poproszę, żeby przekazał tę jakże starą wiadomość reszcie rodziny (tylko nie mów mamie!), bo sama nie mogę się zdobyć, nie mam na to dowodów. Nie zniósłabym dezaprobaty Bei, łzawego smutku Ity ani cierpkiego komentarza Ivora: „Dlaczego tylko wam przypadła w udziale cała frajda?”. Boże, jak ja nienawidzę swojej rodziny, tych ludzi, których sobie nie wybierałam do pokochania, a i tak Kocham.

I cóż to za żałosna próba ucieczki od nich wszystkich. Cholerne lotnisko Gatwick. Powinnam teraz być w Barcelonie i szukać znaku. Powinnam spacerować ulicami Paryża i czekać, aż mnie znajdą; jakiś mężczyzna podejdzie do mnie i powie: „Już tak długo na ciebie czekam”, a później, wiele tygodni później, patrząc na dzieci bawiące się w Ogrodzie Luksemburskim, rozplaczę się i zawołam: „Nie! Nie! To niemożliwe!”.

Ale ja nie chcę innego losu poza tym, który mnie tu przywiódł. Nie chcę innego życia. Chcę je po prostu przeżyć, i tyle. Chcę się budzić rano i zasypiać wieczorem. Chcę się znowu kochać z mężem. Bo za każdym razem, kiedy chciał mnie staranować, ocalała mnie miłość – ocalała nas oboje. Gdybym tylko te chwile pamiętała. Gdybym pamiętała je za każdym razem, tak jak pamięta się różne widziane miejsca – niektóre wprost zdumiewające; egzotyczne, oszałamiające albo spokojne. Gdybym mogła powiedzieć, że tak to przebiegało, kiedy poczynaliśmy Rebecce lub Emily dała o sobie znać. Albo pamiętam pewne popołudnie, kiedy siedział w nogach łóżka, otoczony poświatą białych zasłon, i wyglądał jak ktoś, kogo znałam od początku, cokolwiek przyjąć za początek.

Stoję w kolejce po bilety i nagle muszę zamknąć oczy. Stoję z zamkniętymi powiekami, ściskam w dłoni prawo jazdy, a dłoń przytulam do poczucia pustki kolebiącego mi się w brzuchu – przyszłości, wracaj tutaj, żeby mnie zdenerwować. Zjawia się nowa dusza z oczami jak śliwki.

Chłopiec.

Hej, Tom, miejmy jeszcze jedno dziecko. Tylko jedno. Już znam jego imię. No proszę cię. Zobaczysz, jak ci to poprawi humor.

Jasne, że tak.

I chociaż fantastycznie byłoby mieć jeszcze jedno dziecko, nie tego pragnę najbardziej, kiedy stoję z zamkniętymi oczami w kolejce na lotnisku Gatwick: kobieta bez bagażu, bez ostrych przedmiotów, bez niczego, czego sama by nie spakowała. Po prostu chciałabym się mniej bać, to wszystko. Bo czuję strach, kiedy czekam na podejście do kontuaru, żeby wylecieć stąd dzisiaj lub, jeśli cena będzie zbyt wygórowana, jutro z samego rana.

Nie wiem, czy zdołam wejść po metalowych schodach do samolotu.

Lotnisko Gatwick to nie najlepsze miejsce, żeby człowieka dopadł strach przed lataniem. Chyba jednak taki strach właśnie mnie ogarnął; bo w tych maszynach bujamy tak wysoko i gdybyśmy mieli spaść, czekałaby nas długa droga. Spadam tak od miesięcy. Od miesięcy spadam w swoje życie. I zaraz w nie trafię.

Dziękuję Sinéad za sprawdzenie moich zapożyczeń z języka irlandzkiego i Mary Chamberlain za dokładne przejrzanie całości. Jak zawsze wyrażam wdzięczność Robinowi Robertsonowi i Gill Coleridge.

Anne Enright

Bray, 2006